

Historia: Mikołajczyk – marzyciel i realista | **Zbiór**
zastrzeżony: Kapiszon zamiast bomby | Co ekspertka
MEN wie o seksie | Ogień w gardle **Ewy Podleś**

DOŻYWCIE I CO DALEJ



**415
WIĘŹNIÓW
MA TAKI WYROK**

-15%

przy zakupie
prenumeraty
półrocznej

-25%

przy zakupie
prenumeraty
rocznej

RABAT

Tańsze książki
dla prenumeratorów
PRZEGLĄDU*



35 zł -15%

31 zł -25%

Polska Ludowa
1944-1956
~~42 zł~~



36 zł -15%

32 zł -25%

Polska Ludowa
1957-1980
~~43 zł~~



37 zł -15%

33 zł -25%

Polska Ludowa
1980-1989 cz. 1
~~44 zł~~



38 zł -15%

33 zł -25%

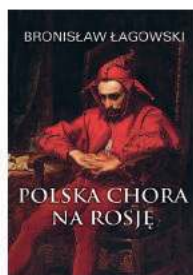
Polska Ludowa
1980-1989 cz. 2
~~45 zł~~



39 zł -15%

35 zł -25%

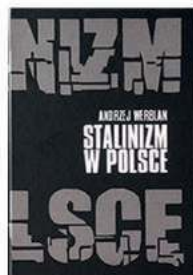
Przełom
Października '56
~~47 zł~~



40 zł -15%

36 zł -25%

Polska chora
na Rosję
~~48 zł~~



22 zł -15%

19 zł -25%

Stalinizm
w Polsce
~~26 zł~~

Przy zakupie prenumeraty papierowej wersji PRZEGLĄDU na 2017 r. otrzymujesz atrakcyjne rabaty na wybrane książki. Aby skorzystać z promocji, wystarczy podczas zamawiania książek w tytule przelewu podać kod: „RABAT 25” dla posiadaczy prenumeraty rocznej lub kod „RABAT 15” w przypadku wykupionej prenumeraty półrocznej.

PRENUMERATĘ I KSIĄŻKI MOŻNA KUPIĆ:

- wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając
dokładny adres (z numerem kodu),
pod który ma trafić przesyłka polecona
- przez sklep internetowy:
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Więcej informacji:

tel.: (22) 635 84 10 wew. 118,

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Promocja
trwa do
28.02.2017 r.

* Promocja dotyczy prenumeraty półrocznej lub rocznej na 2017 r. zakupionej w terminie 01.01-28.02.2017 r.

eprasa.pl 9316e9b64f

CYTATY

LECH WAŁĘSA,
BYŁY PREZYDENT

Mój syn nie wytrzymał psychicznie przez tych Cenckiewiczów i innych, i skrócił sobie życie.

Konferencja w IPN

BOGUSŁAW LINDA,
AKTOR, REŻYSER

Polityka to jest kurewstwo, niezależnie od koloru partii.

„Duży Format”

GEN. DYW. SŁAWOMIR
WOJCIECHOWSKI,
DOWÓDCA OPERACYJNY
RODZAJÓW SIŁ
ZBROJNYCH

Polscy podatnicy zapłacą za amerykańską iluzoryczną obecność wojskową w Polsce jak za zboże.

RMF FM

BARTOSZ WAGLEWSKI
„FISZ”, MUZYK

Ludzie coraz częściej marzą o tym, by wyglądać jak po Photoshopie.

„Tygodnik Powszechny”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Prezes przyśpiesza

Mają tupet. Zagarnęli dla siebie TVP i Polskie Radio, czyli media na wyrost zwane publicznymi. Choć takich mediów nigdy w Polsce nie było. Wyjątkiem może być Polskie Radio, które czasami zbliżało się do tego modelu. Za koalicji PO-PSL telewizja dryfowała. Ci o silniejszych wpływach dostali po kawałku. Pożytku dla widzów z tego za bardzo nie było, ale można było mówić o względnym pluralizmie. Narzekano wówczas na TVP dość powszechnie, bo i powszechne było oczekiwanie na prawdziwe media publiczne. Silne programowo, w miarę niezależne politycznie i dysponujące wystarczającymi środkami finansowymi. Zarządzane przez ludzi wygrywających w prawdziwych konkursach, a nie w takich ustawkach, jakie organizuje się w Polsce. Media prawdziwie publiczne są niezbędne w każdej demokracji. Niestety, u nas ich los został jesienią 2015 r. przesądzony. Stały się już tylko głosem jednej partii. I ważnym narzędziem urabiania opinii publicznej. Teraz wszystko jest podporządkowane pożytkowi partii rządzącej. Mamy prymitywne urabianie ludzi poprzez serwowanie im najbardziej absurdalnych tez. Mamy kłamstwa tak bezczelne jak te wymierzone w Jurka Owsiaka i Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Albo jak skuteczne zrobienie z kilkudziesięciu tysięcy strażaków, milicjantów, pograniczników itp. katów i morderców z UB. Kolejne grupy zawodowe są odstrzeliwane przy biernej postawie większości Polaków. Bezczelne naginanie prawa, by zastraszyć ludzi biorących udział w pokojowych demonstracjach, jest elementem szerszej polityki PiS. Ta partia, a zwłaszcza jej lider, już wiedzą, że na poparcie większości Polaków liczyć nie mogą. Że te 30% plus to wszystko, co mogą mieć. Jeśli oczywiście uda się utrzymać te środowiska, które poparły ich w wyborach, a dziś wyrrywają sobie włosy z głowy. Uwagę tę kieruję zwłaszcza do mundurowych.

Na razie bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego prezes Kaczyński tak się śpieszy z wieloma decyzjami, mimo że PiS musi na tym stracić. Spacyfikowanie edukacji i samorządów może być dla partii prezesa kluczem do długiego rządzenia. Ale może też być przeszkodą, na której władza się wywróci. Wyzwanie zostało rzucone. I w tym roku się przekonamy, czy potwierdzi się stara prawda, że silna i zdecydowana władza dość łatwo potrafi zgiać karki Polaków. Zobaczmy także, czy PiS uda się wydusić na Polakach płacenie abonamentu za to badziewie, jakie im serwuje prezes TVP.

FAULE

Ubezpieczanie jeleni

Ubezpieczyciele samochodów szaleją. Od początku roku mamy szansę poczuć na własnej skórze, jak to jest być jeleniem na polowaniu. A polują na nas wszelkie możliwe firmy ubezpieczeniowe. Dostajemy od nich takie oferty, że jeśli człowiek nie chce trafić na OIOM, lepiej ich nie czytać. Weźmy np. ofertę Getin Leasing na ubezpieczenie w PZU SA nie wypasionego maybacha, ale fordą focusa. Za skromne 4318 zł. Co firma ubezpieczeniowa, to wyobraźnia sięgająca kosmosu. Dostajemy te kwiatki od czytelników. Co radzimy? Sięgnąć do wyszukiwarek internetowych, gdzie są oferty i o 30% tańsze. A za część zaoszczędzonej kasy można wesprzeć wydanie tygodnika.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8** Miałem większe oczekiwania
– rozmowa z prof. Juliuszem Gardawskim
- 12** Dożycie i co dalej
Co piąty nie wierzy, że wyjdzie
- 18** Miała być bomba, jest kapiszon
Zbiór zastrzeżony IPN
więcej chowa, niż ujawnia
- 46** Mgła
– rozmowa z Zofią Posmysz
- 54** Duch osiedli
– rozmowa z dr. Michałem Wiśniewskim

PUBLICYSTYKA

- 20** W szkole o seksie tylko po bożemu
Wychowanie do życia w Kościele
- 24** Pokaz wazeliniarstwa
US Army w Polsce

ZAGRANICA

- 26** Luki w raporcie Oxfamu
Gdzie zaczynają się nierówności
- 29** Zmiana kapitana
Martin Schulz kandydatem na kanclerza
- 32** Niechlubny koniec Pröllinezji
Korespondencja z Wiednia

KULTURA

- 36** Umarł król, niech żyje królik
Teatr Polski schodzi do podziemia
- 40** Ogień w gardle
Ewa Podleś trzęsie operą
- 44** Kulturalia
- 66** Arkadiusz Andrejkow
Szprejem obciążeni

HISTORIA

- 50** I realista, i marzyciel
Decyzja Mikołajczyka o powrocie
do kraju była słuszną

ZDROWIE

- 58** Trudne życie łuszczyka
10% chorych deklaroowało,
że chce umrzeć

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Prezes przyśpiesza
- 23** Tomasz Jastrun
Drapieżniki
- 35** Agnieszka Wolny-Hamkało
Nie bądź pan smutny, panie Waniek
- 53** Edward Mikołajczyk
Ściema z domieszką lengwidu



26
ZAGRANICA

LUKI W RAPORCIE OXFAMU

Gdzie zaczynają się nierówności

40
KULTURA

OGIEŃ W GARDLE

Ewa Podleś
trzęsie operą



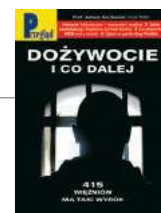
54

DUCH OSIEDLI

WYWIAD

– rozmowa z dr. Michałem Wiśniewskim

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Piotr Kochański



STANOWISKO „KUŹNICY”

(...) Państwo nasze od dłuższego czasu zmierza w złym kierunku. Odechodzimy od zasad współżycia w przyzwoitości, kulturze i światłości, od porządku konstytucyjnego i poszanowania prawa, od zbawiennych dla Polski związków z Unią Europejską, od przyjaznej współpracy z wszystkimi sąsiadami. A były to i są nadal sprawy najważniejsze, decydujące o naszym bezpieczeństwie i dobrostanie, o naszej przyszłości i samym wręcz istnieniu jako państwa pomyślnie się rozwijającego, przyczyniającego się do pokojowego współżycia w Europie i świecie. (...) Rządzące ugrupowania od roku prowadzą politykę konfliktu i zarządzania przez konflikt, bezmyślnych ataków na sąsiadów Polski, jej europejskich sojuszników, na cały dorobek III Rzeczypospolitej, na zasady parlamentarnej demokracji i praworządności. Następuje grożące tragicznymi skutkami rozdarcie polskiego społeczeństwa, powrót do języka nienawiści i poczucia zagrożenia przez obcych, wyzwolenie ducha agresji, ksenofobii i wręcz rasizmu.

Zagrożona została polska racja stanu, polski ład konstytucyjny i prawa obywatelskie. W tej sytuacji zwracamy się do wszystkich współobywateli, którzy czują te zagrożenia i chcą je przezwyciężyć:

- * ograniczymy wzajemne ataki w środowiskach demokratycznej opozycji, skupmy się na wspólnym dążeniu do zmiany władzy w Polsce;
- * zaniechajmy wzajemnych ataków i niechęci w środowiskach uważających się za lewicowe, wydzwignijmy to, co nas łączy;
- * ratujmy Polskę i Europę od szafu ekstremizmów, narodowych egoizmów, etnicznych i religijnych konfliktów;
- * szukajmy na drodze kompromisów porozumienia ze wszystkimi naszymi sąsiadami i z partnerami w Unii Europejskiej i NATO.

Rada „Kuźnicy”, Kraków, styczeń 2017 r.

ZA TYDZIEŃ

➤ „ZABIĆ KOTAŃSKIEGO I RODZINĘ JEGO”

➤ PRZEKRĘTY W SZTUCE
– rozmowa z Moniką Małkowską

➤ HAREM BOLESŁAWA CHROBREGO

➤ LITERACKIE WALENTYNKI:
poważnie, erotycznie
i z przymrużeniem oka

MOŻE HISZPANIE OBRONIĄ DĄBROWSZCZAKÓW?

Z uwagą i nadzieją przeczytałem artykuł o obrońcach nazwy ul. Dąbrowszczaków (PRZEGLĄD nr 4). Krytyka dąbrowszczaków ze strony IPN jest po prostu kompromitacją, przyznaniem racji faszystowskim rebeliantom zbrodniarza Franco. Myślę, że obrońcy nazwy ul. Dąbrowszczaków, a zarazem czci i pamięci tych dzielnych ludzi, powinni zwrócić się o wsparcie do ambasady Hiszpanii. Hiszpania uznała dąbrowszczaków za kombatanów, może więc kanałami dyplomatycznymi sprzeciwić się żenującym posunięciom naszych „dekomunizatorów”.



Marek Kubacki

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wszystkim, którzy zginęli – od tych, którzy o nich pamiętają. Te słowa z szarfy wieńca złożonego przed Ścianą Straceń były mottem wielu wspomnień byłych więźniów Auschwitz podczas obchodów 72. rocznicy wyzwolenia obozu.

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS



www.sklep.mleczko.pl

www.mleczko.pl

Mleczko

PYTANIE TYGODNIA

Czy potrzebujemy nowej Wisłockiej?

DR ANDRZEJ DEPKO,
*prezes Polskiego Towarzystwa
Medycyny Seksualnej*

Nie potrzebujemy nowej Wisłockiej, ponieważ zmieniły się czasy. W latach 60. i 70. kobieca seksualność była osadzona gdzieś między obowiązkiem a grzechem. Pozycja kobiety była bardzo niska, pod wieloma względami niezmienną od XIX w. Kobiety mało wiedziały o swojej seksualności i nie oczekiwały w tej sferze niczego ponad to, co dostawały od partnerów. Autorka „Sztuki kochania” pokazała im, że seks jest również dla nich. Od wydania książki sytuacja bardzo się zmieniła: kobiety są wyemancypowane, świadome swojej pozycji społecznej, swojego ciała, potrzeb i oczekiwań. Mają dostęp do wielu publikacji, zarówno polskich, jak i zagranicznych, do wiedzy zgromadzonej w internecie. Nie potrzeba obecnie kogoś tak rewolucyjnego jak Wisłocka.

ANNA JUREK,
*edukatorka seksualna, Fundacja
Nowoczesnej Edukacji SPUNK*

Seks otacza nas dziś ze wszystkich stron, z prawie nagimi piersiami stykamy się nawet w reklamach dachówek. Tymczasem resort edukacji wprowadza nową podstawę programową, za pomocą której będzie się tłoczyło młodzież do głów, że stosowanie

antykoncepcji jest przejawem niedojrzałości emocjonalnej. Nie chciałabym dorastać w takich czasach i współczuję ogromnej rzeszy młodych ludzi, która właśnie teraz dojrzewa i wchodzi w dorosłość. To, czego im potrzeba, to rzetelna wiedza dotycząca seksualności. Rozmowy o emocjach i związkach: romantycznych oraz intymnych, hetero- i homoseksualnych. Namysł nad tym, jaką dziewczyną czy chłopakiem warto być. Kompletna informacja o antykoncepcji i chorobach przenoszonych drogą płciową. Marzą mi się zastępy współczesnych Wisłockich obojga płci, mądrze towarzyszących młodzieży w okresie dorastania: pytających, słuchających, prowokujących do myślenia, przekazujących i porządkujących wiedzę.

MAGDALENA KUNZ,
aktywistka feministyczna

Ze wznowieniem książki Wisłockiej, której popularność dodatkowo pompuje film, jest taki problem, że nie towarzyszy mu zastrzeżenie, że to dokument historyczny. Obrazuje on światopogląd i stan wiedzy z lat 70., zdevaluowany przez współczesną medycynę, np. w kwestii rzekomych negatywnych psychologicznych i fizjologicznych skutków aborcji. Tymczasem w Polsce nie ma żadnej edukacji seksualnej, rodzice nie są przygotowani do odpowiadania na pytania dziecka-

ków, które wkrótce zaczną albo już zaczęły być aktywne seksualnie, szkoła i instytucje wychowawcze także. Jest tabu i twarde porno w internecie. Mam poważną obawę, że wiele osób, również dorosłych, sięgnie po książkę Wisłockiej jak po podręcznik, podczas gdy utrwała ona masę szkodliwych wyobrażeń o seksie jako przestrzeni męskiego przywileju i przemocy, o męskiej niezdolności do kontroli własnego popędu czy kobiecej współodpowiedzialności za gwałt.

VIOLETTA OZMINKOWSKI,
*autorka książki „Michalina Wisłocka.
Sztuka kochania gorszycełki”*

Wisłocka, która nauczyła Polaków kochać, była jedyna i niepowtarzalna. Myślę, że moja książka, na motywach której został napisany scenariusz do filmu „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej”, bardzo tę postać przybliżyła i pokazała, że seks to nie rozmowa o pozycjach i najnowszych gadżetach, tylko o miłości. Coraz trudniej nam mówić o uczuciach, a właśnie o tym pisała Wisłocka. Uczyła nas również, że jeżeli na czymś bardzo nam zależy, możemy to osiągnąć, bez względu na przeszkody. Możemy być z niej dumni, tak jak Amerykanie są dumni z Kinseya. „Dała radę” w walce z partią i z pruderią swoich czasów.

Not. Michał Sobczyk

MIAŁEM WIĘKSZE OCZEKIWANIA

Władze nie traktują związków, nawet Solidarności, jako faktycznego partnera

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Panie profesorze, w czerwcu 2013 r. związki zawodowe demonstracyjnie opuściły Komisję Trójstronną. Instytucjonalny dialog przedstawicieli pracowników, pracodawców i rządu wznowiono dopiero jesienią 2015 r. w nowej formule – Rady Dialogu Społecznego. Czy pod rządami Prawa i Sprawiedliwości – zgodnie z zapowiedziami liderów tej partii – dialog zyskał nową jakość?

– Z pewnością sytuacja jest znacznie lepsza niż w czasie drugiej kadencji rządów Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, choć od razu muszę przyznać, że moje oczekiwania były większe. Solidarność, która nakłoniła pozostałe związki do wyjścia z Komisji Trójstronnej w proteście przeciwko nieliczeniu się władzy z reprezen-



PROF. JULIUSZ GARDAWSKI

tacją świata pracy, oświadczyła, że jeśli dialog ma być kontynuowany, związki muszą uzyskać w nim pozycję równorzędnego partnera rządu, z którym konsultuje się wszystkie istotne projekty, którego stanowisko uwzględnia się przy podejmowaniu decyzji. Wydawało się, że ze względu na szczególną pozycję Solidarności i jej wkład w zwycięstwo PiS tak właśnie będzie. Z czasem jednak okazało się, że elita rządzącej partii wybrała inną strategię – odwołała się do ogółu społeczeństwa ponad związkami zawodowymi.

DOBRY TATUŚ PiS

Jakiś przykład?

– Choćby podniesienie od 1 stycznia płacy minimalnej z 1850 do 2 tys. zł brutto. PiS ogłosiło triumfalnie: rząd dał więcej, niż chciały związki, władza okazała się hojniejsza. To prawda, tyle że tej decyzji ze związkami nie konsultowano, pominięto je, a minister rodziny, pracy i polityki społecznej przekazała informację o podniesieniu płacy minimalnej na posiedzeniu Rady Dia-

– dyrektor Instytutu Filozofii, Socjologii i Socjologii Ekonomicznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, badacz klasy pracowniczej, związków zawodowych i dialogu społecznego

logu Społecznego. Rząd nie potraktował związków jak faktycznego partnera, z którym takie rzeczy się uzgadnia. **Sztandarowy program rządu Rodzina 500+ przyjęto bez uwzględnienia jakichkolwiek uwag związków, podczas konsultacji w zasadzie pominięto Radę Dialogu Społecznego.**

– Choć wszystkie związki poparły ten program, pojawiły się zastrzeżenia – głównie ze strony OPZZ – że jest on niesprawiedliwy, bo nie uwzględnia wielu pracujących samotnych matek, natomiast nagradza tysiącem złotych pięcioosobową rodzinę z klasy wyższej. Słyszę obawy ze strony związkowców, że rząd, skupiając się na gromadzeniu środków na ten bardzo hojny program wspierania rodzin, nadmiernie przesuwając nacisk na ogół obywateli ze szkodą dla pracowników najemnych.

W sprawie obniżenia wieku emerytalnego też zabrakło głosu związkowców. Zarówno OPZZ, jak i Solidarność domagały się uwzględnienia w projekcie ustawy stażu pracy.

– To kolejny przykład, że gra toczy się nie na poziomie rząd-związki zawodowe, lecz rząd-społeczeństwo. Wciąż słyszymy komunikaty: to dał wam rząd, a nie ma przekazu, zgodnie z którym jakieś ważne rozwiązanie powstało z udziałem związków. Władze traktują związki, także Solidarność, nie jako partnera, lecz jak sojusznika, od którego oczekuje się poparcia i uznania wiodącej roli rządu Prawa i Sprawiedliwości. Celem tej przemysłowej strategii jest zapewnienie PiS możliwości kierowania krajem przez wiele lat.

Faktycznym partnerem dialogu jest więc społeczeństwo, a nie związki?

– To złe określenie, bo partner ma coś do powiedzenia, tymczasem w tym przypadku mamy do czynienia z klarownym podejściem paternalistycznym: państwo, czyli PiS, występuje w roli opiekuna, natomiast społeczeństwo – podopiecznego, który powinien okazywać wdzięczność za troskę, jaką się go otacza.

UWIKŁANI W POLITYKĘ

W przeszłości Solidarność kilkakrotnie sparzyła się na bliskich związkach z polityką. Piotr Duda, walcząc o przewodnictwo z Januszem Śniadkiem, wytykał mu zbytne uwikłanie związku w politykę.

– Pamiętam późne lata 90., gdy w badaniach prestiżu OPZZ stało wyżej niż uwikłana w rządzenie Solidarność. To było dla niej czerwone światło, nie mogła podążać tą drogą. Piotr Duda rzeczywiście początkowo dystansował się od uzależnienia politycznego, szukał kontaktów z różnymi opcjami politycznymi, łącznie z SLD. **Pamiętam z tego okresu Leszka Millera śpiewającego „Mury” z protestującymi przeciwko podniesieniu wieku emerytalnego związkowcami z Solidarności...**



Inauguracja programu Rodzina 500+. Premier Beata Szydło oraz minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska w gospodarstwie rodzinnym Mystkowice-Szczucin, 1 kwietnia 2016 r.

– Z czasem jednak Piotr Duda poszedł śladami poprzednika. Janusz Śniadek też po objęciu przywództwa Solidarności chronił związek przed polityką, potem, pod sam koniec swojej kadencji, ponownie go upolitycznił, a dziś zasiada w ławach poselskich PiS. Piotr Duda ma silniejszą pozycję w Solidarności, bo w okresie rządów Platformy Obywatelskiej zmniejszył liczebność prezydium, obniżył stopień konsultowania decyzji z Komisją Krajową. Wtedy służyło to wzmocnieniu siły mobilizacyjnej związku, zdolności do szybkiej organizacji głośnych protestów. Obecnie słyszę opinie, że Piotr Duda wykorzystuje swoje wpływy w związku do zachowania dobrych relacji między rządem a Solidarnością, temperowania krytyki na poziomie branżowym. To spotyka się jednak z krytyką. **To było widać, gdy zrezygnował z własnej zapowiedzi manifestacji poparcia dla rządu i „policzenia się” z opozycją. Czyli Solidarność niekoniecznie pójdzie w ogień za PiS?**

– Czytałem oświadczenie Sekcji Młodych Solidarności, w którym z jednej strony podkreślono, że wprowadzie rząd przeprowadził wiele

korzystnych zmian, ale trzeba pamiętać, że PiS zdobyło władzę dzięki poparciu związkowców. A więc niczego nie daje z łaski. Młodzi związkowcy oczekują, że związek będzie mediatorem, a nie stroną w sporze politycznym. Piotr Duda musiał także tono-

ny. Mateusz Morawiecki zachowuje się jak technokraci z poprzednich rządów, którzy uważali, że konsultowanie zmian ze związkowcami psuje dobre projekty, pogarsza efektywność działania. 1 stycznia 2017 r. wszedł w życie przygotowany przez Ministerstwo

Elita rządzącej partii odwołuje się do ogółu społeczeństwa ponad związkami zawodowymi.

wać bardzo ostrą krytykę rządu ze strony Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ Solidarność.

RZĄD WIE LEPIEJ

PiS wprowadziło nowy obyczaj – wiele projektów ustaw, faktycznie rządowych, ma status projektów poselskich, co pozwala na uniknięcie uzgodnień i konsultacji.

– Ostatecznie także w tym przypadku konsultacje się odbywają, choć mają charakter głównie formalny. Zdarza się, że rząd dokonuje poprawek w projektach, o których partnerzy społeczni nie są informowani. Wybór dokumentów, które trafiają do Rady Dialogu Społecznego, jest selektyw-

Rozwoju pakiet „100 zmian dla firm”, który nie był konsultowany ze związkowcami. Zgodnie z nowymi rozwiązaniami przedsiębiorstwa zatrudniające do 50 osób są zwolnione z obowiązku ustalania regulaminu wynagradzania i regulaminu pracy oraz tworzenia Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych, z którego m.in. wypłaca się zapomogi, dofinansowuje wypoczynki pracowników oraz imprezy sportowe i kulturalne. W myśl obowiązujących wcześniej przepisów z tych zwolnień korzystały firmy zatrudniające do 20 osób. Wprowadzone modyfikacje są zatem niekorzystne dla setek tysięcy pracowników. Przewodnicząca od października Radzie Dialogu Społecznego Henryka Bochniarz uważa, ▶

► że to forum jest właściwym miejscem debaty na temat innowacyjności gospodarki, wydobywania jej z dryfu rozwojowego, analizowania Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju, opracowywanej i wdrażanej przez wicepremiera Morawieckiego. Jednak

Władza jest przeświadczona, że zdoła ukształtować nową świadomość społeczną.

jej apele o partnerskie konsultacje projektów przygotowywanych w Ministerstwie Rozwoju nie przyniosły dotąd skutku. Podobnie jak wystosowywane pięciokrotnie w ciągu ostatnich czterech miesięcy do premier Beaty Szydło zaproszenia do udziału w posiedzeniach Rady.

W okresie przewodniczenia Radzie przez szefa Solidarności na posiedzenia przychodzili nie tylko pani premier i jej ministrowie, ale także prezydent Andrzej Duda.

– Pod tym względem rzeczywiście dokonała się symboliczna zmiana w porównaniu z dawną Komisją Trójstronną.

Szczególnie wymowne było zignorowanie przez rządzących zaproszenia wystosowanego w grudniu do prezydenta, premier, marszałków Sejmu i Senatu, przewodniczących klubów parlamentarnych i prezesa PiS na spotkanie w sprawie kryzysu w Sejmie. Ryszard Terlecki oświadczył, że Rada została powołana do innych celów. Bezpośrednią przyczyną kryzysu był spór o prawomocność uchwalenia budżetu, co do którego zarówno związkowcy, jak i przedstawiciele pracodawców mieli wiele uwag.

– Przewodniczący Solidarności skrytykował pomysł spotykania się Rady z opozycją, widząc w tym wprowadzanie polityki do dialogu. Natomiast projekt budżetu przyszedł do Rady Dialogu Społecznego bardzo późno, bo to, co szczególnie istotne, „chroni” rząd przed dialogiem.

W okresie napięć związanych z budżetem pojawiły się groźby, że lekceważeni przez rząd przedstawiciele pracodawców wyjdą z Rady, podobnie jak związkowcy z Komisji Trójstronnej w 2013 r.

– Nawet gdyby część z nich tak zrobiła, Rada działałaby nadal. Ona jest inaczej urządzona niż Komisja Trójstronna, inne są zasady głosowania. W Radzie zasiada 24 przedsta-

wicieli związków – po ośmiu z trzech central, 24 przedstawiciele pracodawców – po sześciu z czterech organizacji, oraz przedstawiciel rządu. Wszyscy mają prawo głosu, nieobecność części osób nie powoduje zatem paralizu Rady.

Przewodniczący Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz zarzucił rządowi pozorowany dialog w sprawie reformy szkolnictwa. Dlaczego, mimo tak dużego oporu, władze przeforsowały swój plan?

– Sądzę, że to jeden z kluczowych elementów wielkiej wizji PiS przebudowy państwa i społeczeństwa, rekonstrukcji mentalności Polaków. Władza jest przeświadczona, że reformując strukturę systemu szkolnictwa, dokonując zmian kadrowych i programowych, zdoła ukształtować nową świadomość społeczną.

CZAR 500+

ZNZ nie rezygnuje – zamierza zebrać co najmniej pół miliona podpisów pod referendum. To przypomina mi zbieranie podpisów przez Solidarność w sprawie referendum na temat wieku emerytalnego. Wtedy Sejm odrzucił wniosek o referendum. Tym razem będzie podobnie?

– Odpowiedź wydaje się oczywista, PiS jest święcie przekonane – podobnie jak Platforma w sprawie wieku emerytalnego – że ma rację, i nie ustąpi.

Piotr Duda musiał tonować bardzo ostrą krytykę rządu ze strony Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ Solidarność.

Wyda mi się, że władza jest przygotowana do konfrontacji, bo czuje poparcie społeczne wynikające z 500+, obniżenia wieku emerytalnego, podniesienia płacy minimalnej i minimalnej stawki godzinowej. Wykorzystując swoją siłę i wpływ w mediach, będzie starała się skierować niechęć na nauczycieli, przedstawicieli protestujących jako ukształtowanych przez stary reżim, broniących dawnych interesów, przeciwników dobrej zmiany. ZNZ nie może liczyć na wsparcie Solidarności, nie może być pewien nawet pełnej determinacji ogółu federacji wcho-

dzących w skład OPZZ. Po pierwsze, w przeszłości ZNP rozgrywał własną kartę z rządem, nie oglądając się na inne federacje, a po drugie, OPZZ skupia aż 80 różnych federacji i związków, reprezentujących dziesiątki rozmaitych interesów. OPZZ będzie popierało ZNP, ale wątpię, aby podjęło na masową skalę czynne akcje solidarnościowe lub zdecydowało się na wyjście z Rady Dialogu Społecznego w proteście przeciwko reformie szkolnictwa.

Kulminacją sporu wokół podwyższenia wieku emerytalnego był dramatyczny protest pod Sejmem, blokada parlamentu. Piotr Duda powiedział wówczas, że politycy PO i PSL „podjęli decyzję, która jest dla nich politycznym samobójstwem”. Czy decyzja w sprawie zmian w oświacie może mieć taki charakter?

– Wydaje mi się, że sytuacja jest inna. Wciąż działa uwodzący czar 500+, PiS wiedziało, że najefektywniejszą metodą pozyskania zwolenników jest danie ludziom pieniędzy do ręki. Ten program – zgodnie z badaniami przeprowadzonymi przez Ryszarda Szarfenberga – radykalnie ograniczył skrajne ubóstwo. Czteroosobowa rodzina żyjąca z jednej pensji 2 tys. zł teraz ma do dyspozycji 3 tys. zł. Ten tysiąc to pieniądze ekstra, do tego gwarantowane co miesiąc przez państwo. Żeby sytuacja się zmieniła, 500+ musiałoby trwale wejść do budżetu rodzinnego i być traktowane jako coś naturalnego. Wówczas pojawiają się nowe oczekiwania i pretensje. Ale na to trzeba jeszcze poczekać. Tym bardziej że do korzyści finansowych uzyskanych dzięki PiS dochodzi jeszcze jeden nie-

zwykle ważny element: swojskość tej władzy i jej umiejętność przekonania wielu Polaków, że poprzednia władza swojska nie była, a KOD i opozycja swojskie nie są. PiS w rzeczywistości niewiele poza poparciem wymaga, a przy tym nieustannie uwodzi przeciętnych zjadaczy chleba: zawracali wam głowę i nieustannie pouczali jacyś mądrze, profesorowie, uważający się za elitę, ale to wy jesteście solą tej ziemi i nie powinniście wątpić w słuszność waszych poglądów.

Krzysztof Piławski



FUNDACJA ROZWOJU KARDIOCHIRURGII
im. prof. Zbigniewa Religi



Twojego
podatku
= 100 % serca

Pomóż w leczeniu dzieci
chorych na serce

KRS: 0000069136 | www.frk.pl

eprasa.pl 9316e9b64f

W Polsce jest
415 więźniów
skazanych
na dożywocie.
W tym roku dwóch
pierwszych może
wyjść na wolność

Ewa Rogowska

Skazani mówią dożywotka. Nie brzmi tak przerażająco jak dożywocie. Oznacza, że w więzieniu będzie się przebywać co najmniej 25 lat. Karę dożywotniego więzienia można dostać jedynie za zabójstwo kwalifikowane. Nie wystarczy pozbawić człowieka życia, muszą temu towarzyszyć wyjątkowe okoliczności, takie jak szczególne okrucieństwo, użycie materiałów wybuchowych, akt terroryzmu, dręczenie, rozbój, wzięcie zakładnika.

W Polsce na karę dożywotniego pozbawienia wolności skazano prawomocnie 399 więźniów. Kobiet jest w tej grupie zaledwie 13. Łącznie ze skazanymi nieprawomocnie wyrok dożywocia ma 415 osób. Ta grupa się powiększa, bo sądy orzekają kolejne wyroki, a do tej pory nikt nie wyszedł na warunkowe przedterminowe zwolnienie, co jest możliwe po upływie ćwierć wieku. 15 więźniów zmarło.

Doszli za to więźniowie skazani na dożywocie przez sądy zagraniczne. Wrócili do kraju, bo tak zdecydował tamtejszy sąd – wychodząc z założenia, że nie ma powodu, by ich utrzymywać na koszt państwa – lub sami starali się o odbywanie kary w Polsce. Bo choć w polskich więzieniach warunki są skromniejsze niż w zagranicznych, to są tu najbliżsi i nie ma bariery językowej.

WARUNKOWA WOLNOŚĆ

Do 1970 r. w Polsce obowiązywał Kodeks karny z 1932 r. Przewidywał on zarówno karę śmierci, jak i dożywotniego pozbawienia wolności. W nowym kodeksie, który wszedł w życie w 1970 r., dożywocia nie było, pozostała natomiast kara śmierci. Pod koniec lat 80. przyjęto moratorium na jej wykonywanie. Już w no-

DOŻYWCIE I CO DALEJ



wym ustroju, 7 grudnia 1989 r., Sejm przegłosował ustawę o amnestii. Skazanym na karę śmierci zamieniono wyroki na 25 lat pozbawienia wolności. Te osoby już wyszły z więzienia lub zmarły w sposób naturalny.

Po amnestii sądy jednak nadal orzekały kary śmierci. Otrzymało je dziewięć osób, które ze względu na moratorium oczekiwały w celach śmierci na dalszy rozwój wydarzeń. W 1995 r. weszła w życie tzw. nowelizacja lipcowa Kodeksu karnego, która umożliwiała sędziom wymierzanie kary dożywotniego więzienia, mimo

jednego. W dużych zakładach skazani na dożywocie mają lepsze warunki, bo jest więcej psychologów, istnieją oddziały terapeutyczne.

Skazanych na dożywocie osadza się w celach wieloosobowych, z więźniami o krótkich wyrokach. Był przepis, który mówił, że do celi młodocianych można wsadzić „starego” więźnia, który będzie pełnił funkcję tzw. kształtownika. Więźniowie dożywotni często jednak nie chcą, by ich tym obarczać.

– Człowiek, który ma wyrok 25 lat czy dożywocia, to dla młodych więź-

go z 1997 r. była Monika Szymańska. Sąd uznał, że to ona odgrywała rolę sprawcą w brutalnym morderstwie maturzysty Tomka Jaworskiego w czerwcu 1997 r. W więzieniu skończyła szkołę i pracuje. W 2022 r. będzie mogła się ubiegać o warunkowe przedterminowe zwolnienie.

Jedną z kobiet, dla których prokurator ostatnio domagał się kary dożywocia, była 18-letnia Zuzanna M. To ona namówiła swojego chłopaka Kamila N. do zabicia jego rodziców. Zbrodni dokonali w domu rodzinnym Kamila w Rakowiskach w grudniu 2014 r. Mimo wniosku prokuratora sąd, biorąc pod uwagę wiek oskarżonej, skazał ją na 25 lat więzienia. W zeszłym roku Zuzanna M. wygrała konkurs poezji więziennej. To wyróżnienie zbulwersowało nawet więźniów.

MIAŁ BYĆ KUCHARZEM

Przed aresztem śledczym na warszawskiej Białołęce grupa ludzi. Starsza kobieta taszczy wielkie pudło. Młoda – telewizor. Kilka osób nerwowo pali papierosy. Od poniedziałku do piątku na skraj ulicy Ciupagi zjeżdżają ludzie z całego Polski, by odwiedzić kogoś bliskiego. Jest tu ponad 1,3 tys. więźniów. Sami mężczyźni. Wśród nich skazani na dożywocie. Mam poznać trzech.

Piotr pochodzi z Żyrardowa. Jest najmłodszy z tej trójki, ma 36 lat, ale najdłuższy staż więzienny. Po raz pierwszy trafił za kraty w 1996 r. jako 16-latek. Wyszedł po siedmiu latach. W 2005 r. znowu znalazł się w więzieniu. Był członkiem zorganizowanej grupy przestępczej. Został oskarżony o zabójstwo kobiety w Łodzi. Na pytanie, czy kontaktował się z rodziną ofiary, czy może przeproszał, przysyłał pieniądze, mówi: – Nie. Jak wykazu-

SPOŁECZEŃSTWO JESZCZE SIĘ NIE ZORIENTOWAŁO, ŻE DOŻYWCIE NIE OZNACZA WIĘZIENIA AŻ DO ŚMIERCI.

że kodeks przewidywał karę śmierci. W kodeksie uchwalonym rok później, który zaczął obowiązywać w 1997 r., karę śmierci zastąpiono karą dożywocia. Osoby już skazane na śmierć otrzymały wyrok dożywotniego pozbawienia wolności. I o ile nie zmarły, nadal przebywają w zakładach karnych.

– Zniesienie kary śmierci w Polsce było zgodne z międzynarodowymi oczekiwaniami – mówi Kajetan Dubiel, w latach 2009-2010 dyrektor generalny Służby Więziennej. – Uważano, że każdy kraj wchodzący do Unii Europejskiej – a myśmy wtedy do niej aspirowali – jest zobligowany do zlikwidowania kary śmierci. Jako najwyższą karę wprowadzono dożywocie pozbawienie wolności.

Po raz pierwszy orzeczono je w 1998 r., tak więc pierwsi z tych skazanych nabędą prawo do przedterminowego opuszczenia więzienia w 2023 r.

Część z tych osób już wcześniej przebywała w aresztach, inne zaś siedziały z wyrokiem kary śmierci.

TROCHĘ SPOKOJU

Kiedy wprowadzono karę dożywotniego pozbawienia wolności, z Ministerstwa Sprawiedliwości nie przyszły żadne wytyczne, jak z nimi postępować.

– Dożywotnich się nie grupuje – twierdzi Kajetan Dubiel. – Są zakłady karne lepiej przygotowane do pobytu w nich długowyrokowców, np. Wronki czy Wołów. Tam takich dożywotnich jest 20-30. Są i takie, gdzie nie ma ani

niów autorytet – twierdzi Kajetan Dubiel. – Ale ci starzy mówią: „Panie wychowawco, co ja będę się z tymi gnojami użerał. Ja chcę sobie książkę poczytać, mecz obejrzeć”. To pokazuje inną perspektywę. Paradoksalnie z długowyrokowcami dobrze się pracuje.

Na początku odbywania kary jest faza buntu. Jak tłumaczy Dubiel, przy 25 latach i przy dożywociu trwa ona do trzech lat. A potem dożywotni się przystosowuje, świetnie funkcjonuje w więzieniu. Tacy więźniowie są kalifikatorami, czyli dyżurnymi, którzy roznoszą posiłki, pracują w bibliotekach, w radiowęzłach. Wyrabiają sobie niszę, chcą spokoju. Nie są zainteresowani rozrabianiem.

Zupełnie odmienna kategoria to skazane na dożywocie kobiety. – Ta trzyletnia faza buntu ich nie dotyczy. U nich trwa przez cały wyrok. Może dlatego, że są bardziej związane emocjonalnie z domem – przekonuje Kajetan Dubiel.

Pierwszą kobietą skazaną na dożywocie na podstawie Kodeksu karne-

Trzy rodzaje dożywocia

W Europie jedynie w kilku państwach nie ma kary dożywocia: w Portugalii, Norwegii i krajach byłej Jugosławii. W Rosji dożywocia nie orzeka się wobec kobiet. W systemie prawnym angielskim i walijskim, które są tożsame, na dożywotnie pozbawienie wolności można zostać skazanym również za gwałt lub rozbój kwalifikowany. – To znaczy, że w niektórych państwach zagrożenie dożywociem jest również za przestępstwa, które u nas są pospolite i zagrożone karą więzienia do 10-12 lat – komentuje dr Maria Niełacna. – W Anglii są trzy rodzaje dożywocia: jedno bezwzględne, czyli ostateczne, drugie względne, po upływie okresu punitynnego można się starać o warunkowe zwolnienie i wtedy to zwolnienie jest obligatoryjne, czyli człowiek wychodzi, oraz takie, że skazany ma prawo wyjścia, ale do końca swoich dni jest pod kontrolą państwa, ma dożywotni dozór.

► jemy skrucę i przesyłamy pieniądze rodzinie ofiary, to w pewnym sensie przyznajemy się do winy. Ja nigdy do zabójstwa się nie przyznałem.

Odsiedział już 11 lat. Za cztery będzie miał szansę na przeniesienie do zakładu półotwartego.

Piotr wpadł w Łodzi. Kiedy dostał wyrok dożywocia, miał 25 lat i wykształcenie niepełne zawodowe – ślusarz mechanik. Najpierw sąd dał mu kategorię N, czyli niebezpieczny. Ponieważ więzienie w Łodzi nie jest przystosowane do pobytu w nim enek, przeniesiono go do Piotrkowa Trybunalskiego. Kiedy Piotrowi zdjęto enkę, były kolejne miejsca: Płock, Łowicz, Kamińsk, Warszawa-Mokotów. Zaczął się uczyć w szkole zawodowej kucharskiej, żeby pracować w więziennej kuchni. Dostał pracę. Ale postanowił zrobić maturę. Dlatego przeniesiono go na Białąkę. Teraz jest uczniem II klasy liceum. Mieszka w celi kilkuosobowej. Trzy razy w miesiącu odwiedza go mama albo żona. Czasem przyjadą z dziećmi, nastoletnimi bliźniętami. Kiedy po 25 latach uda mu się wyjść z więzienia, córka i syn już mogą być po studiach, mogą mieć part-

Jeśli człowiek ma siedzieć tak długo jak on, musi mieć życie poukładane i zaplanowane. On więc planuje, że w przyszłym roku zda maturę i zacznie studiować zaocznie. Jeszcze nie zdecydował, jaki kierunek wybierze, ale raczej będzie to politechnika.

– Kiedy sąd skazał mnie na dożywocie, to w pierwszym momencie pomyślałem, że trzeba uwolnić żonę – wspomina Piotr. – Zaproponowałem jej, żeby sobie na nowo ułożyła życie, ale ona powiedziała, że będzie na mnie czekać. Dla mnie to dobrze, bo inaczej się odczuwa siedzenie w więzieniu, kiedy wiadomo, że ktoś czeka, a inaczej, kiedy nikogo nie ma.

CO NAJMNIEJ 35 LAT

Mateusz ma 42 lata. Pochodzi z okolic Wyszkowa. Siedzi za udział w zabójstwie. – Nikogo nie zabiłem – mówi twardo. – To był napad na bank w 2001 r. Pewnie pani słyszała... Nie przypominam sobie od razu. Potem dopiero sprawdzam: trzech mężczyzn obrabowało bank. Jeden z nich – nie Mateusz – z pistoletu gazowego przeobionego na ostre naboje zabił strażnika, potem strzałami w tył głowy trzy

raz pierwszy o warunkowe zwolnienie będzie mógł się ubiegać po 35 latach. Będzie miał wtedy 62 lata.

– Na widzenia przyjeżdżają do mnie mama, tata, brat, dalsza rodzina, cioteczne rodzeństwo. Są u mnie raz albo dwa razy w miesiącu – opowiada Mateusz. – Czuję, że mnie Kochają. Jestem szczęściarzem, że rodzina mnie nie skreśliła. Kiedy byłem na wolności, żyłem z nimi w bardzo dobrej komitywie. Jak obserwuję kolegów, to widzę, że rodzice i rodzeństwo zwykle utrzymują z nimi kontakt, ale pojawiają się problemy z żonami i z dziećmi, są rozwody. A ja się nie denerwuję, nie myślę, co się dzieje na wolności.

Nie zna więźnia, który ma karę dożywocia i przeszedł do zakładu półotwartego. Sam stawał już na komisji dwa razy, bo ocena jest co pół roku. – Myślę, że na decyzję komisji ma wpływ całokształt odsiadki, ale przede wszystkim dobre zachowanie. Ale pewnie takich wyrokowców jak ja, z art. 148 par. 2, ciężko zaopiniować pozytywnie.

Na wolności wyuczył się zawodu elektryka-elektronika. Kiedy trafił do więzienia w Radomiu, postanowił skończyć liceum. Pisał podania, ale odmawiano mu, bo nie było miejsc. Dopiero jakieś półtora roku temu jego podanie zostało rozpatrzone pozytywnie. W Radomiu nie ma szkoły, więc starał się o przeniesienie na Białąkę. Słyszał od innych osadzonych, że tutejsza szkoła jest na dobrym poziomie. Znał już ten zakład, bo siedział tu w czasie śledztwa. Jest w drugiej klasie liceum. Najbardziej lubi matematykę, chociaż to trudny przedmiot i trzeba się przyłożyć. Ale daje radę. Szkoła to forma resocjalizacji. Ważne są też rozmowy z psychologiem. Ale chyba najważniejszy jest dla niego kontakt z rodziną.

– Każdy ze skazanych na dożywocie ma nadzieję, że wyjdzie – twierdzi. – Liczę na to, że zdejmy obostrzenia, że Unia Europejska nakaze, by nie trzymać człowieka w więzieniu dłużej niż 20 lat. To, że kilka osób przeszło do zakładów półotwartych, dobrze rokuje na przyszłość dla dożywotek. Ja staram się nie myśleć, jak to będzie, kiedy wyjdę. Żyję dniem dzisiejszym. Do szkoły chodzę, żeby mieć satysfakcję i żeby nie zwariować. Dopóki nie skończę szkoły, będę tutaj. A potem? Kto wie. Kiedy byłem w innych zakładach, zdarzało się, że nagle przycho-

WNIOSKI O WARUNKOWE PRZEDTERMINOWE ZWOLNIENIE ZACZNĄ WPŁYWAĆ OD TEGO ROKU.

nerów, dzieci. Ale jak będzie z tym wyjściem?

– Zrobili z nas takich odszczepieńców – skarży się Piotr. – Inni skazani jeśli dostaną odmowę warunkowego zwolnienia, mogą co pół roku ubiegać się o kolejną wokandę. My musimy czekać aż pięć lat, żeby ponownie złożyć prośbę do sądu penitencjarnego. Czy wierzę, że wyjdę? W coś trzeba wierzyć. Liczę na to, że nastąpią zmiany podejścia sądów penitencjarnych do takich ludzi jak my. I zmiany w podejściu administracji więziennej. Niektórzy siedzą 19 lat i nie przeszli do zakładu półotwartego. Zakłady karne i sądy penitencjarne boją się podjąć próbę. Łatwo było w 1997 r. uchwalić zmianę Kodeksu karnego i wprowadzić karę dożywocia, ale teraz nie wiedzą, co z tym zrobić. Planowano, że zabójstwo kwalifikowane, czyli art. 148 par. 2, zostanie zniesione i każdy zabójca będzie podlegał karze od ośmiu lat do dożywocia.

kasjerki. On, Mateusz i trzeci uczestnik napadu dostali kary dożywocia. Na procesie Mateusz powiedział: – Chciałem przeprosić, nie szedłem tam z zamiarem zabicia, nie jestem mordercą, proszę o łagodny wymiar kary.

Kiedy w 2001 r. Mateusz trafił do więzienia, miał nieco ponad 26 lat. Odsiedział 15 lat i właściwie mógłby zostać przeniesiony do zakładu karne-go półotwartego. Ale nie został.

Jak wynika z danych Służby Więziennej, z grupy 399 więźniów prawomocnie skazanych na dożywocie 99 odbyło już co najmniej 15 lat kary. Jedynie osiem osób przeniesiono do zakładów typu półotwartego: cztery kobiety i czterech mężczyzn.

Mateusz nie ma żony ani dzieci. Kilka miesięcy przed zatrzymaniem został się z dziewczyną, a żadnego poważnego związku nie zdążył stworzyć. Jego była dziewczyna wyszła za mąż, ma dziecko. A on, no cóż... Czy gdyby się nie rozstali, chciałby, żeby na niego czekała? Nie. Sąd zdecydował, że po



Pierwszą kobietą skazaną na dożywocie była Monika Szymańska, odpowiedzialna za morderstwo maturzysty Tomka Jaworskiego. W 2022 r. będzie mogła się ubiegać o warunkowe przedterminowe zwolnienie.

Cieszy się, że rodzina nie zostawiła go samego, na widzenia przyjeżdżają żona i syn. – Kiedy dostałem dożywocie, uznałem, że trzeba żonie dać wybór, czy chce zostać ze mną, czy woli układać sobie życie. Myślę, że każdy normalny człowiek by tak zrobił. A gdyby pani dostała dożywocie, to chciałaby, żeby ktoś czekał i marnował sobie życie? Ale żona zdecydowała, że będzie czekać.

Syn miał rok i dwa miesiące, kiedy Jerzego zamknęli w więzieniu. Nie pamięta taty z wolności. – Miał problemy z tego powodu, że jestem w więzieniu. Było kilka incydentów. Wie pani, jakie dzieci są brutalne – mówi Jerzy. – Moi koledzy, którzy też mieli wyroki, także mieli tego rodzaju problemy z dziećmi. Tam, gdzie mieszka moja rodzina, wszyscy mnie znają. To hermetyczne środowisko, nie udałoby się ukryć, że mam wyrok. Syn chodzi do szkoły, do której i ja kiedyś chodziłem, 50 m od domu.

dził funkcjonariusz i mówił, że idzie się w transport, że przenoszą do innej jednostki penitencjarnej. Nic nie można zaplanować, bo dziś jesteś tu, a za rok gdzie indziej. A co będzie, kiedy wyjdę? Rodzice być może już nie będą żyli. Nie będę miał mieszkania. Może brat mnie wesprze?

KALIFAKTOR

Jerzy podobnie jak Mateusz ma 42 lata. I podobnie jak Mateusza nie przeniesiono go do zakładu półotwartego, choć formalnie można było to zrobić dwa lata temu. Pochodzi z Warszawy. Siedzi od 1999 r. Nie chce mówić o szczegółach zabójstwa. Jedynie tyle, że współoskarżone w tej sprawie są cztery inne osoby, czyli sąd zapewne uznał, że było to działanie w zorganizowanej grupie przestępczej. W pierwszej instancji sąd wymierzył dożywocie, oskarżeni wnieśli apelację. Sprawa doszła aż do Sądu Najwyższego, który w lutym 2013 r. wyrok pierwszej instancji utrzymał.

Jerzy zapowiada, że zamierza się ubiegać o rewizję procesu. – Nie czuję się winny. Zostałem pomówiony w prokuraturze, ale w sądzie nikt tego nie potwierdził.

Ma wesołe iskierki w oczach i zwraca się do mnie per szanowna pani. Dziwi się, że chcę pisać o skazanych na dożywocie. – Szanowna pani, ja tu, na Białołęce, jestem od 2005 r. Przenieśli mnie ze względu na to, że przez lata toczyła się sprawa sądowa.

JAK IZOLACJA, TO NIE GADAJMY O RESOCJALIZACJI.

Na wolności uczyłem się w technikum gastronomicznym, tutaj skończyłem liceum, zrobiłem maturę. Teraz chodzę na dwuletni kurs suchej zabudowy. Zdobędę za jednym zamachem trzy specjalności: malarza, tapiciarza i posadzkarza. Czy mi się przydadzą? Mam nadzieję, że tak. Poza tym nie wyobrażam sobie, żebym miał siedzieć w celi i nic nie robić. Można zwariować.

Kiedy Jerzy skończy na wiosnę kurs suchej zabudowy, będzie się starał o pracę w więzieniu. Na razie pełni funkcję kalifaktora – rozwozi posiłki do cel. To wyraz zaufania ze strony administracji więziennej, bo taka osoba porusza się po budynku i styka z wieloma więźniami. Na pytanie, czy osoby, które lubi, dostają większe porcje, obrusza się: – Nie, tu nie może być żadnego faworyzowania. Są osadzeni, ▶

► którzy w ogóle nie mają paczek żywnościowych. Jak mógłbym im zmniejszyć porcje? To wykluczone!

Od 17 lat nie był poza murami. Oczywiście wie, jak wygląda życie po drugiej stronie, dzięki spotkaniom z najbliższymi, ale także dzięki temu, że w celi można mieć telewizor i DVD. – My nigdzie nie wychodzimy. Nic się w tym kierunku nie robi i chyba nikt specjalnie się tym nie przejmuje. Jeśli nie wychodzi się na zewnątrz przez 25 lat, to człowiek staje się chyba inwalidą umysłowym. Mówi pani, że osiem osób skazanych na dożywocie przeniesiono do zakładów półotwartych. To dobrze. A warunkowe zwolnienia? Nie wiadomo, kto będzie stawiał. Czy będą to ludzie, których ktoś odwiedza, czy będą mieli gdzie wrócić? Uważam, że ludzie, którzy zostali tutaj sami, będą mieli trochę trudniej, kiedy sąd będzie decydować o warunkowym zwolnieniu.

RESOCJALIZACJA...

– Kiedy wprowadzono nowy Kodeks karny, my wszyscy, wychowawcy i psychologowie, zdaliśmy sobie sprawę, że będzie coraz więcej więźniów, którzy będą u nas bardzo długo i którzy będą się starzeć – przyznaje Kajetan Dubiel, który przez prawie 10 lat pełnił funkcję dyrektora Biura Penitencjarnego i zajmował się resocjalizacją skazanych, czyli szkołami, terapiami, leczeniem odwykowym, programami dla więźniów seksualnych. – W Niemczech są cztery zakłady karne dla ludzi powyżej 70 lat. U nas takich nie ma. Zaczęliśmy przygotowywać specjalny program. Uznaliśmy, że tym osobom trzeba zaoferować pracę i naukę. Stworzyliśmy centra kształcenia ustawicznego. W przypadku szkół zawodowych jest taki problem, że np. jedno stanowisko obróbki skrawaniem kosztuje 60 tys. zł.

– Więźniów dożywotnich resocjalizuje się na ogólnych zasadach – twierdzi Kajetan Dubiel. – Taki więzień może np. chodzić na zajęcia dla anonimowych alkoholików, a potem sam zostać moderatorem i prowadzić grupę. Niektórzy idą w stronę Kościoła. Jeden ze skazanych, o których opowiadał film „Dług”, na konferencji powiedział: „W więzieniu nie ma resocjalizacji. Ale ja się zresocjalizowałem”. A ja mówię, że tak jest najlepiej – gdy więzień nie odczuwa, że jest

19 grudnia na dożywocie został skazany Dariusz P. oskarżony o celowe spowodowanie pożaru, w którym zginęła jego żona oraz czworo dzieci. O przedterminowe zwolnienie będzie mógł się ubiegać po 35 latach.



resocjalizowany. I jest przekonany, że zawdzięcza to tylko sobie.

...CZY JEDNAK IZOLACJA

Zgodnie z Kodeksem karnym po 25 latach można wystąpić do sądu penitencjarnego o warunkowe przedterminowe zwolnienie. Do tej pory żaden skazany nie opuścił więzienia przed terminem. Są natomiast tacy, którym sąd w wyroku zaznaczył, że pierwszy raz mogą to zrobić po nawet 50 latach. Takie przedłużone okresy ma 98 skazanych.

Pierwsze wnioski o warunkowe przedterminowe zwolnienie mogą być złożone w tym roku. Nie wiadomo, jak się do nich odniosą sądy penitencjarne. Gdyby opierać się na tym, że skazanych na 25 lat sądy zwalniają warunkowo średnio po 22 latach, można założyć, że uzyskanie zwolnienia przez więźnia dożywotniego nie będzie łatwe. A jeśli sądy jednak zaczną zwalniać, jak zaczynać nowe życie w wieku 50 czy 60 lat?

– Myślę, że to trudne – zgadza się Kajetan Dubiel. – Michel Foucault (francuski filozof, historyk i socjolog – przyp. red.) pisał, że więzienie to nieludzki pomysł, ale nikt nie wymyślił nic lepszego. Dożywocie ma jedno uzasadnienie – izolacja. Jak izolacja, to nie gadajmy o resocjalizacji. Przy resocjalizacji trzeba stosować zupeł-



nie inne bodźce wobec prostego robotnika, a inne wobec docenta. Inne też na początku kary, kiedy skazany się buntuje, inne po kilku latach. Więzienie to takie laboratorium, ostatnia prerogatywa władzy absolutnej. To jest taka Bastylia, taka Syberia. Mam satysfakcję, kiedy któryś polityk trafi do więzienia, zwykle na dzień czy dwa. Wychodzi spocony, mówi: „Byłem w piekle”. On myślał, że nigdy tam nie trafi.

Służba Więzienna nie ma danych dotyczących tego, kiedy pierwsi skazani na dożywocie będą mieli szansę wyjść na wolność. Z badań prowadzonych przez Stowarzyszenie Interwencji Prawnej wynika, że w tym roku dwóch skazanych na dożywocie będzie mogło wystąpić o warunkowe zwolnienie.

Od kiedy w Polsce pojawili się skazani na karę dożywocia, interesują się nimi także naukowcy, m. in. prof. Andrzej Rzepliński. Największe i kompleksowe badania dotyczące tej grupy skazanych wykonało w 2012 r. Stowarzyszenie Interwencji Prawnej wspólnie z Katedrą Kryminologii i Polityki Kryminalnej Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersy-



tetu Warszawskiego. Zostały przeprowadzone w ramach projektu „Watch More” finansowanego przez Open Society Institute – Budapeszt. Zakończono je kompleksowym raportem „Wykonać karę i co dalej? Wykonanie kary dożywotniego pozbawienia wolności w Polsce”. Dokument ten przygotowała dr nauk prawnych Maria Niełacznna, adiunkt w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji, członkini m.in. Stowarzyszenia Interwencji Prawnej.

– Ustawodawca przewidział, że po upływie jakiegoś okresu kary, czy to jest kara trzech lat więzienia, czy dożywotnia, skazany ma prawo złożyć wniosek do sądu penitencjarnego o warunkowe przedterminowe zwolnienie – wyjaśnia dr Niełacznna. – Traktuje on dożywotnich więźniów jak wszystkich innych. Po 15 latach mają szansę awansować do łżejszego reżimu, do zakładu półotwartego, gdzie m.in. mogą z upływem czasu wychodzić na przepustki. To jest związane z pracą nad sobą, z dojrzewaniem do zaufania i odpowiedzialności.

Po upływie 25 lat skazany może złożyć wniosek o warunkowe przedterminowe zwolnienie i może być

zwolniony pod pewnymi warunkami, a następnie jeszcze przez 10 lat na wolności będzie pod dozorem państwa, będzie miał kuratora i różne nakazy lub obowiązki, np. podjęcia pracy, powstrzymania się od powrotu do dawnego środowiska.

– Sąd wymierzający wyrok może podnieść próg warunkowego zwolnienia nawet do 50 lat, ale musi to uzasadnić – zaznacza dr Maria Niełacznna. – Ta kara musi spełniać warunki cywilizacyjne. Orzeczenie w przypadku 50-latka kary z takim progiem jest nieludzkie, bo pozbawia go nadziei, jakkolwiek byłaby mglista, że przynajmniej umrze na wolności. Rozumiem potrzebę odpłaty czy sceptyczną opinię społeczną dotyczącą warunkowego zwolnienia. Sama przeżywa różne emocje, kiedy czytam wyroki i dowiaduję się, w jaki sposób ci ludzie żyli, zabijali. Myślę jednak, że takie standardy cywilizacyjne warto utrzymywać.

Administracja więzienna jest jednak bardzo ostrożna. Nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za to, co skazany mógłby zrobić na przepustce. – Według opinii biegłych sądowych większość skazanych na karę dożywotniego więzienia to ludzie zaburzeni, mający nieprawidłową osobowość, nierzadko niebezpieczni, antyspołeczni, niepotrafiący rozumieć innych, współczuć, odczuwać

histerii? Jak wtedy, gdy na wolność wyszedł seryjny morderca Mariusz Trynkiewicz, skazany na karę śmierci zamienioną na 25 lat więzienia. Mając to na uwadze, sądy penitencjarne będą zapewne bardzo ostrożne.

Warto jednak pamiętać, że kilkuset czy nawet kilka tysięcy kwalifikowanych zabójców od dawna jest na wolności. Kara 25 lat więzienia za najcięższe przestępstwa, w tym za zabójstwa, była już w Kodeksie karnym z 1969 r. – Myślę, że część z tych skazanych jest ojcami, dziadkami – mówi dr Niełacznna. – Nie możemy demonizować kary dożywotnia. Ludzie równie zaburzeni, z równie okrutnymi zabójstwami na sumieniu, już funkcjonują w społeczeństwie. Miałam też kontakt ze skazanymi na 25 lat, którzy są na warunkowym zwolnieniu, i nie słyszałam, żeby dopuścili się zbrodni. O tych, z którymi mam kontakt, wiem, że dobrze sobie radzą i odgrywają te same role społeczne co my.

Czy chociaż jedna z dwóch osób skazanych na dożywocie, które teoretycznie mogłyby zostać w tym roku warunkowo zwolnione, wyjdzie na wolność? Żadna nie została przeniesiona do więzienia o mniejszym rygorze.

– Nie ma wprawdzie takiego obowiązku, że skazany musi być wcześniej przeniesiony do zakładu półotwartego, lecz nie widzę takiego sądu, który komuś, kto spędził

JAK ZWOLNIENIE PIERWSZEGO SKAZANEGO NA DOŻYWCIE PRZYJMIE SPOŁECZEŃSTWO?

strachu, przewidywać konsekwencje, kontrolować swoje emocje – tłumaczy dr Niełacznna.

CO PIĄTY NIE WIERZY, ZE WYJDZIE

Sami skazani – choć liczą na przychylność – nie do końca są przekonani, że opuszczą więzienie. Jak wynika z raportu dotyczącego wykonywania kary dożywotnia, 20% badanych nie wierzy, że kiedykolwiek wyjdzie na wolność.

A społeczeństwo? Jeszcze się nie zorientowało, że wyrok dożywotnia nie oznacza przebywania w więzieniu aż do śmierci. Ciekawe, jak przyjmie zwolnienie pierwszego więźnia skazanego na dożywocie: jako wyraz humanitaryzmu czy powód do zbiorowej

25 lat w więzieniu, dałby za pierwszym razem warunkowe zwolnienie. Taka decyzja jest zależna od tzw. prognozy zachowania na wolności – zauważa dr Niełacznna. – A jak możemy to prognozować, jeśli ten ktoś nie spędził na wolności ani jednego dnia od 25 lat? On jest pozytywny w więzieniu, ale nie wiemy, jak będzie funkcjonował w warunkach wolnościowych. Kto by wziął na siebie odpowiedzialność i dał takiemu człowiekowi szansę? W polskim systemie jest jednak zasada wolnej progresji (uzależnienia warunków odbywania kary od postaw i zachowania skazanego – przyp. red.) i to jest dobre rozwiązanie – chodzi o stopniowe przygotowywanie skazanych do wolności.

Ewa Rogowska

MIAŁA BYĆ BOMBA, JEST KAPISZON

Robert Walenciak

Miała być bomba, wyszedł kapiszon. Od ubiegłego tygodnia IPN ujawnia materiały z tzw. zbioru zastrzeżonego, zaanonsował to zresztą na specjalnej konferencji prasowej. Media spodziewały się sensacji, przynajmniej na miarę niedawnej „szafy Kiszczaka”, z której wypadły akta „Bolka”. Tymczasem jest cisza. Dlaczego?

Przypomnijmy: zbiór zastrzeżony powstał w ramach ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej z roku 1998. Zgodnie z nią szefowie Urzędu Ochrony Państwa, Wojskowej Służby Informacyjnej, Straży Granicznej i policji mieli przekazać do IPN archiwa swoich instytucji. A jednocześnie ustawa dała im prawo zastrzeżenia części materiałów ze względu na bezpieczeństwo państwa. Te dokumenty miały trafić do wyodrębnionego w ramach archiwum IPN zespołu. Miały tam być utajnione, i to tak, że dostępu do nich byłiby pozbawieni nie tylko naukowcy czy dziennikarze, ale nawet pracownicy IPN. Utajniony był też spis treści, ba, nawet decyzja o przekazaniu jakichkolwiek dokumentów do tego zbioru.

APETYT NA TAJEMNICE

Te wszystkie zabezpieczenia tworzyły wokół zbioru zastrzeżonego aurę wielkiej tajemnicy. To oczywiste – jeżeli „zwykłe” archiwa dawnej SB przynosiły sensacje, jakie niezwykłości musiały się znajdować w zbiorze zastrzeżonym!

Takie spekulacje rozgrzewały umysły wielu publicystów, przede wszystkim na prawicy. Formacja ta zbudowała kilka legend, kilka prawd wiary, które tłumaczyły świat. Wśród nich była opowieść o „zdradzie w Magdalence”, o „układzie”, o spisku oficerów służb specjalnych i ich agentów uplasowanych w szeregach Solidarności. Jak to wyglądało w rzeczywistości,

Zbiór zastrzeżony – mniej ważne, co ujawniono, ważniejsze, co znów schowano

powiedzieć miały archiwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie miały się znajdować teczki agentów. I to miał być ten trop. Tymczasem ani lista Macierewicza, ani lista Wildsteina nie ujawniły takich powiązań. Szybko więc wytłumaczono sobie, że stało się tak nie dlatego, że teoria układu była nieprawdziwa, ale z powodu ukrycia teczek najcenniejszych agentów w zbiorze zastrzeżonym.

Ta teoria szybko zdobyła popularność, zwłaszcza że do opinii publicznej przeniknęła jedna wiadomość: gdyby teczki ze zbioru ustawić jedna koło drugiej, ich rząd miałby kilometr. Nic dziwnego, że politycy prawicy zaczęli marzyć o dostaniu się do tego zasobu.

Okazja pojawiła się po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. W czerwcu zeszłego roku Sejm znowelizował ustawę o IPN, zmieniając zasady wyboru szefa Instytutu, a jednocześnie fragmenty dotyczące zbioru zastrzeżonego. Ustawa przewidywała, że do końca marca 2017 r. szefowie poszczególnych służb (Agencji Wywiadu, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służby Kontrwywiadu Wojskowego) muszą dokonać przeglądu całości zbioru. I zdecydować – które materiały ponownie utajnić, a które włączyć do archiwum IPN, tak by mogły być udostępniane na zasadach ogólnych jak inne ipenowskie dokumenty.

Ta decyzja wywołała na prawicy drgawki szczęścia. „Ujawnienie zbioru zastrzeżonego wstrząśnie polską



Sławomir Cenckiewicz próbował przekonywać, że ujawniane materiały są niezwykle atrakcyjne.

opinią publiczną – można go jedynie porównać do publikacji »Raportu z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych« – zapowiadała „Gazeta Polska”. – Dziesięć lat temu komisja weryfikacyjna pracująca pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza, na podstawie dokumentów, zgromadziła informacje dotyczące nielegalnej działalności wojskowych służb specjalnych działających po 1990 r. Okazało się wówczas, że wpływy agentury w najważniejszych dziedzinach życia publicznego w III RP mają swój początek w PRL. Raport z weryfikacji WSI objął wyłącznie służby wojskowe – teraz mają być ujawnione zasoby cywilnych służb specjalnych PRL”.

MUZEUM WYWIADU PRL

Oczekiwania na polskiej prawicy były więc przeogromne. To miała być „porażająca prawda”. Spodziewano się dokumentów o najbogatszych ludziach w Polsce, co tłumaczyłoby, jak zdobyli majątki. Anonsowano również, że do zbioru zastrzeżonego trafiły materiały dawnego IV Departamentu MSW, tego, który zajmował się Kościołem (teczki księży, hierarchów – to wzbudza emocje). Tu też oczekiwano jakichś przełomowych „kwitów”, ale z materiałów zbioru zastrzeżonego, które już ujawniono, nic takiego nie wynika.

Teczek, z których tytułami możemy się zapoznać, jest ok. 6-7 tys.; tworzą – jak zauważyła to „Gazeta Wyborcza” – muzeum wywiadu PRL. Dla fachowców, analityków innych służb są pewnie niezwykle interesujące, pozwalają wyjaśnić wiele dawnych spraw, zorientować się, kto był w tamtych czasach współpracownikiem polskich służb, a kto nie. Dla wywiadu takie ujawnianie to strzał samobójczy. Ale dla dziennikarzy szukających znanych nazwisk? Upublicznione dokumenty bardziej ich irytują, niż interesują. Bo kogo obchodzą jakieś instrukcje zachowania się oficerów wywiadu w określonych sytuacjach? Albo spis tajnych współpracowników, których nazwiska nic nie mówią?

Na konferencji prasowej prezentującej zbiór zastrzeżony Sławomir Cenckiewicz, zastępca przewodniczącego kolegium IPN, próbował przekonywać, że ujawniane materiały są niezwykle atrakcyjne, bo pokazują np., jak polski wywiad rozpracowywał ulokowaną w ambasadzie USA w Warszawie oficer CIA. Tę, która

prowadziła płk. Kuklińskiego. Sensacją miało być, że grupą, która ją rozpracowywała, dowodził Gromosław Czempiński. Jednak sensacja okazała się marnej jakości – zwłaszcza że i ten epizod, i pewnie inne w najmniejszym stopniu nie wpłynęły na późniejsze, już z czasów III RP, kontakty Czempińskiego z CIA.

Na prawicowych portalach pojawiła się również informacja, że w zbiorze zastrzeżonym są teczek Ireneusza Sekuły i Aleksandra Gawronika. Ale – po pierwsze – nie ma ich w spisie treści, po drugie – nawet jeśli by były – czy to byłaby jakaś sensacja? Coś politycznie ważnego?

CO WIDZIELI SZELOWIE SŁUŻB?

Wychodzi więc na to, że prawica dostała, co chciała, ale ten prezent nie spełnia jej oczekiwań. Teoria o układzie, spisku oficerów i ich agentów, uwłaszczeniu nomenklatury, o tym, jak dorabiali się najbogatsi Polacy, znów okazała się pusta, niepoparta dowodami. Czy w takim razie

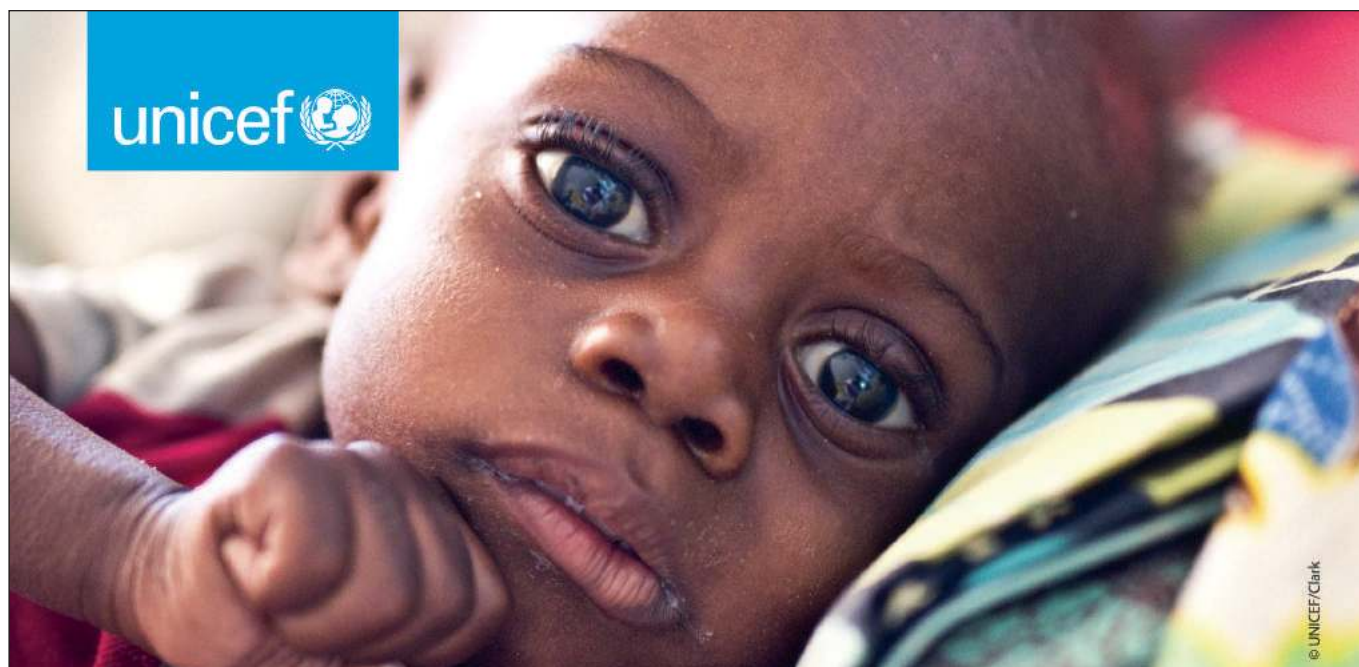
zbiór zastrzeżony był zwykłą rupieciarnią? Miejsce, gdzie składowano nieaktualne, nikomu niepotrzebne teczek? Trudno w to uwierzyć...

Tropem niech będzie informacja, że przed ujawnieniem zbioru zastrzeżonego szefowie służb dokładnie przeanalizowali znajdujące się tam

Dla wywiadu ujawnianie takich informacji to strzał samobójczy.

teczki i część ponownie utajnili. Jak dużą? Tego nie wiemy. Ale możemy mieć pewność, że to, co zostało utajnione, jest dla obecnej władzy i służb specjalnych ważne.

Możemy iść w spekulacjach dalej. Może władza rzuciła publice na żer sprawy nieistotne, a chroni najlepszych agentów? Wiadomo, dla jakich korzyści. To logiczna teoria, zwłaszcza że wiemy, jak obecna władza kocha teczek i haki...



**Tuhafeni umiera z głodu.
POTRZEBNA JEST TWOJA POMOC!**

**DOKONAJ WPŁATY NA KONTO O NUMERZE 73 1020 1013 0000 0102 0151 5907
LUB ONLINE NA [UNICEF.PL/AFRYKA](https://www.unicef.pl/afryka)**

W SZKOLE O SEKSIE TYLKO PO BOŻEMU

Antykoncepcja narusza godność, uważa szefowa zespołu ekspertów przygotowującego program przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie

Roman Wojciechowski

Normy moralne, które regulują życie małżeńskie i rodzinne, to zakaz współżycia przed ślubem, zakaz stosowania antykoncepcji, zakaz przerywania ciąży, zakaz zdrad małżeńskich i zakaz rozwodów. Kto nie dojrzał do przyjęcia potomstwa, nie dojrzał do podjęcia życia płciowego. Jednak podejmować stosunki małżeńskie tylko w okresach niepłodności małżonkom wolno – taka regulacja poczęć odbywa się bez łamania zasad moralnych. Oto poglądy prof. Urszuli Dudziak, która zgodnie z wolą minister edukacji Anny Zalewskiej kieruje zespołem ekspertów mającym opracować podstawę programową przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie dla klas IV-VIII.

Ministerstwo Edukacji Narodowej 30 grudnia przedstawiło do konsultacji publicznych projekt nowej podstawy programowej dla szkoły podstawowej, obejmujący również ten przedmiot. Zespoły ekspertów powołanych przez MEN liczą osiem-dziesięć osób i mają opracować szczegółowe programy nauczania, według których zostaną przygotowane podręczniki oraz wytyczne dla nauczycieli, stanowiące m.in. podstawę oceny ich pracy. Oczywisty jest więc wpływ szefów zespołów na ostateczny kształt programów nauczania.

Kim jest szefowa zespołu ekspertów przygotowującego program wychowania do życia w rodzinie? Prof. Urszula Dudziak reprezentuje Wydział Teologii KUL, dyplom magistra psychologii uzyskała w 1982 r. dzięki pracy „Cechy osobowości kobiet przerywających ciążę – seminarium z psychologii klinicznej i osobowości”, której promotorem był ks. dr Czesław Cekiera. Doktor nauk humanistycznych w zakresie psychologii została w 1997 r., przedstawiając rozprawę „Postawy wobec macierzyństwa kobiet przygotowują-

cych się do małżeństwa” (promotorem znów był ks. prof. dr hab. Czesław Cekiera). Prof. Dudziak ma w dorobku naukowym także tytuł magistra teologii i licencjat z teologii pastoralnej. Tej dziedziny dotyczyła jej rozprawa habilitacyjna „Postawy wobec wychowania seksualnego a hierarchia wartości nauczycieli. Studium teologiczno-pastoralne”. Temat pracy wskazuje, jaki według prof. Dudziak powinien być ideał polskiego nauczyciela, czego powinien uczyć i jakie wartości przekazywać.

DOWÓD NIEDOJRZAŁOŚCI

Kto nie dojrzał do przyjęcia potomstwa, nie dojrzał do podjęcia życia płciowego, do założenia rodziny – oto fundamentalny wniosek charakteryzujący poglądy prof. Urszuli Dudziak. Szczegółowo przedstawiła je na wy-

godności. Antykoncepcja umniejsza wzajemny dar małżonków, dowodzi niedojrzałości w wymiarze seksualnym i prokreacyjnym. Wyborowi antykoncepcji sprzyja: hedonizm, brak kierowania popędem seksualnym, instrumentalne traktowanie drugiego człowieka, a więc tylko do zaspokojenia własnych potrzeb. Może mu towarzyszyć uzależnienie od doznań seksualnych, a uzależnienie odbiera wolność, hamuje rozwój, zdolność do miłości, poświęcenia, hamuje realizowanie wyższych wartości, hamuje też duchowy wzrost. Zdrady i rozwody mogą być następstwem stosowania antykoncepcji”.

O prezerwatywie i skutkach jej stosowania: „Jak się może czuć osoba, kiedy tutaj ma moment wkładania tejże bariery. Zamiast myśleć o miłości, wzajemnej więzi, o jedności wspólnej,



Akt małżonków stosujących antykoncepcję jest nieczysty.

kładzie „Poznaj prawdę o antykoncepcji”, wygłoszonym na określanej jako naukowa konferencji „Poznaj prawdę o antykoncepcji. Antykoncepcja czy naturalne planowanie rodziny”, która odbyła się w Legnicy w marcu 2014 r. Oto kilka poglądów z tego wykładu.

O antykoncepcji: „Ogranicza człowieka (...) tylko do jednego wymiaru, narusza godność osoby i praktycznie każdy z nas, gdyby zdecydował się na stosowanie antykoncepcji, decyduje się na umniejszenie własnej

to trzeba myśleć, co nałożyć, czym posmarować, a może na wszelki wypadek może jeszcze coś połączyć. Robimy się jak jakieś automaty”. Stosowanie prezerwatywy powoduje „dolegliwości kobiet wynikające z pozbawienia ich dobroczynnego działania nasienia”.

O stosowaniu wkładki domacicznej, zwanej potocznie spiralą: „Ja rozumiem, że np. jakieś sprężyny mogą być w samochodach, ale organizm kobiety? Mamy w nim umieszczać jakieś spirale?”.

O zapłodnieniu in vitro: jego zwoleńnicy „przekreślają miłość, ponieważ zrobią wszystko, żeby począć dziecko, i dziecko poczne się w szklanych próbkach, i zamiast ciepła łona matek ono napotka chłód zamrażarek, chłód lodówek. Ono będzie zanurzane w płynie hodowlanym, a więc nie w miłości, nie w akcie seksualnym jednoczącym, nie w akcie miłości małżonków, to jest przekreślenie prokreacyjnego celu współżycia małżeńskiego, przekreślenie miłości”.

Poglądy te warto zderzyć z tym, co o rodzinie, małżeństwie, seksie – a także religijności – sądzą młodzi ludzie.

PORNOGRAFIA ZAMIAST ROZMOWY Z RODZICAMI

Co szósty polski 15-latek przyznaje, że ma za sobą inicjację seksualną. Częściej dziewczęta niż chłopcy (18,5% wobec 16%). W porównaniu z badaniami z 2010 r. odsetek młodzieży wcześniej podejmującej współżycie seksualne zwiększył się o 5 pkt proc. Wśród 16- i 17-latków doświadczenia seksualne ma już co trzeci. Aż 40% młodych ludzi – dwa razy więcej niż w 2010 r. – nie stosowało prezerwatywy. Większość przyznała, że o antykoncepcji w ogóle nie myśli. Otwarcie stwierdzali, że kiedy nadarzy się okazja do seksu, korzystają z niej i nie powstrzymuje ich brak zabezpieczeń przed ciążą i chorobami. Takie wnioski zawierają raporty na temat seksualności młodzieży, wykonane w 2014 r. na zlecenie firmy Bayer, oraz badania Health Behaviour in School-aged Children (HBSC), w którym anonimowe ankiety wypełniło ponad 4,5 tys. uczniów w wieku 11-15 lat z 300 polskich szkół.

Natomiast z badania Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej (2013 r.) wynika, że głównym źródłem informacji o seksie są znajomi – twierdzi tak prawie 30% młodych ludzi. Rodzice lądują na szarym końcu listy – zaledwie 11% badanych rozmawiało z nimi na te „trudne tematy”. Nieco więcej, bo 12%, przyznaje, że źródłem wiedzy są filmy oraz materiały pornograficzne. Trudno więc się dziwić, że trzy czwarte nastolatków chciałoby uczestniczyć w zajęciach omawiających ludzką seksualność, które prowadziłyby ich szkoła. Równie liczna grupa badanych zaznaczyła jednak, że tego typu lekcje powinny być prowadzone przez ekspertów spoza szkoły.



Prof. Urszula Dudziak reprezentuje Wydział Teologii KUL.

Skoro tak duże jest zainteresowanie edukacją seksualną, należy się zastanowić, według jakich kryteriów powinna być dobierana treść tych zajęć. Znamienne są wyniki sondażu przeprowadzonego przez CBOS wśród dorosłych w listopadzie 2016 r., w czasie debaty o „dobrej zmianie” w szkole i o postawach moralnych, jakie powinna ona kształtować. Połowa badanych

Ja rozumiem, że jakieś sprzętyny mogą być samochodach, ale organizm kobiety? Mamy w nim umieszczać jakieś spirale?

(49%) uważa, że wychowanie dzieci w publicznych szkołach powinno się opierać na zasadach wynikających z ogólnoludzkiego humanizmu, uznawanych przez wierzących i niewierzących. Zaledwie 14% twierdzi, że na zasadach etyki katolickiej. Prawie połowa badanych (48%) nie czuje potrzeby uzasadniania moralności przez religię i uważa, że wystarczy do tego sumienie. Zaledwie co piąty respondent (18%) odpowiedział, że zasady katolicyzmu są najlepszą i wystarczającą moralnością.

Podręczniki oraz zajęcia z wychowania do życia w rodzinie często są krytycznie oceniane ze względu na żenująco niski poziom oraz promowanie światopoglądu katolickiego. Z rządowego raportu wynika, że w 2011 r. na 15 tys. nauczycieli aż 4 tys. nie miało nawet minimalnych wymaganych kwalifikacji. W tym kontekście szcze-

gólnej wymowy nabierają jeszcze inne dane. Otóż mimo że zajęcia są nieobowiązkowe, a w wielu szkołach traktowane po macoszemu (podobnie jak lekcje etyki), w 2013 r. uczęszczało na nie niemal trzy czwarte uczniów podstawówek i ponad jedna licealistów. Widać więc, że istnieje zapotrzebowanie na wiedzę, jaka powinna być dostarczana na tych zajęciach.

WYCHOWANIE DO ŻYCIA W KOŚCIELE

Projekt podstawy programowej, który MEN przekazało do publicznej konsultacji, jest dokumentem o dużym stopniu ogólności. Istotne będzie, jakie odzwierciedlenie te założenia znajdą w wytycznych odnoszących się do treści nauczania. Wśród wymagań szczegółowych mamy takie zagadnienie: „Funkcje rodziny: prokreacyjna, opiekuńcza, wychowawcza, ekonomiczna, religijna i profilaktyczna oraz ich znaczenie na poszczególnych etapach rozwoju człowieka”. Warto zwrócić uwagę na wyszczególnienie religijnej funkcji rodziny. Dopiero na odległym miejscu wymieniane są: „Szacunek dla ludzkiego ciała; higiena okresu dojrzewania; troska o zdrowie: właściwe odżywianie, odpowiedni strój, sen i aktywność fizyczna. Choroby przenoszone drogą płciową; specyfika, rozwój i objawy;

drogi przenoszenia zakażenia, profilaktyka, aspekt społeczny, medyczny, etyczny. Zagrożenia okresu dojrzewania: uzależnienia chemiczne i behawioralne, presja seksualna, pornografia, prostytutka nieletnich. Problemy wieku młodzieńczego i sposoby radzenia sobie z nimi, pomoc w rozeznaniu sytuacji wymagających porady lekarza lub innych specjalistów”.

Ważne też będzie, w jakim stopniu zostaną uwzględnione uwagi zgłoszone podczas konsultacji. MEN do skomentowania projektu podstawy programowej kształcenia ogólnego dla szkoły podstawowej – obejmującej także przedmiot wychowanie do życia w rodzinie – zaprosiło m.in.: Sekretariat Episkopatu Polski, Alians Ewangeliczny, Radę Szkół Katolickich, Polską Radę Ekumeniczną czy Chrześcijański Związek Zawodowy „Solidarność im. ks. J. Popiełuski” czy bliżej ▶

► nieokreślone Stowarzyszenie Edukatorów, które trudno odnaleźć w wykazach i rejestrach. Oczywiście nie wyklucza to zgłaszania uwag przez inne instytucje i organizacje, ale brak na resortowej liście Towarzystwa Rozwoju Rodziny czy Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, w ramach której działa Grupa Edukatorów Seksualnych „Ponton”, jest znamieny. Zapewne to konsekwencja zdecydowanej wypowiedzi minister Anny Zalewskiej: „Nie wypuszczę seksedukatorów do szkół. Zewnętrzne zespoły są zagrożeniem dla dzieci, bo ich nie znają. Mogą im

rywania ciąży, zakaz zdrad małżeńskich i zakaz rozwodów. Możemy dzięki temu zobaczyć, jacy nauczyciele uczą naszych ludzi, nasze dzieci”.

Czy więc wychowanie do życia w rodzinie stanie się religią bis? „Stosowanie antykoncepcji jest grzechem, jeżeli sobie przypomnimy, co to jest grzech – świadome i dobrowolne przekroczenie przykazania Bożego lub kościelnego – uświadamia prof. Dudziak. – Jakie przykazania przekraczamy, stosując antykoncepcję? Na początku jest grzech pychy – nie będę ci służył – *non serviam*. Nie będę ci służył, Panie

To jest istotne zaburzenie istoty tego współżycia, akt przeciwko cnocie czyściwości, nawet jeśli to będzie akt małżeński, poza tym jest to uprzedmiotowienie człowieka”.

Oczywiście każdy ma prawo prezentowania własnych poglądów. Każdy ma też zagwarantowaną konstytucyjnie wolność religii i sumienia. Jednocześnie jednak art. 25 konstytucji wyraźnie mówi: „Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych”. Słowo bezstronność należy rozumieć jako neutralność i zapis ten jest odpowiednikiem neutralności światopoglądowej państwa – kategorii znanej w prawie państw demokratycznych. Co to oznacza w praktyce? Wykładnię daje prof. Artur Mezglewski, kierownik Katedry Prawa Administracyjnego Uniwersytetu Opolskiego: „Od osoby pełniącej funkcję organu władzy publicznej (lub będącej członkiem organu kolegialnego władzy publicznej) wymaga się zachowania bezstronności światopoglądowej w trakcie wykonywania funkcji służbowych. Wymogiem o najbardziej podstawowym wymiarze jest bezwzględny zakaz wdawania się w rozstrzyganie dylematów o charakterze światopoglądowo-religijnym. Władze publiczne winny wystrzegać się prowadzenia indoktrynacji tak teistycznej, jak i ateistycznej. Brak zachowania bezstronności może prowadzić do dyskryminacji religijnej, bądź też do aktów popierania bądź zwalczania określonej religii” („Standardy bezstronności światopoglądowej władz

publicznych”, portal Prawo na Drodze). Istotna jest więc odpowiedź na pytanie, czy w świetle cytowanych poglądów pełnienie przez prof. Urszulę Dudziak funkcji szefowej zespołu ekspertów nie stoi w konflikcie z zasadą neutralności światopoglądowej państwa, a więc także szkoły.

Roman Wojciechowski

Cytowane wypowiedzi prof. Urszuli Dudziak pochodzą z wykładu przedstawionego na konferencji „Poznaj prawdę o antykoncepcji. Antykoncepcja czy naturalne planowanie rodziny?”, zorganizowanej przez Duszpasterstwo Rodzin Diecezji Legnickiej, Prawo i Sprawiedliwość w Legnicy oraz Stowarzyszenie Katolickie Civitas Christiana. Wykład dostępny jest na YouTube pod adresem: www.youtube.com/watch?v=odRS11-kXNM.

WYCHOWANIE DO ŻYCIA W RODZINIE

Wychowanie seksualne 2016



tylko zaszkodzić” (tygodnik „wSieci”). A pamiętajmy, że trzy czwarte uczniów chciałoby, aby zajęcia na temat ludzkiej seksualności były prowadzone przez ekspertów zewnętrznych. Trudno się dziwić, że przedmiot wychowanie do życia w rodzinie uczniowie nazywają wychowaniem do życia w Kościele.

W tym kontekście wróćmy do poglądów prof. Urszuli Dudziak. „Sprawa, o której warto mówić, to jest sprawa różnic w wychowaniu seksualnym – czy jesteśmy za katolickim, normatywnym wychowaniem seksualnym, czy sprzyjamy laicko-permisywnej edukacji seksualnej. Jedynie słuszny wybór to moralnie dopuszczalne naturalne planowanie rodziny. Wolno małżonkom uwzględniać naturalną cykliczność właściwą funkcjom rozrodczym i podejmować stosunki małżeńskie tylko w okresach niepłodności – taka regulacja poczęć odbywa się bez łamania zasad moralnych”.

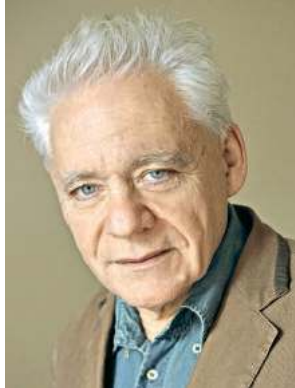
Istotne według prof. Dudziak jest również, jak nauczyciele ustosunkowują się do antykoncepcji, a więc do „norm moralnych i norm, które regulują życie małżeńskie i rodzinne, a jest to zakaz współżycia przed ślubem, zakaz stosowania antykoncepcji, zakaz prze-

Boże, ty wymyśliłeś tak, że jest okres niepłodny, no to zobacz: my mamy cały wachlarz środków, my możemy się na stałe ubezpłodnić, a więc jajko mądrzejsze od kury, stawianie się wyżej od Boga. To jest grzech przeciw pierwszemu przykazaniu: »nie miej bogów cudzych przede mną«. Ja nie będę ciebie słuchał, Panie Boże, bo ja mam firmy farmaceutyczne, ja prze-

Kto nie dojrzał do przyjęcia potomstwa, nie dojrzał do podjęcia życia płciowego.

rzucam odpowiedzialność na firmy, one mi wyprodukują środek, który zaczyna być dla mnie bożkiem, i firma farmaceutyczna zaczyna być dla mnie bożkiem, a więc nie słucham Pana Boga, a słucham firm farmaceutycznych. Sięgnięcie po antykoncepcję jest grzechem przeciwko piątemu przykazaniu – piąte przykazanie »nie zabijaj« rozciąga się także na szacunek wobec zdrowia człowieka, a antykoncepcja nie służy naszemu zdrowiu. Przeciwko szóstemu przykazaniu »nie cudzołóż« – nie tylko dlatego, że łatwiej o zdradę, ale dlatego, że akt małżonków stosujących antykoncepcję jest nieczysty.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

DRAPIEŻNIKI



Opozycja martwi mnie nie tylko dlatego, że jej przywódcy klócą się i nie potrafią sformułować klarownej myśli, jaka jest ich polityka, jaki mają pomysł na Polskę, jaką wizję. Jakby cały wysiłek i energia szły na krytykę PiS. Rozumiem, że PiS robi swoją rewolucję tak szybko i brutalnie, że nie wolno tego zostawiać bez komentarza. Dramatycznie to wygląda, bo nawet jeśli mimo manipulacji pisowcy przegrają wybory, Polska będzie przez nich okaleczona. Zresztą nie znikną, jako opozycja też będą zatruwać nasze życie społeczne. Pogłoski o ciężkiej chorobie prezesa mogą być życzeniowe, ale faktem jest, że jak prezesa zabraknie, PiS się rozsypie. (PO jakoś bez Tuska żyje, chociaż kiepsko). Dlatego prezes musi być zdrowy.

Mroczna i głęboka cisza zapadła na temat katastrofy smoleńskiej, ale czułe ucho słyszy, jak mózgi „wybitnych” specjalistów pracują, by stworzyć pozory, że pracują. I jaka cisza zaległa nad nieszczęsnymi zwłokami „poległych” w katastrofie, wyciągniętymi z grobów, by stwierdzić, że są ślady wybuchu. Powinno to budzić niepokój wyznawców religii smoleńskiej. Ale radiomaryjny naród jest cierpliwy i, jak widać, ufny bez granic. Jeżeli prezes i ojciec dyrektor zarządzają, że w sobotę mają chodź na czworakach, spełnią to życzenie. Już widzę Sasina i Czarneckiego, dwóch czołowych wazelinarzy pisowskich, jak przekonują, że chodzenie na czworakach ma głęboki sens ekonomiczny i moralny. Absurd ma licznych obrońców, część bezkrytycznie wierzy, wielu to cynicy, którzy po jakimś czasie zaczynają wierzyć, nie wierząc. Tak było w czasach stalinowskich.

Kilka dni temu Antos zareagował na słowo seks, śmiejąc się i robiąc miny. Pytany, co to jest seks, nie chciał powiedzieć, w końcu przekazał nam swoją wiedzę: to jak chłopak i dziewczyna idą na goło do łóżka i tam się seksują. Jakby w oderwaniu od istoty sprawy mówił coś o ruchaniu (wyjątkowo obrzydliwe słowo) i pokazał, jak to się robi. Wspominał też o plemnikach, tych plemników wstydził się najbardziej. Okazuje się, że tę wiedzę ma od Kacpra. To kolega z klasy, geniusz naukowy, naprawdę geniusz. Ale tu Kacper nie ma głębokiej wiedzy, jak choćby z biochemii czy geologii. Uznałem więc, że nadszedł czas, żeby Antosia uświadomić. Nie wiedziałem, że to będzie dla mnie tak kłopotliwe, że będzie się wił jak piskorz, prosił, by nie mówić, i wymyślał mi się. Kiedy tak się próbuje „to” wytłumaczyć dziecku, okazuje się, że nie mamy odpowiedniego języka. Tego nie uczy polska szkoła, bo wstyd. A dzieci i tak

wszystkiego się dowiedzą od rówieśników i z internetu, ale pokracznie. Kiedy wpisuję w Google „seks”, najpierw wyskakuje mi „seks oralny”. Dlatego dzisiaj uświadomienie seksualne powinno się zaczynać najpóźniej pod koniec przedszkola, właśnie po to, by nie deprawować dzieci złą wiedzą. Ale nic z tego. Wydaje mi się czasami, że spora część obłędu prawicy ma u źródła jakiś uraz seksualny.

Kiedy słucham i oglądam Donalda Trumpa, nie opuszcza mnie poczucie komizmu całej tej sytuacji, komizmu globalnego. Oczywiście z takim komizmem nie ma żartów. Z drugiej strony rozumiem, że mieszkańcom Stanów nie jest do śmiechu, jak nam z powodu prezesa, chociaż tu też jest element komiczny. Uderza przy wszystkich różnicach podobieństwo mechanizmu psychologicznego w Stanach i w Polsce. Ten bunt odrzuconych, przywracanie im dumy, retoryka narodowa, zapowiedź rozprawy z elitami. Prezydent w Stanach ma ogromną władzę. Jest jednak bardziej skrupowany w swoim działaniu niż prezes Kaczyński, który choć tylko poseł, trzyma sznurki swoich marionetek. Po-

Absurd ma licznych obrońców, część bezkrytycznie wierzy, wielu to cynicy, którzy zaczynają wierzyć, nie wierząc.

wiedźmy też o różnicach. Kaczyński unika kobiet, Trump wprost przeciwnie. Trump się rozmnożył, prezes z oczywistych powodów nie. Dlatego Trump mimo wszystko wydaje się bardziej ludzki, dzieci i słabości erotyczne uczłowieczają człowieka. Trump jest narcyzem ekstrawertycznym, Kaczyński introwertycznym. Obaj są notorycznymi manipulantami i lubią nie mówić prawdy – to delikatne określenie. Nigdy się nie myślą. Mają taką samą pogardę dla prawdy i dla prawa.

Kiedy słucham Orbána, Trumpa, Kaczyńskiego, mam poczucie, że po próbie odejścia od plemiennego widzenia narodu znowu tam wracamy. To nie wróży niczego dobrego ani światu, ani nam. Narodowe egoizmy najpierw wspierają się nawzajem, potem zaczynają dotyczyć ze sobą wojny, jak to drapieżniki, czasami łącząc się w stada. Orbán, idol Kaczyńskiego, chce bliskości z Rosją, a dla nas to główny wróg. To już teraz nie trzyma się kupy. Przerabialiśmy wojny plemienne nie tylko w XX w. Teraz będzie się to dziać z arsenatami atomowymi.

Koniec świata jest w zasięgu ręki. Myślałem o tym, gdy wiozłem Antosia na zajęcia; zachodziło słońce, wielkie, pomarańczowe. Niepotrzebnie mówiłem mu, że nie jest pocziwe jak na rysunkach dzieci, że to okrutna, płonąca gwiazda – co za paradoks, że dzięki niej żyjemy.

POKAZ WAZELINIARSTWA

Stany Zjednoczone posłały już swoje wojska do ponad 50 krajów i zawsze twierdziły, że to w imię obrony praw człowieka, demokracji i wolności

Leszek Konarski

Od wielu miesięcy niemal wszystkie polskie media przygotowywały nas na przybycie żołnierzy amerykańskich, przekonując, że to konieczne i wynika ze strategii NATO. Ale ceremonia powitania US Army w Żaganiu i potem 16 pikników żołnierskich, w każdym województwie, były – jak trafnie zauważył w PRZEGLĄDZIE prof. Bronisław Łagowski („Amerykanie przyszli”, nr 3/2017) jednym wielkim aktem dziękczynienia za dobrodziejstwo, jakie nam uczynili Amerykanie. Rzeczywiście, wa-

Bardziej niż amerykańskich czołgów boję się zaangażowania polskich dziennikarzy we wskazywanie Rosji jako naszego wroga.

zelińiarstwo na skalę światową, choć twierdzą, że US Army może w Polsce zrobić dużo dobrego – ta armia ma doświadczenie w przywracaniu demokracji na całym świecie. A w tym temacie roboty u nas nie brakuje.

Spora grupa polskich dziennikarzy oczekiwała Amerykanów już w niemieckim porcie Bremerhaven, aby potem relacjonować przejazd do Polski brygady pancernej stacjonującej na co dzień w Fort Carson w stanie Kolorado. Pod niebiosą wychwalano czołgi Abrams, wozy piechoty Bradley, samobieżne haubice Paladin i samochody Humvee, rozmawiano z żołnierzami ogromnie zadowolonymi z przyjazdu do Polski, choć chyba nie wszyscy wiedzieli, co to za kraj. W Żaganiu amerykańscy wojskowi brali na ręce dzieci i pokazywali, czym strzelają i zabijają.

Niby takie sobie relacje reporter-skie, niewinne, dużo ciekawostek, rozmów. Tylko od czasu do czasu dodawano, że teraz Polska będzie bezpieczniejsza i nie będziemy już bać się Rosji. Konkretnego wroga wskazywali również politycy. Premier Beata Szydło powiedziała w Żaganiu, że teraz nasze bezpieczeństwo zapewniają „reprezentanci najlepszej, najsilniejszej, najwspanialszej armii świata”, a Antoni

Macierewicz, że Amerykanie dadzą nam „gwarancję niezależności od nacisków militarnych ze strony rosyjskiej”.

BOMBARDOWANIE KŁAMSTWAMI

A ja bardziej niż amerykańskich czołgów boję się zaangażowania polskich dziennikarzy w proceder wskazywania Rosji jako naszego wroga. Dzisiaj na świecie nie ma żadnej wojny bez udziału mediów. Najpierw to dziennikarze wmawiają społeczeństwu, że wojna jest niezbędna, wskazują przeciwnika, kłamią na potęgę. To

oni dokonują pierwszego bombardowania, dopiero potem nadchodzi wojsko. Po latach dowiadujemy się, jak media kłamały.

Coraz więcej jest dowodów, że Bush, Cheney i Rumsfeld najpierw podjęli decyzję o wojnie z Irakiem, a dopiero potem CIA sfabrykowała raport, oskarżając Saddama Husajna o posiadanie broni masowego rażenia i utrzymywanie kontaktów z Al-Kaidą. Najpierw ekipa George’a Busha świadomie wprowadzała w błąd opinię publiczną, cynicznie okłamywała cały świat, podsuwając dziennikarzom fałszywe dokumenty, rzekomo pewne dane wywiadowcze, a dopiero potem w 2003 r. doszło do inwazji na Irak. To dziennikarze przygotowali grunt do tej

To dziennikarze dokonują pierwszego bombardowania. Dopiero potem nadchodzi wojsko.

operacji, w której straciło życie 200 tys. Irakijczyków oraz 4,5 tys. żołnierzy amerykańskich. Interwencja amerykańska doprowadziła do powstania państwa ISIS i do kolejnej strasznej wojny w Syrii.

A jak było w Libii? Najpierw angielskie i amerykańskie gazety, znów opierając się na rzekomo pewnych

wiadomościach wywiadowczych, poinformowały, że Muammar Kaddafi zgromadził wielkie ilości gazu musztardowego i innych rodzajów broni chemicznej, aby użyć tego przeciwko własnemu narodowi. Dopiero po takim przygotowaniu propagandowym doszło do ataku na Libię.

W raporcie z komisji Kongresu USA z 1976 r. można się dowiedzieć, że wywiad amerykański korzysta z usług kilkuset dziennikarzy na całym świecie, którzy „zapewniają CIA bezpośredni dostęp do wielu gazet i czasopism, agencji prasowych, stacji radiowych i telewizyjnych, komercyjnych wydawców książek i innych mediów zagranicznych”. Ci ludzie muszą pisać, co im CIA każe, bez względu na to, czy informacje są prawdziwe, czy sfabrykowane. Jednym z nich był Udo Ulfkotte, niemiecki dziennikarz, który 13 stycznia, czyli niemal w tym samym czasie, gdy żołnierze amerykańscy przekraczali polską granicę, zmarł w wieku 56 lat na zawał serca. Jego też zmuszono do prowokowania Rosji.

KUPIONY DZIENNIKARZ

Dr Udo Ulfkotte był politologiem po studiach na University of London, przez 25 lat pracował jako dziennikarz, w tym 17 lat dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, kilka lat był zastępcą redaktora naczelnego. Pisał korespondencje wojenne z wielu frontów i specjalizował się w tematyce służb specjalnych. W 2014 r., już po odejściu z „FAZ”, opu-

bliował książkę „Przekupieni dziennikarze” („Gekaufte Journalisten”), w której wyznał, że sam przez wiele lat kłamał, zatajał prawdę i był do tego odpowiednio przygotowywany, bo współpracował z CIA i wywiadem niemieckim, BND. Opisał, jak CIA płaci dziennikarzom za publikowanie dostarczonych przez wywiad informacji, jakie łapówki

otrzymują od BND. Gdy ktoś podejmie się współpracy, a potem nie chce czegoś napisać, traci pracę w mediach. Ulfkotte podał metody werbunku dziennikarzy i nazwy instytucji wywiadowczych, które ich szkolą. A zdecydował się na upublicznienie tego wszystkiego, bo jak stwierdził, CIA manipuluje, podsyca szczególnie antyrosyjskie nastroje i dąży do wojny z Rosją.

Tuż po wydaniu w 2014 r. książki udzielił wywiadu dziennikarzowi American Free Press, w którym przyznał, że szpiegiem został w latach 80. jeszcze jako student. Najpierw finansowano mu różne seminaria, a po obronie pracy doktorskiej załatwiono pracę w „FAZ”, gdzie został koresponden-

chodzi sama z siebie, mamy zawsze ludzi, którzy do niej dążą, i nie są to tylko politycy, ale też dziennikarze. (...) Zdradziliśmy naszych czytelników tylko po to, by dążyć do wojny. (...) Nie chcę już dłużej tego robić. Mam dość tej propagandy.

TEORIE SPIKOWE?

Od dwóch lat „Przekupieni dziennikarze” są bestsellerem w Niemczech, książka miała sześć wydań, ukazała się też w Wielkiej Brytanii. Żadna agencja wywiadowcza nie zabrała głosu i trudno stwierdzić, ile w tym wszystkim jest prawdy, a ile teorii spiskowych. Redakcja „FAZ” wydała oświadczenie,



Dr Udo Ulfkotte, autor bestsellerowej książki „Przekupieni dziennikarze”.

tem wojennym, choć dziennikarskiego doświadczenia wtedy jeszcze nie miał. Pracował w Iraku, Iranie, Afganistanie, Arabii Saudyjskiej, Omanie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Egipcie i Jordanii. Tam kontaktował się z agentami CIA, BND, brytyjskiego MI6 i izraelskiego Mosadu, którzy dostarczali mu informacji.

Ulfkotte opowiedział też o dziennikarzach, którzy, choć nieopłacani bezpośrednio przez agencje wywiadowcze, wynagradzani są upominkami, awansami, odznaczeniami, zaproszeniami na kongresy z udziałem światowych elit; ich artykuły są cytowane na całym świecie, dostają ważne nagrody. Czasem jadą oni na specjalne „konferencje prasowe”, najczęściej do Szwajcarii, na których za samo przybycie otrzymują koperty z 500 euro w środku.

W wywiadzie dla rosyjskiej telewizji Russia Today Ulfkotte stwierdził: „Bardzo obawiam się nowej wojny w Europie. (...) Wojna nigdy nie przy-

w którym stwierdziła, że Udo Ulfkotte, pisząc „Gekaufte Journalisten”, nie był już jej pracownikiem, i zagroziła procesami, gdyby ktoś chciał jego wypowiedzi wykorzystywać przeciwko niej. Koledzy Ulfkottego nie wypowiadają się publicznie. Natomiast wielu niemieckich dziennikarzy uważa, że choć trochę przesadził, ma dużo racji. Zamiast walczyć o pokój, wywiady uży-

Agent CIA: Dziennikarza można mieć taniej niż dziwkę, już za 100 dol. za miesiąc.

wają środków masowego przekazu do wszczynania międzynarodowych konfliktów, sugerują, które państwo atakować, a które oszczędzać. Teraz, jak pisze Ulfkotte, robi się wszystko, aby pokazać, jak wielkim zagrożeniem dla świata jest Rosja.

W książce nie ma zbyt wielu dowodów na opłacanie dziennikarzy, bo – jak pisze autor – agencje wywia-

dowcze są ostrożne, pieniądze często płyną przez organizacje pozarządowe, fundacje, programy europejskie, jako wynagrodzenie za spotkania, prelekcje, uczestnictwo w imprezach. On sam poznał te mechanizmy korumpowania dziennikarzy, bo przez pewien czas zasiadał w kierownictwie Fundacji Konrada Adenauera. Będąc w niej, też pisał teksty na zamówienie służb wywiadowczych, choć przyznaje, że za te usługi płacono mu marnie, i cytując agenta CIA, który Philipowi Grahamowi z „Washington Post” powiedział: „Dziennikarza możemy mieć taniej niż dziwkę, za 100 dol. na miesiąc”.

Ulfkotte bardzo stanowczo sprzeciwiał się opiniom, że *fake news*, czyli fałszywe informacje, powstają spontanicznie na portalach społecznościowych i potem są rozpowszechniane przez media. Jego zdaniem wymyślane są przez całe zespoły ekspertów w agencjach wywiadowczych i podrzucane portalom internetowym, trafiając tą drogą do mediów. Propagowanie kłamstw poprzedza prawie każdy konflikt militarny.

BROŃCIE NASZEJ DEMOKRACJI!

Gdy kilka dni temu w tygodniku „Der Spiegel” znalazłem informację o śmierci Ulfkottego i potwierdzenie, że nastąpiła w sposób naturalny (a na początku padały różne przypuszczenia), natychmiast pomyślałem, że to wszystko, z czym nie mógł się pogodzić niemiecki szpieg dziennikarz, znakomicie wpisuje się w strategię Prawa i Sprawiedliwości. Trzeba pisać, że Rosja jest naszym wrogiem, wymyślać *fake news*, kłamać, denerwować Putina. Tego samego CIA wymagała od Ulfkottego. Nie twierdzę, że wszyscy nasi dziennikarze i politycy są na żołdzie CIA, robią jednak to samo, czego

chcą wszystkie wywiady – podgrzewają stan zagrożenia wojną, tym samym doprowadzając do zwiększania zakupów sprzętu wojskowego itd.

Stany Zjednoczone po wojnie posłały już swoje wojska do ponad 50 krajów i zawsze twierdziły, że robią to w imię obrony praw człowieka, demokracji i wolności. Uważam, że w Polsce mają dużo do zrobienia. ■

LUKI W RAPORCIE OXFAMU

Nierówność wśród ludzi zaczyna się już przed urodzeniem

Mateusz Mazzini

Do szwajcarskiego kurortu Davos jak co roku ściągnęły setki najbardziej wpływowych ludzi polityki i gospodarki. Światowe Forum Ekonomiczne tradycyjnie poprzedziła seria publikacji, apeli i odezów pod adresem najmożniejszych tego świata. Najgłośniejszym echem odbił się raport Oxfamu, brytyjskiej organizacji pozarządowej zajmującej się walką z nierównościami ekonomicznymi, pomocą uchodźcom i prowadzeniem programów edukacyjnych dla społecznie wykluczonych na niemal wszystkich kontynentach. Autorzy opracowania, którego premierę zaplanowano na dzień rozpoczęcia forum w Davos, przebili się na czołówki gazet z szokującym dla wielu wnioskiem: według badań Oxfamu ośmiu najbogatszych ludzi na świecie zgromadziło majątek równy temu, co ma 3,6 mld osób, czyli najuboższa połowa mieszkańców planety. W raporcie przerażała nie tylko skala nierówności, ale i tempo ich powiększania się – jeszcze rok temu równowartość dóbr należących do najuboższej połowy ludzkości mieściła się na kontach 62 osób.

Raport Oxfamu zrobił dokładnie to, co miał zrobić – wywołał w zachodnich mediach panikę przemie-

ła oburzenia na rosnące światowe nierówności. Czujemy zażenowanie, że najbogatsi rodacy mają majątek równy PKB małej afrykańskiej republiki lub że nasz kraj jest wielokrotnie bogatszy od dawnych kolonii brytyjskich czy holenderskich. Ulegamy magii porównań, które działają na wyobraźnię.

O ile jednak problem światowych nierówności jest naprawdę ważny

największych fortun pojedynczych miliarderów z zasobami materialnymi całych społeczeństw jest metodologicznie bezużyteczne, a przede wszystkim mało sensowne. Indywidualne bogactwa są bowiem najczęściej wypadkową zupełnie innych procesów, często też zestawu mikroczynników.

Można założyć, że gdyby Mark Zuckerberg nie wygrał walki o pra-



Ostatnie 25 lat przyniosło spadek śmiertelności noworodków, analfabetyzmu, ubóstwa i zagrożenia głodem.

szą ze wstydem. W największych dziennikach czytaliśmy płomienne odezwy redaktorów naczelnych, nawołujących oligarchów i miliarderów do dzielenia się bogactwem, a rządy krajów OECD do zmiany globalnego modelu relacji ekonomicznych, nastawionych na wykorzystywanie zasobów Południa dla korzyści Północy. To nic nowego – apele te pojawiają się tak często jak raporty Oxfamu. Co roku spada na nas fa-

i nie powinno się go lekceważyć, o tyle większość argumentów używanych w tej debacie jest bezzasadna lub podana bez szerszego kontekstu.

KRAJE, NIE LUDZIE

Zacznijmy od trendu szerszego, wykraczającego poza ramy opracowania Oxfamu, mianowicie porównań ekonomicznych między całymi krajami. Zestawianie nawet

wa do Facebooka, wpadłby na inny genialny pomysł i prowadził ponadprzeciętnie dostatnie życie, trudno jednak ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że wylądowałby wśród ośmiu najbogatszych ludzi świata. Przede wszystkim wbrew obiegowej opinii Zuckerberg czy podobni mu pojedynczy giganci nie mają mocy sprawczej, by zmienić system, którego są beneficjentami. Przerzućmy się zatem na inne jednostki porównawcze, czyli kraje. To lepiej zobrazuje światowe nierówności i ma szansę zarysować trafniejsze punkty odniesienia: tempo wzrostu gospodarek czy poziom długu publicznego.

Bardziej miarodajnym narzędziem porównawczym jest chociażby stopień skupiania bogactwa w poszczególnych krajach. Zgodnie z danymi opublikowanymi w raporcie banku Credit Suisse najwięcej światowych zasobów kontrolują Stany Zjednoczone – niemal 30%. Niemcy mają w swoich rękach tylko 5% światowego kapitału, a Polska plasuje się daleko za wiodącymi gospodarkami Unii Europejskiej z jedynie 0,25% zasobów do dyspozycji. To porównanie nie tylko pokazuje, z jakiego poziomu należy oceniać nierówności, ale przede wszystkim obala mity o sensowności zestawiania takich krajów jak Polska z państwami o dłuższych, głębszych tradycjach rynkowych, jak większość Europy Zachodniej.

Socjolog Jan Sowa w głośnej przed kilkoma laty książce „Inna Rzeczpospolita jest możliwa” zauważa, że dużo sensowniejszym punktem odniesienia dla nas jest np. Kolumbia, kraj o podobnej liczbie ludności, mający 0,13% światowego kapitału, usytuowany podobnie jak Polska na peryferiach dawnych imperiów, a radzący sobie lepiej na wielu płaszczyznach, np. w dziedzinie transportu publicznego.

STUDENT SPŁACA DŁUG

Jeszcze bardziej kontrowersyjna jest teza, powtarzana już zresztą przez rozmaite organizacje, sugerująca monstrualną przepaść między przeciętnymi mieszkańcami krajów rozwiniętych i rozwijających się. Według różnych szacunków osoby zarabiające obecnie równowartość co najmniej 44 tys. funtów (ok. 230 tys. zł) rocznie znajdują się w tzw. światowym 1% najbogatszych. W polskim kontekście suma ta wciąż może robić wrażenie. W Wielkiej Brytanii natomiast to mniej, niż wynosi przeciętne wynagrodzenie odpowiednika doktora habilitowanego lub pensja osoby z dwu-, trzyletnim doświadczeniem na rynku finansowym. Problem w tym, że raporty te nie biorą pod uwagę plagi współczesnych społeczeństw, czyli długu. Co z tego, że dwa lata po dyplomie absolwent uzyskuje pensję kwalifikującą go do wejścia do „światowego 1%”, skoro długi, często związane z horrendalnie drogą edukacją, wciąż wielokrotnie przewyższają zgromadzony przez

niego kapitał? Gdyby bowiem w tego typu zestawieniach wziąć pod uwagę strukturę światowego długu, wyniki byłyby inne niż te rozpowszechniane przez Oxfam.

Według tegorocznych danych 8% najbiedniejszej połowy ludzkości mieszka w Europie. Jednak jeśli do zestawienia doliczymy indywidualne zadłużenie, na Starym Kontynencie znajdzie się niemal połowa długów

Według tegorocznych danych 8% najbiedniejszej połowy ludzkości mieszka w Europie.

zaciągniętych przez zweryfikowane najbiedniejsze 10% populacji.

Kolejnym metodologicznym fałszem jest oddzielanie takich czynników jak kapitał, aktywa i przychody od szerszego kontekstu społecznego. Wspomniane europejskie 8% biedniejszej połowy ludzkości ma bowiem dostęp do nieporównywalnie szerszej niż w krajach rozwijających się sieci instrumentów państwowych i prywatnych, które mogą znacząco poprawić ich sytuację materialną. Zasiłki dla bezrobotnych, staże, możliwość przekwalifikowania się, różnorodność usług potrzebnych na rynku, sieci przywilejów socjalnych i mnóstwo innych elementów, o których mieszkańcy światowego Południa mogą jedynie pomarzyć. W dodatku są to usługi o ogromnej mocy sprawczej, które bardzo trudno wycenić. Dlatego umieszczanie europejskiej części biednej połowy świata w jednym worku z mieszkańcami krajów, w których często nie funkcjonują struktury władzy, nie mówiąc o mechanizmach rynku pracy, jest mało reprezentatywne. Przede wszystkim zaś uwłacza godności tych drugich.

TORTU NIE UBYWA

Nie można pominąć otoczki komentatorskiej raportów podobnych do publikacji Oxfamu. Winnie Byanyima, szefowa Oxfam International, stwierdziła przy okazji publikacji tegorocznych danych, że miliardy ludzi „walczą o okruszki z coraz mniejszego tortu”. Tymczasem przy wszystkich nierównościach ekonomicznych światowy tort nie maleje – globalna gospodarka w ostatnich 50 latach skurczyła się tylko raz, w 2008 r. Idąc

tym tropem, widzimy inne nieścisłości. Według szefowej Oxfamu dowodem na katastrofalny stan światowej ekonomii jest fakt, że liczba osób żyjących w ekstremalnej biedzie w Afryce podniosła się o 50 mln od 1990 r. Byanyima nie dodaje jednak, że populacja tego kontynentu w podanym przez nią okresie zwiększyła się niemal dwukrotnie, z 630 mln do ponad 1,2 mld. W krajach Afry-

ki Subsaharyjskiej zaś, która jest światowym liderem pod względem problemów ekonomicznych, w cytowanym okresie odsetek osób żyjących poniżej granicy ubóstwa spadł z ok. 53% do 41%.

Jedno z głównych haseł Oxfamu brzmi: „Jeśli nie wstrzymamy dzieła epoki neoliberalizmu, czeka nas intensyfikacja tego, co się działo przez ostatnie 25 lat”. Jak zauważył jednak Johan Norberg, szwedzki historyk ekonomii i rozwoju, ostatnie ćwierćwiecze przyniosło w skali globalnej bezprecedensowy spadek śmiertelności noworodków, analfabetyzmu, ubóstwa i zagrożenia głodem. Oczywiście nie chodzi tu o negowanie istniejących nierówności. Wszystkie podane obiektywne liczby nadal szokują, niemniej jednak rozpracowanie argumentów używanych przez Oxfam i podobne organizacje pokazuje, że debatę o globalnych nierównościach prowadzimy w zdecydowanie za ciasnych ramach. Koncentrujemy się na wymiarze ekonomicznym, podczas gdy najczęściej jest on jedynie pierwszą kostką domina negatywnych zjawisk społecznych różnicujących społeczeństwa Południa i Północy.

Epidemiolog Richard G. Wilkinson, jeden z największych specjalistów w mierzniu wpływu nierówności na inne dziedziny życia, w tym na zdrowie publiczne, dowiódł kilkanaście lat temu w pracy „Jak uzdrowić chore społeczeństwa”, że nierówności ekonomiczne niemal natychmiast przekładają się na różnice w edukacji, poziomie zdrowia, dostępie do informacji, ale też w czynnikach bliższych psychologii społecznej, takich jak pewność siebie w poszukiwaniu pracy czy budowa kapitału społecznego. ▶

► Niestety, poprzez próby likwidacji nierówności ekonomicznych nie zniesie się automatycznie dysproporcji w innych dziedzinach. Jest to jeden z argumentów krytyków bezpośrednich transferów pieniężnych, np. znanego z polskiego podwórka 500+.

URODZONY DO BIEDY

Rozmawiając o nierównościach, trzeba również patrzeć na inne ich przyczyny. Chociażby na zapomniany przez współczesnych badaczy, bo trudny do zmierzenia, kapitał społeczny.

Jak się okazuje, determinuje on pozycję społeczną i sukces osobisty nierzadko silniej niż bezpośrednie kryterium dochodowe. Widać to w „Transition Report”, corocznej publikacji dotyczącej nierówności szans, przygotowywanej przez Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju. Badanie to analizuje czynniki, które wpływają na pozycję społeczną i sukces zawodowy dorosłych w krajach Europy, Kaukazu i Azji Środkowej. A stosuje się tu kryteria bardzo rzad-

ko spotykane w debacie publicznej, np. związek między członkostwem rodziców w dawnej partii komunistycznej a zdobyciem wyższego wykształcenia przez dzieci.

Informacje z ostatniej edycji raportu zinterpretował Piotr Wójcik w magazynie „Nowy Obywatel”. Wskazują one jednoznacznie, że ka-

w 68% składa się kapitał kulturowy rodziców, czyli według metodologii EBOR ich wykształcenie oraz sieć kontaktów, w przypadku krajów dawnego bloku wschodniego szacowana za pomocą członkostwa w dawnej partii komunistycznej. Innymi słowy, dobre umiejscowienie młodych Polaków na skali nierówności szans

Nierówność szans jest odpowiedzialna za 38% nierówności dochodowych w Polsce.

pitął społeczny i kulturowy odgrywa w naszych społeczeństwach znaczącą rolę. Nierówność szans, według EBOR, jest odpowiedzialna za 38% nierówności dochodowych w Polsce – to wynik minimalnie lepszy, niż osiąga Kazachstan (42%) czy Mołdawia (40%), ale już zdecydowanie gorszy niż w Serbii (22%).

Zwróćmy jednak uwagę na inne dane z raportu, które wyraźnie potwierdzają tezę, że nie wszystko na temat nierówności da się wyczytać z różnic dochodowych. W Polsce na wspomnianą nierówność szans aż

(która, przypomnę, odpowiada za jedną trzecią różnic w dochodach) aż w dwóch trzecich zależy od edukacji i znajomości rodziców.

Raport Oxfamu jest ważny, bo reakcje szokowe na problem światowych nierówności są potrzebne. Pokazuje on jednak tylko część prawdy, nieraz bardzo złożonej. Nierówność wśród współczesnych ludzi zaczyna się jeszcze przed ich urodzeniem, zróbmy coś z tym – tak powinny brzmieć nagłówki w styczniu 2018 r.

Mateusz Mazzini



ZMIANA KAPITANA

Martin Schulz kandydatem SPD na kanclerza. Czy uratuje zachodni świat przed populistami?

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Sigmar Gabriel nie będzie się ubiegał o stanowisko kanclerza podczas wyborów do Bundestagu. Kandydatem numer jeden SPD będzie Martin Schulz. Czy niepokorny polityk uratuje UE przed populistami?

W ubiegły wtorek główna stołeczna arteria Unter den Linden była kompletnie zamknięta. Na mszy żałobnej ku czci zmarłego niedawno Romana Herzoga w katedrze berlińskiej pojawili się politycy z całej Europy. Wśród nich Sigmar Gabriel i Martin Schulz, obaj wyraźnie przejęci przemówieniem Joachima Gaucka. Wszystko wskazywało na to, że właśnie pożegnanie byłego prezydenta Niemiec zdominuje pierwsze strony środowowych gazet. Po mszy Schulz miał pokerową minę, a przewodniczący SPD – jak zwykle pod presją partyjnych obowiązków – co rusz zerkał na zegarek. Obaj frontmani socjaldemokracji szybko zniknęli. Godzinę później niemieckie portale obieżyła sensacyjna informacja, że Gabriel nie będzie się ubiegał o stanowisko kanclerza w tegorocznych wyborach do Bundestagu. W wywiadzie dla „Sterna” oznajmił, że zamierza także zrezygnować z przewodniczenia SPD, a nowym szefem i kandydatem na kanclerza zostanie jego partyjny kolega Martin Schulz, do niedawna przewodniczący Parlamentu Europejskiego.

Jeszcze w tym samym tygodniu Gabriel objął resort spraw zagranicznych, zastępując Franka-Waltera Steinmeiera, który jest kandydatem na stanowisko prezydenta Niemiec.

W oczach wyborców SPD największym atutem Schulza jest to, że nie unika starcia z rosnącą w siłę prawicą.

Jak zaznacza Gabriel, jego decyzja ma związek z realną oceną sytuacji – wypalony lider socjaldemokratów nie miałby szans w starciu z Angielą

Merkel. – SPD ma znacznie większe możliwości wygrania wyborów, jeśli naszą kampanię poprowadzi Schulz – przekonuje w rozmowie z hamburskim tygodnikiem.

ZASKOCZENIE

Z reakcji publicystów i niższych rangą członków SPD przebiega zdumienie decyzją Gabriela. Do ubiegłego wtorku jego zachowanie wskazywało, że stanie do wyścigu o fotel

czeństwa wewnętrznego. Media nie mogły odczytać tej deklaracji inaczej niż jako początek przedwyborczej ofensywy. Co więcej, zostały już podjęte istotne dla kampanii decyzje, a opłaceni doradcy medialni od miesięcy zastanawiali się nad odpowiednim wizerunkiem polityka z Goslar.

Partyjna centrala w Willy-Brandt-Haus działała jak dobrze naoliwiona maszyna. Gabriel bezlitośnie punktował wszystkie potknięcia kanclerz Angeli Merkel. Jednak znalezienie się

Martin Schulz (nz. z lewej) zajmuje w SPD miejsce Sigmara Gabriela.



kanclerski. Wprawdzie ze względów zdrowotnych musiał przed świętami nieco przyhamować, ale wystąpienia z początku stycznia znów kazały przypuszczać, że ma kanclerskie ambicje. 2 stycznia pod wrażeniem zamachu

w składzie obecnego rządu mogło go skłonić do rezygnacji i wysunięcia na czoło Martina Schulza. W tym świetle jego decyzja wydaje się logiczna. Gabriel wprawdzie wiedział, że nikt w SPD nie jest w stanie mu zagrozić, ale zauważał też w swoim środowisku coraz wyraźniejsze rozgoroczenie. W grudniowym sondażu przeprowadzonym przez portal Statista.com zaledwie 25% respondentów widziało Gabriela w Urzędzie Kanclerskim. Dla porównania – popularność niemieckiej kanclerz oscylowała od lat wokół 50%. Najnowsze sondaże, ▶

w Berlinie obiecał buńczucznie przed kamerami telewizji, że podczas nadchodzącej kampanii zaproponuje nowe rozwiązania w zakresie bezpie-

► dające Merkel i Schulzowi po 41%, można zatem uznać za sensacyjny zwrot. Nic dziwnego, że po wtorkowym wystąpieniu obu dżentelmenów w Willy-Brandt-Haus „towarzysze” ożyli, a oklaski nabrały mocy. Jedni byli zdumieni, drudzy zaś od kilku tygodni przywykli do myśli, że kandydatem na kanclerza zostanie Olaf Scholz. Spokojem i kulturą osobistą burmistrz Hamburga podbił tysiące lewicowych serc. Ale jest także doświadczonym samorządowcem, od ponad 20 lat znającym meandry polityki wewnętrznej. Z kolei przed wieloletnim europosem Schulzem dopiero teraz odsłaniają się tajniki niemieckiego życia politycznego.

ŻYCZLIWY SYGNAŁ

– Kim jest Martin Schulz, co reprezentuje? – pyta Bernd Riexinger, przewodniczący Die Linke. – Nowy kandydat SPD powinien szybko określić swoją pozycję i stosunek do Wielkiej Koalicji – żąda Jens Spahn, członek prezydium CDU. Akurat na to pytanie odpowiedź wydaje się oczywista. Wśród socjaldemokratów nie ma już bowiem wyznawców idei reanimacji sojuszu z chadekami. Gabriel ustąpił miejsca Schulzowi także dlatego, że były szef PE nie jest kojarzony z obecną koalicją rządzącą. – Moim zdaniem pojawienie się Schulza jest życzliwym sygnałem dla Zielonych i Lewicy – uważa Karl Lauterbach, poseł SPD. Co ciekawe, sami potencjalni koalicjanci takich sygnałów nie dostrzegają. – Poza kosmetycznymi zmianami przywództwa nie widzę jeszcze ani zmiany kursu, ani pochlebnych oświadczeń pod adresem Lewicy – zaznacza Sahra Wagenknecht, szefowa klubu parlamentarnego Die Linke.

Przyczyną jej nieufności może być to, że Gabriel wyciągnął z pozaparlamentarnego zaufka liberałów z FDP, wydobywając z niepamięci scenariusz czerwono-żółto-zielonej koalicji (Ampelkoalition). Jednak liderzy Die Grünen też traktują zmiany w SPD z zaskakującą rezerwą. – Martin Schulz ciągle powtarza, że jest przekonany Europejczykiem, tyle że Angela Merkel mówi to samo. Różnica jest taka, że Merkel wyłożyła już swoje zdanie na temat polityki socjalnej. O Schulzu pod tym względem wiemy niewiele, dlatego wolimy na razie skupić się na sobie – tłumaczy Katrin



W bitwie o stanowisko szefa Komisji Europejskiej Schulz przegrał z Jeanem-Claudem Junckerem.

Göring-Eckardt w rozmowie z dziennikiem „FAZ”.

Natomiast politycy SPD przyjęli rozszady partyjne z wielką nadzieją. Większość liderów i szeregowych posłów uwierzyła, że Martin Schulz wyzwoili energię, która wyniesie w górę ich formację tkwiącą od lat w okolicach 25% poparcia. Gdy kwestia kandydatury Schulza stała się jasna, media zapełniły się entuzjastycznymi reakcjami osób związanych z socjal-

W SPD nie ma już wyznawców idei reanimacji sojuszu z chadekami.

demokracją. – Nawet bliscy współpracownicy Gabriela obawiali się, że jego malejąca popularność odbije się na partii. W ich odczuciu jego rezygnacja jest jak wyzwolenie – uważa Everhard Holtmann, politolog z Centrum Badań Społecznych w Halle (ZfS). – Martin cieszy się w SPD niezwykłą sympatią. Jestem pewna, że poprowadzi nas do zwycięstwa – przekonuje Manuela Schwesig, minister ds. rodziny i wiceprzewodnicząca SPD, w wywiadzie dla „Rheinische Post”. Zwolennikiem zmiany jest także Thomas Oppermann,

szef klubu parlamentarnego SPD: – Wycofanie się Gabriela dla dobra naszej partii zasługuje na wyrazy szacunku. Schulz to właściwy człowiek we właściwym czasie.

– Nasz przyszły kanclerz sprawdził się w Strasburgu jako wytrawny mediator, stawiając czoła kryzysom. Poza tym zna języki i jest zdecydowanym przeciwnikiem populistów – zachwala Malu Dreyer, premier Nadrenii-Palatynatu. Według ustaleń sondażowni DeutschlandTrend 81% wyborców SPD sądzi, że Schulz jest właściwym kandydatem na kanclerza. Gabriel doskonale wyczuł te nastroje. – Jeśli statek za-

czyną tonąć, musimy zmienić kapitał. Myślę, że z Martinem wygramy te wybory – wyznał z zaskakującą pokorą nowy szef niemieckiej dyplomacji.

Zarazem nie stracił szansy zachowania pozorów, że coś na tej zmianie ugrał. Podczas wtorkowego spotkania w Willy-Brandt-Haus nie wyglądał na zrezygnowanego. Codzienny kołowywrót potrójnej funkcji wicekanclerza, szefa partii i ministra gospodarki dał się chorującemu na cukrzycę liderowi we znaki. – Chciałbym mieć więcej czasu dla rodziny – przyznał Gabriel,

który wiosną po raz trzeci zostanie ojcem. Trudno nie zadać pytania, czy jako minister spraw zagranicznych rzeczywiście będzie miał go więcej. W każdym razie już w listopadzie zapytany przez dziennikarza „Spiegla”, czy powiększenie się rodziny będzie miało wpływ na jego decyzje zawodowe, odparł: – Proszę się nie martwić, wszystko z żoną dokładnie omówiliśmy, inaczej nie zdecydowalibyśmy się na kolejne dziecko.

Gabriel już wtedy był w odwrocie, wolał jednak się wstrzymać z oświadczeniami, bo czas antenowy wypełniała skora do ponownego startu w wyborach Merkel. Wicekanclerz umiejętnie i bez pośpiechu wyreżyserował swoją dymisję. Udzielił cichego wywiadu „Sternowi”, a teraz stoi przed kolejnym wyzwaniem, mającym być ukoronowaniem jego kariery. Kiedy wszyscy mówią już o Schulzu, Gabriel jeszcze przez kilka dni uśmiechnięty spogląda z okładki tygodnika. Nie zmaga się z bólem porażki, bo już dawno go przewyciężył. I to on wciągnął na wysokie stanowisko szefa socjaldemokratów człowieka z szeregow uniijnych, bez specjalnego umocowania w niemieckiej polityce.

POCZUCIE PORAŻKI

61-letni Schulz jednak wcześniej zaangażował się w działalność SPD. W wieku 32 lat został najmłodszym burmistrzem w historii Nadrenii Północnej-Westfalii. W Würselen, gdzie pełnił tę funkcję w latach 1987-1998, w młodości przetrwał najcięższy dla siebie czas. Miał problemy z alkoholem i nie został dopuszczony do matury. – Byłem rozrabiaką, a nie grzecznym uczniem – przyznaje. Do kierownictwa SPD na szczeblu krajowym należy co prawda od 1999 r., ma więc najdłuższy staż członkowski w prezydium socjaldemokratów, ale już od 1994 r. zasiadał w Parlamencie Europejskim, z dala od meandrów niemieckiej polityki. Szybko zaskarbił tam sobie sympatię kolegów bezpośrednim stylem komunikacji, ale poza strasburskim poletkiem pozostawał nierozpoznawalny – aż do lipca 2003 r. To wtedy w PE wystąpił Silvio Berlusconi, który poirytowany zarzutami „szarego” europoła Schulza, jakoby premier Włoch miał kłopoty z organami ścigania, zaproponował Niemcowi rolę kapo w filmie o obozach nazistowskich. Odtąd były księgarz, a także cał-

kiem dobry piłkarz (jego klub grał w drugiej Bundeslidze) nie schodził z ust niemieckich dziennikarzy, a w Strasburgu szybko awansował. Po wyborach w 2009 r. został liderem swojej frakcji, wreszcie w 2012 r. po raz pierwszy przewodniczącym PE. Zapewne nie powróciłby do niemieckiej polityki, gdyby w 2014 r. przejął schedę po José Manuelu Barrozie. W bitwie o stanowisko szefa Komisji Europejskiej przegrał jednak z Jeanem-Claudem Junckerem. Słynna stała się mowa Schulza, którą w lutym 2014 r. wygło-

landii i Francji socjaliści są w odwrocie. – Sytuacja Unii jest godna pożałowania. Odśrodkowe, ekstremalne siły wygrywają wybory i referenda. Jeśli podajemy w wątpliwość kwin-tesencję europejskiego projektu, to igramy z przyszłością kolejnych pokoleń – zaznaczył w wywiadzie dla serwisu informacyjnego N24.

Nowy szef SPD opuścił Strasburg z pewnym poczuciem porażki. Na fotelu przewodniczącego PE zastąpił go człowiek Berlusconiego, Antonio Tajani, co jest symbolicznym dopełnieniem klęski lewicy w Europie. Otuchy dodaje Schulzowi jedynie fakt, że z Berlina mógłby skuteczniej przeciwdziałać zapędowi ultrapracy, zarówno w Niemczech, jak i w Unii.

Swoją nominację przyjął z zadowoleniem, lecz także – jak twierdzi – z należytą pokorą. Jego entuzjazm schładzają skądinąd reakcje polityków Alternatywy dla Niemiec, którzy w triumfalistycznym nastroju zakładają, że Schulz ostatecznie skompromituje swoją formację i utoruje prawicy drogę do wyborczego zwycięstwa. – We wrześniu dojdzie do starcia dwóch głównych postaci nieudanej polityki migracyjnej w Niemczech i UE. Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić – cieszy się wiceprzewodniczący AfD Alexander Gauland. Czy Martin Schulz uratuje zachodni świat przed populistami?

Wojciech Osiński

Martin Schulz ma takie samo poparcie jak Angela Merkel – 41%

sił w Knesecie, gdzie podniósł kwestię dostępu Palestyńczyków do wody. Na znak protestu wielu izraelskich polityków opuściło wtedy salę.

W oczach wyborców SPD największym atutem Schulza jest to, że nie unika starcia z rosnącą w siłę prawicą. – Zarzuca mi się często, że jestem impulsywny, ale w rozmowach z ludźmi o skrajnie prawicowych poglądach trudno stosować delikatną argumentację. Trzeba rozmawiać w podobny sposób – wyjaśnia. Kiedy przewodnił obradom w PE, na mównicy regularnie występowali Nigel Farage i Marine Le Pen, którzy zbierali gromkie oklaski. Niepokorny polityk z Würselen doskonale wie, że w Ho-

Słownik polsko@polski z Miodkiem

Rozmowy profesora Jana Miodka o języku polskim z telewizorami z kraju i ze świata. Tom trzeci!

W książce również znajdują się:

- miniwykłady profesora Jana Miodka,
- „mowa ulicy”,
- wywiady z profesorem Janem Miodkiem,
- quiz językowy,
- relacja z planu programu telewizyjnego Słownik polsko@polski.

Szczegółowe informacje na stronie: www.e-marina.eu

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Wiednia

NIECHŁUBNY KONIEC PRÖLLINEZJI

Erwin Pröll przez 25 lat rządził Dolną Austrią. Jego fundacja dostała w tym czasie 1,5 mln euro ze środków publicznych landu

Mówi się o nim: książę, sułtan z Sankt Pölten. Terenem działań dr. Erwina Prölla była Dolna Austria, największy land Drugiej Republiki, gdzie przez ćwierć wieku budował centrum wpływów i dwór, którym twardo rządził. W polityce funkcjonował przez 37 lat. Uważany za dobrego kandydata na szefa ÖVP, Austriackiej Partii Ludowej, a nawet na prezydenta, nie był zainteresowany stanowiskami w polityce krajowej. Zbudował Pröllinezję, jak nazwano od jego nazwiska Dolną Austrię. Wizjoner, gotów na ryzyko i zadłużenie landu, budował drogi, tworzył muzea w takich miastach jak Krems czy Mistelbach, ambitne sceny, np. muzyczną w Grafenegg, czym zyskiwał sobie szacunek artystów. Umożliwił powstanie centrum badań nad nowotworami, a także elitarnych uniwersytetów w Krems i Klosterneuburgu.

70-latek o fenomenalnej pamięci do twarzy i nazwisk zapowiadał odejście z polityki. Mówiło się o marcu, podczas wyborów partii ludowców, ale decyzję przyspieszyła afera związana z jego prywatną fundacją, im. dr. Erwina Prölla. Nie doczekał odejścia w glorii „ojca landu”, pozostawiającego sprawnie funkcjonujące imperium – wychodzi niejako tylnymi drzwiami. 18 stycznia namiętnie następczynię, byłą minister spraw wewnętrznych, 52-letnią Johannę Mikl-Leitner.

SYSTEM PRÖLLA

Jego odejście to efekt świetnie udokumentowanego tekstu dziennikarza śledczego tygodnika „Falter” Floriana Klenka, tropiącego polityczne brudy Drugiej Republiki. Wykazał on, że prywatna fundacja Prölla była dotowana kwotą 1,5 mln euro ze środków publicznych landu. Sygnalizowali to już wcześniej Zieloni, ale dopiero po publikacji Klenka finansowaniem fundacji zajął się austriacki odpowiednik Najwyższej Izby Kontroli. Klenk zde-maskował przed opinią publiczną system człowieka, którego uważano za wzór uczciwości i stawiania interesów publicznych ponad prywatnymi

czy partyjnymi. Choć bliscy współpracownicy od lat wiedzieli o księciu i jego Pröllinezji, nie przeszkadzało to lokalnym politykom ÖVP utrudniać w ostatnich tygodniach na wszelkie sposoby dostęp do wiadomości na temat fundacji, by ratować wizerunek szefa. Wicekanclerz Reinhold Mitterlehner i minister spraw wewnętrznych z ÖVP Wolfgang Sobot-

dotąd zrealizowany. Na jej koncie leży 300 tys. euro, reszta znajduje się na koncie kraju związkowego. ÖVP się broni, twierdząc, że pieniądze czekają na stworzenie akademii na terenach wiejskich. I socjaldemokracja, SPÖ, współrządzająca krajem z ÖVP, i wolnościowa, bliska prawicowej ekstremie FPÖ zgadzały się z różnych powodów na te przepływy. Tak działał sprawny system „ojca landu”.

Decyzje podpisywała m.in. Johanna Mikl-Leitner. Jeszcze na posiedzeniu rządu 20 grudnia o godz. 10.30 głosowano nad subwencją 150 tys. euro dla fundacji dr. Erwina Prölla. Wolfgang Sobotka zaakceptował 1 mln euro z budżetu landu na tę samą prywatną fundację szefa, rok po roku po 150 tys. euro. Zarazem bez przerwy mówi o transparentności i obcina środki na pomoc uchodźcom.

DATKI URODZINOWE

Zaczął się od 60. urodzin sułtana Prölla. Na skromnym przyjęciu w rodzinnej miejscowości Radlbrunn, z 5 tys. zaproszonych: ludźmi Kościoła, przedsiębiorcami, politykami, artystami, tuzami od gier hazardowych, jubilat otrzymał 150 tys. euro w gotówce, czego jako polityk, szef landu, nie miał prawa przyjąć. „Na konkretny cel i anonimowo”, mówi jego rzecznik. Rok później powstała fundacja dr. Erwina Prölla, o szerokim spektrum działania: „wspieranie życia kulturalnego, społecznego w obszarach wiejskich i harmonijnego współżycia pokoleniowego poprzez realizację projektów i inicjatyw na rzecz pielęgnowania i rozwijania tradycji kulturalnych” albo „na rzecz rozwoju obszaru wiejskiego jako obszaru kreatywności i kulturowego dialogu”.

Tygodnik „Falter” już w 2009 r. przyglądał się tej fundacji – wydawa-



Tygodnik „Falter” z tytułem „Sekretnie pieniądze Prölla”.

ka (wcześniej był ministrem w rządzie dolnoaustriackim) zarzucali zaś tygodnikowi „Falter” rozpowszechnianie kłamstw i wymysłów oraz terroryzowanie rozmówców.

Fakty są takie, że od 2008 r., przez dziewięć lat fundacji Prölla przyznano z budżetu landu 1,35 mln euro wsparcia, a żaden projekt nie został



Erwin Pröll pijał wino z najważniejszymi osobistościami Austrii. Np. na otwarciu muzeum poświęconego znaleziskom związanym z Wenus z Willendorfu.

ta pieniądze na kampanię prasową budującą wizerunek ÖVP. Wprawdzie można to było zmieścić w jej zakresie działalności, ale dziennikarze zwrócili uwagę, że już wtedy na konto wpłynęły pieniądze podatników, 300 tys. euro, co podpisał minister Sobotka.

Brak w urzędowej prasówce opisuującego to artykułu z „Faltera” zwrócił uwagę Zielonych. Zażądali oni publicznej informacji o działaniach fun-

go fundacji i zaufanym człowiekiem był boss banku Raiffeisen, Erwin Hameseder.

PROJEKT ZA 300 EURO

Trudno o listę projektów finansowanych przez fundację odchodzącego polityka. Peter Kirchweger, od 24 lat rzecznik „ojca landu”, wymienia jakiś projekt na rzecz kobiet, seniorów

Z fundacji Prölla niewidomy muzyk otrzymał 10 tys. euro, seniorzy musieli się obejść 300 euro, kobiety – 2 tys. euro.

dacji. „Ojciec landu” odmówił jednak koleżance z Zielonych prawa do zadawania takich pytań, bo jego fundacja jest prywatna. Nie będąc ciałem zarządzanym przez administrację lokalną, nie podlega ona przepisom lokalnym.

W 2012 r. tygodnik „Profil” opisał działania Hypo-Banku Dolna Austria, który był wygodnym instrumentem finansowo-politycznym rządu landu, zawsze pod ręką, jak mówiono całkiem oficjalnie. Od 2009 r. Hypo-Bank był obiektem śledztwa w sprawie fałszowania bilansu. Dochodzenie szło opornie, by po trzech latach trafić do centralnego departamentu walki z przestępstwami gospodarczymi i korupcją.

Pröll na bankowców mógł zresztą zawsze liczyć. Członkiem zarządu je-

i wsparcie dla niewidomego muzyka, grającego na harmonijce ustnej. Muzyk otrzymał nie więcej niż 10 tys. euro, seniorzy musieli się obejść kwotą 300 euro, kobiety – 2 tys. euro. Prawnicy fundacji nie zezwalają na wgląd w bilanse i to samo doradzają Pröllowi.

Kirchweger ma zaskakujące jak na rzecznika metody współpracy z me-

Ćwierć wieku rządzenia

Erwin Pröll urodził się 24 grudnia 1946 r. w rodzinie plantatorów winorośli. Ekonomista rolnictwa. Był najdłużej urzędującym (od 1992 r.) szefem rządu kraju związkowego w Austrii, ostatnim, który miał za sobą absolutną większość, od lat uzyskiwaną w wyborach.

diami. Jeśli nie podoba mu się materiał o szefie, dzwoni i obsztorcowuje autora. Innym razem radzi, by redakcja podtarła sobie artykułem tyłek. Na temat fundacji odpowiada zdawkowo mejlami, pracownikom biura zakazuje kontaktów z prasą. Jak pisze Klenk, próbuje atakować tygodnik za naruszanie chronionych danych albo wprost mówi, by temat zostawić, bo „nie da się sprowokować”. Na nerwowe, agresywne reakcje zwraca uwagę wielu komentatorów.

Rzecznik woli odpowiadać za ikonę, twórcę wyższych uczelni w regionie, patrona mostów, ulic czy przedszkoli, świętego u sterów landu, pijającego u siebie wino z najważniejszymi tego kraju.

Informator tygodnika „Falter” mówi o doskonałej konstrukcji: prywatna fundacja nie podlega kontroli organów publicznych, może rozdawać pieniądze, komu chce, jak dobry pan, choć to jednak „prezent” od podatników. „Tak funkcjonuje Dolna Austria Pröll’a”, podsumowuje.

W Karyntii wciąż sprząta się po aferach z Hypo-Bankiem i machlojkach FPÖ, Jörga Haidera i jego kolegów. W Dolnej Austrii będzie sprzątanie po świętym polityku. „System Pröll’a funkcjonował latami, większość brała w nim udział, był jak ojciec chrzestny”, mówią obserwatorzy. Już zgłaszają się byli urzędnicy z rewelacjami na temat zarządzania klinikami w landzie Pröll’a czy trafiających nie tam, gdzie powinny, pieniędzy na budownictwo publiczne.

Dr Pröll, przechodząc na przyspieszoną emeryturę polityczną, zazna-czył, że trzeba „we właściwym momencie uczynić krok we właściwym kierunku”. Teraz dzięki zasobom przekazanym fundacji będzie mógł w końcu zrealizować coś wielkiego: instytucje na rzecz edukacji, pomysły na uatrakcyjnienie dla młodych wiejskiej regionu Dolnej Austrii. Rzecznik Kirchweger zapewnia, że takie rozmowy już się toczą.

Na pewno w partii i rządzie największego landu Austrii zabraknie zwrotniczowego, decydenta i namaszczającego. To jeden z ostatnich tak długo tkwiących w polityce praktyków, z pewnością z sukcesami w sferze publicznej. „Pan Bóg, jeśli chodzi o mnie, miał coś całkiem dobrego na myśli”, podsumowuje. Wraca na łono rodziny. Nie myśli z niczego się tłumaczyć. ■



Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora

**Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo
Narodowe**

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

seminaria doktorskie w dyscyplinie historii i nauk o polityce

INFORMACJE I ZAPISY

Biuro Rektora

ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk

tel. 23 692 98 13 do 16, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

www.ah.edu.pl

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

NIE BĄDŹ PAN SMUTNY, PANIE WANIEK



– Co by nam dzisiaj powiedział Václav Havel? – zapytał Jacek Żakowski przyjaciela nieżyjącego od pięciu lat dramaturga i prezydenta. – Nie bądźcie tacy wkurwieni – odpowiedział wąsaty Czech. I wszyscy zgodnie pomyśleli: cały Havel! No bo przecież Czesi mówią do siebie Havlem, czasem nawet nie zdając sobie z tego sprawy. „Nie bądź pan smutny, panie Waniek”, to praskie powiedzonko, pochodzi ze słynnej jednoaktówki Havla pod tytułem „Audycja”. Tę, jak i pozostałe jednoaktówki, napisał po długim twórczym kryzysie, od dawna pod cenzurą, niewystawiany, cierpliwie wymazywany przez system totalitarny. Rozglądając się po naszym biednym kraju, który pokryła wielka czapa smogu, w którym w publicznych mediach zakazuje się audycji o Zygmuncie Baumanie i promowania Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, nabieram pewności, że warto sięgnąć po myśl Havla. Bo staje się ona wyjątkowo aktualna. A i w Czechach podobno wpływ Havla kilka lat po jego śmierci znów jest istotny.

Jaka to myśl wydaje się nam tak wpływowa i poruszająca? Dlaczego akurat jego postawa ma znaczenie we współczesnym świecie? Otóż Havel był wielkim marzycielem polityki. Człowiekiem, który nie tylko mówił, ale też za słowo ręczył działaniem, właściwymi wyborami, a jeśli stawką było życie – trudno, skoro się powiedziało A... Ale idealizm Havla, który tak dzielnie opierał się cynizmowi, wchodził gładko nie tylko dlatego, że miał dysydencki sznyt i egzystencjalne pokrycie. Był podawany ciepło i autoironicznie, w bezpretensjonalnej formule i bez patosu. Choć dla polskim pisarzem Václav Havel zazdrościł właśnie nostalgicznego patosu, który uważał za piękny, a który przecież ustawiany jest w kontrze do „jowialności” literatury czeskiej.

„Jeśli otoczenie traktuje pisarza poważniej, niż on sam siebie, jest to zdrowa sytuacja. Jeśli jednak – przeciwnie – zacznie on siebie traktować bardziej serio, niż czyni to otoczenie, to oznaka, że nieuchronnie zbliża się jego upadek”, pisał w szkicu autobiograficznym. Przyznając, że za każdym razem, gdy ktoś go pytał: „W jaki sposób pan tworzy?”, „Który pański utwór jest panu najbliższy” lub „Jaki jest pański stosunek do Ionesco?”, wpadał w panikę, nie będąc pewnym, czy dziennikarz nie drze z niego łacha, czy pisarz nie popada w śmieszność.

My, Polacy, znamy myśl i literaturę Havla głównie dzięki Andrzejowi Jagodzińskiemu, wybitnemu i nagradzanemu tłumaczowi, w którego przekładach możemy czytać także Kunderę, Hrabala, Škvorecký’ego czy Kohouta. Właśnie ukazały się dwie wielkie Havlowskie publikacje: zebrane „Utwory sceniczne” pod redakcją Jagodzińskiego i „Václav Havel obywatel kultury” (wybór i opracowanie Andrzej Jagodziński). A ponieważ znawcy twórczości pisarza uważają, że jego dramatów nie powinno się czytać w oderwaniu od esejów politycznych i działalności opozycyjnej, przestaje nam przeszkadzać ich czasem zbyt formalna struktura.

Havel nie jest dziś wystawiany w Polsce, niektóre jego sztuki wydają się nieco anachroniczne, zbyt szczelne, przez co trudno je dekonstruować. Znaczenia sprawiają wrażenie zero-jedynkowych, a kontekst historyczny – kluczowego

Rozglądając się po naszym biednym kraju, nabieram pewności, że warto sięgnąć po myśl Havla.

w ich odczytaniu. A jednak kiedy czytamy „Wernisaż” czy właśnie „Audycję”, zdajemy sobie sprawę, że te sztuki opowiadają nam nas. Że w nich się odbija nasz wybujały konsumpcjonizm, uległość, kunktatorstwo, ale też lęk i wstydlive marzenia – słowem – cała nasza bieda. A to oznacza, że jest tam coś ponadczasowego, co pozwalało rozumieć sztuki Havla na całym świecie, bo przecież miały także czasy świetności i były szeroko wystawiane.

Co jeszcze warto wziąć z Havla? Teksty o opresyjnym języku, który pisarz doskonale śledził, diagnozował, przedrzeźniał. Ale też jego entuzjazm w stosunku do sztuki. Wiary, że może rozszelnić system, że pomaga nam zachować czujność i równowagę, a wreszcie – mówić prawdę. W czasach ponowoczesnych zapytalibyśmy: czyją prawdę? Jakim interesom służącą? W jakiej sprawie przywoływaną? Ale Havel wierzył, że jest ta jedna słuszna prawda, pracująca dla wolności, demokracji i pojedynczego człowieka z całą jego indywidualnością. Bo miał ostatecznie o ludziach dobre zdanie. Był przecież marzycielem.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Wejść, czytaj! Wyraż opinię!

www.tygodnikprzeglad.pl
www.facebook.com/TygodnikPrzeglad
<https://twitter.com/TygPrzeglad>

Violetta Waluk

Nie czas żałować róż... Gdy tyle się dzieje w kraju, czy można pamiętać o ginącym teatrze? Choć czasem któraś osobistość kultury wspomni go w jakimś wywiadzie, w mediach ogólnopolskich prawie już o nim nie słysząc. Ostatnim chwilom dawnego Polskiego wciąż wiernie towarzyszą publicyści wrocławscy...

Zaraz, zaraz, powiedzą ci, którzy twierdzą, że nic się nie stało po zmianie dyrektora. Teatr gra, ma komplety na widowni, rozpoczyna próby do kolejnych pozycji. Aktorzy odchodzą albo są zwalniani? Nowy dyrektor ma prawo wprowadzać swoje porządki.

PARYŻ I DEBATA

We Wrocławiu toczył się akurat szczególnie gorący etap boju o Teatr Polski, kiedy najlepsza, eksportowa część zespołu błyszczała w Paryżu. Od 30 listopada do 11 grudnia zeszłego roku brała udział w prestiżowej Paryskiej Jesieni. Dziesięć przedstawień „Wycinki Holzfällen” Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy spotkało się z ogromnym zainteresowaniem. I nie był to pierwszy taki sukces, swego czasu Polski otwierał festiwal w Awinionie.

Francuzi nie pozostali obojętni na sytuację, w jakiej znaleźli się artyści. Znow, jak przed laty, solidaryzowano się z Polakami. „L’Humanité” i „Le Figaro” pisały o niszczeniu Teatru Polskiego. List otwarty w tej sprawie do wicepremiera Piotra Glińskiego podpisali m.in. Juliette Binoche i dramatopisarka Yasmina Reza. Aktorzy zaś konsekwentnie – tak jak u siebie – po spektaklu wychodzili do publiczności z zaklejonymi ustami.

Czy był to ostatni zagraniczny popis Polskiego? Lupa, podobnie jak wielu innych znanych reżyserów, w Polskim już nie będzie, odeszli na znak protestu. Lupa nawet z dużą stratą, również dla siebie, bo porzucił zaawansowaną pracę nad „Procesem” Kafki. Wyliczono mu dokładnie, że na ten cel poszło 200 tys. zł, a dodatkowo miało być jeszcze 300 tys. zł z Instytutu Grotowskiego. Kiedy pieniądze trafiły na konto teatru, natychmiast przejął je komornik. Nowy dyrektor załamywał ręce, bo trzeba będzie je oddać niedoszłemu darczyńcy. Tak tu rze-



czywistość skrzeczy – między światowymi sukcesami a komornikiem i śpiącym się dachem. O to ostatnie obwinia się Krzysztofa Mieszkowskiego, byłego dyrektora, który miał wpędzić placówkę w potworne długi, a jej siedzibę, nie dbając o remonty, doprowadzić prawie do ruiny.

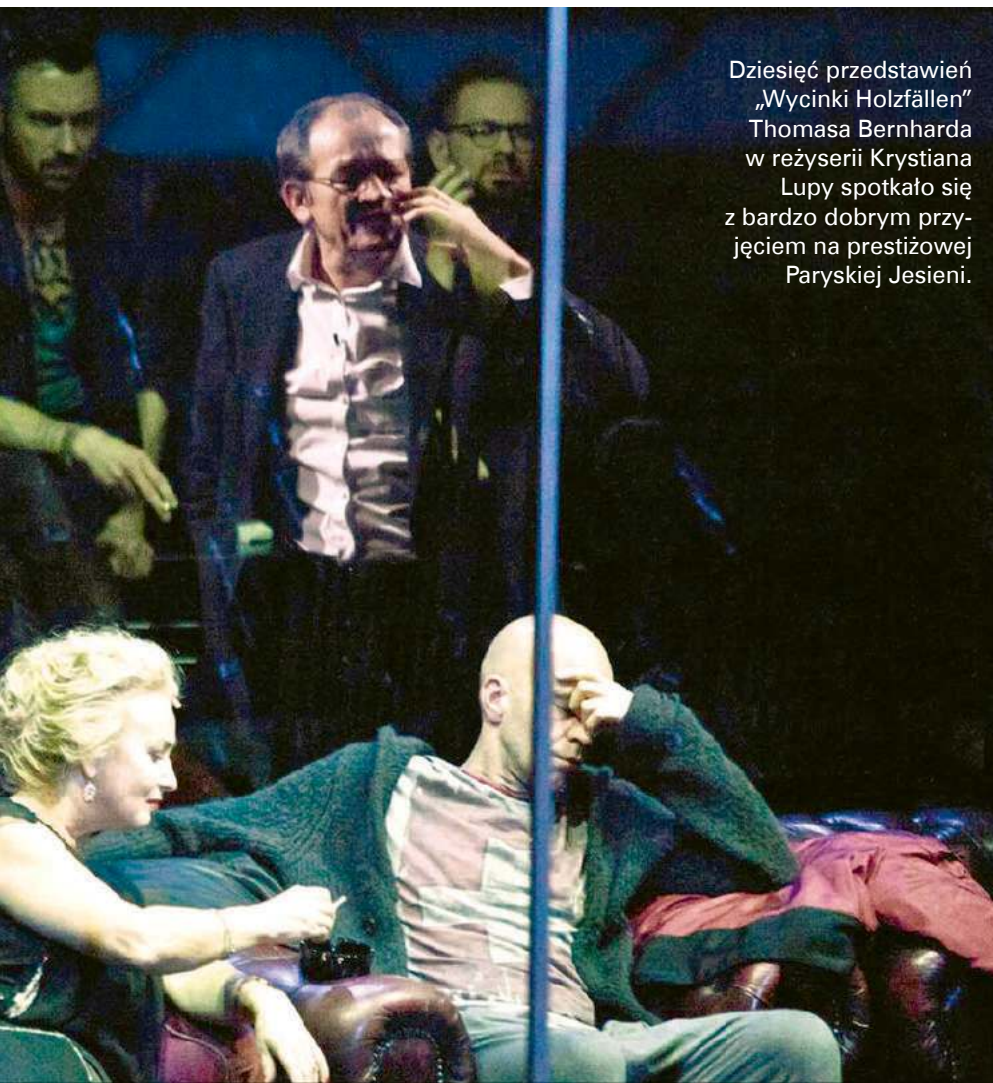
Z Paryża dochodziły wieści o gorącym przyjęciu Teatru Polskiego, a we Wrocławiu urządzono debatę pod dramatycznym hasłem: „Kultura w stanie zagrożenia”. Data, 23 listopada, była znacząca. Gdyby Mieszkowski nadal dyktował, tego dnia odbyłaby się premiera „Procesu”. A tak Lupa mógł jedynie porównać obecną sytuację w Polskim do kłopotliwego świata. Ten dzień ogłoszono też dniem solidarności z udręczonym teatrem.

Sala we wrocławskim kinie Nowe Horyzonty pękała w szwach. Przyszli sympatycy teatru i wszyscy zaniepokojeni tym, co dzieje się w kulturze.

Dlatego Monika Strzępka zauważyła gorzko, że będą mówić sami do siebie. Choć okazało się, że gdzieś z boku są przedstawiciele urzędu marszałkowskiego i rzecznik prasowy Teatru Polskiego. Usilnie namawiano ich, by przeszli na podium, dołączając do ważnych gości debaty, i by zabrali głos. Do tego jednak żadną miarą nie dali się namówić.

Tymczasem warto było usłyszeć choćby deklarację reżysera Krzysztofa Garbaczewskiego: – To nie są lata 50., gdy nagle można nakazać uprawianie jakiegoś rodzaju sztuki, w naszym przypadku – narodowo-katolickiego teatru.

Jacek Głomb, dyrektor teatru w Legnicy, aż nadto dobrze rozumie sytuację Polskiego, bo jego instytucji władze samorządowe również nie kochają. Nie mają tu znaczenia największe nawet sukcesy. – Teatr Polski był niewygodny dla władz – potwierdzała tę tezę Olga Tokarczuk, kontaktując



Dziesięć przedstawień „Wycinki Holzfällen” Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy spotkało się z bardzo dobrym przyjęciem na prestiżowej Paryskiej Jesieni.

– Zdajemy sobie sprawę, że staliśmy się niebezpieczni dla władz. Bo rozumiemy tak: teatr jest naszą własnością, nie marszałka czy ministra. Urzędnicy jedynie dysponują naszymi pieniędzmi – podsumowuje student Paweł Zaręba.

Nieformalna grupa stała się już Stowarzyszeniem Widzów Teatrów Publicznych, któremu nie chodzi tylko o sprawę wrocławskiego Polskiego. Chcieliby reagować na niszczenie każdego teatru, którego zespołowi o coś zaczęło chodzić.

Otrzymuję kartę z wylczeniem najważniejszych celów stowarzyszenia. Na wstępie jest cytat z konstytucji, rozdział II, art. 73: „Każdemu zapewnia się wolność twórczości artystycznej, badań naukowych oraz ogłaszania ich wyników, wolność nauczania, a także wolność korzystania z dóbr kultury”. Z 18 punktów szczególnie aktualny jest ten o przejmowaniu przez widza roli mediatora między twórcą i jego dziełem a instytucjami i organami władzy państwowej.

POŻEGNANIE Z FERRARI

Jeden z publicystów porównał Teatr Polski stworzony przez Mieszkowskiego do ferrari, bo z taką mocą szedł przez festiwale, wzbudzając zachwyt i zdobywając nagrody. Jednak o wrocławskim teatrze bywało głośno również z innych powodów. Mimo sukcesów placówki próbowano odwołać dyrektora. Tamta władza się wycofała, ale nowa postarała się, by nawet nie mógł stanąć do konkursu. Warunkiem było ukończenie studiów, a Krzysztof Mieszkowski go nie spełniał. Władzę rozsierdziła też sprawa

się z zebranymi poprzez nagranie w telefonie komórkowym. – Drażnił, skłaniał do refleksji, miał poczucie misyjności – dodała pisarka.

Olgierd Łukaszewicz, szef ZASP, zwrócił uwagę na element, który właśnie się objawił. To publiczność, tak zafascynowana dotychczasową działalnością Polskiego, że zdecydowała się stanowczo go bronić. Tę debatę zorganizowało powstające Stowarzyszenie Widzów Teatrów Publicznych.

MY, PUBLICZNOŚĆ

Nieformalna początkowo grupa obrońców teatru po krótkim czasie liczyła przeszło 50 osób. Wśród nich był 22-latek, student, który 14 razy obejrzał „Hamleta” w reżyserii Moniki Pęcikiewicz. Wykładowczynię jednej z uczelni tak zafascynował „Sen nocy letniej”, że na spektaklu była dziesięć razy. Dla nich i pozostałych z tego grona odejście od dotychcza-

sowej linii programowej teatru stało się osobistym dramatem.

– Czujemy się niezwykle związani z Teatrem Polskim. W epoce dyrektora Mieszkowskiego – uważam, że można tak te lata nazwać – teatr

Teatr Polski był niewygodny dla władz. Drażnił, skłaniał do refleksji, miał poczucie misyjności.

rozpoczął z widzami dialog na najtrudniejsze tematy. Stawiał bardzo śmiałe tezy i nie zawsze się z tym zgadzałam. Bywało, że czułam się dotknięta czy wręcz – jak to mówi młodzież – wkurzona. Przypomnę jeszcze, że całe dyrektorowanie Mieszkowskiego to było ciągłe atakowanie go za finanse, za generowanie długów itp. Stanowczo nie zgadzamy się z tym, co obecnie dzieje się z naszym teatrem – mówi Magdalena Chlasta-Dzięciołowska, literaturoznawczyni.

wa spektaklu „Śmierć i dziewczyna”, kiedy to nieokrępy jeszcze pisowski minister kultury Piotr Gliński zażądał wstrzymania przygotowań do premiery, gdy pojawiły się informacje, że w inscenizacji pojawią się aktorzy porno. Niektórzy twierdzą, że Gliński przy okazji mści się za tę sytuację.

Wyborowi dyrektora i temu, co działo się w następstwie tej decyzji, media ogólnopolskie i regionalne poświęcały wiele uwagi. Zaczęło się pod koniec sierpnia zeszłego roku. W komisji konkursowej stanęli na-



W ramach protestu aktorzy wychodzili do okłasków z zaklejonymi ustami.

► przeciw siebie przedstawiciele urzędu marszałkowskiego, któremu podlega teatr, popierani przez ministerstwo, już skłóceni reprezentanci związków zawodowych działających w teatrze i Krystian Lupa jako głos ZASP. Jego nazwisko, dorobek, związki z Teatrem Polskim i ogromny autorytet miały dawać nadzieję na sensowny wybór. Bo marzyło się przyjaciółom teatru, że przyjdzie dyrektor menedżer, który na zastępcę weźmie artystę. Nieśmiało przebąkiwano nawet, że mógłby to być Mieszkowski. Oj, naiwni, naiwni – jak przed laty śpiewał wrocławski Kabaret Elita.

Obrady komisji trwały kilkanaście minut, a ponieważ przewagę miała linia marszałkowsko-ministerialna, z sześciu kandydatów wybrano Cezarego Morawskiego, którego osoba wzbudziła ostry sprzeciw środowiska. Wzburzony Krystian Lupa natychmiast opuścił salę. Inicjatywa Pracownicza zapowiedziała zainteresowanie prokuratury nieprawidłowościami podczas konkursu. O kandydatach mówiono, że żaden nie zasługiwał na uwagę albo że ten wybrany był najgorszy. Wśród wielu komentarzy padło też zdanie, że teatr przegrał bój o dyrektora w wyniku dziwacznej koalicji PiS, PO, PSL i Solidarności. I czemu tu się dziwić, przecież od dawna było wiadomo, że

Polski nie podoba się władzy, jak widać – każdej władzy.

Gdy Morawski zjechał do Wrocławia, już na dworcu przedstawiciele zespołu wręczyli mu bilet powrotny do Warszawy. – Naprawdę zrobiło mi się go żal. Tak się nie postępuje z człowiekiem, postanowiłem więc stanąć za Morawskim – powiedział Leszek Nowak, wieloletni przewodniczący teatralnej Solidarności, który wcześniej, podczas obrad komisji konkursowej, również go popierał.

Krystiana Lupy, podobnie jak wielu innych znanych reżyserów, w Polskim już nie będzie, odeszli na znak protestu.

I zaczęła się prawdziwa jazda bez trzymanki. Protestujący aktorzy wychodzili do okłasków z zaklejonymi ustami. Dyrektor w momencie owacji zgasił światło i stał się słownie z widzami. Niepokorni aktorzy nazywali dyrektora zmorą, zwolennicy jego rządów rewanżowali się „mordoklejami”. Ważne postacie w naszej kulturze kierowały do Morawskiego apele, by ustąpił. Od ciepłego „Czarku, życie ma się tylko jedno” Mai Komorowskiej po zarzuty zajmowania nienależnego miejsca stawiane m.in. przez Agnieszkę Holland.

Media także się podzieliły – „wSieci” stało za dyrektorem, „Wyborcza” za protestującym zespołem, zapowiada-

jąc rychłe odejście Morawskiego. Miał zostać wezwany na dywanik do urzędu marszałkowskiego, a bronić go miał już tylko członek zarządu województwa Tadeusz Samborski, który w „Wiadomościach Dolnośląskich” z połowy grudnia zeszłego roku stwierdził m.in., że Morawski jest człowiekiem otwartym i że z pewną empatią podchodzi do radykalnej części publiczności wrocławskiej. Nieco wcześniej dyrektor zaprezentował się w tygodniku „wSieci” jako człowiek twardy, który hejtu ani

ostracyzmu w środowisku się nie przestraszy. A tak w ogóle, przypomniał kolejny raz, uratował ten teatr, bo gdyby nadal rządził Mieszkowski z tą swoją rozrzutnością, instytucję już dawno by zamknięto za długi.

W teatrze zaś zaczęły się czystki. Kilku aktorów odeszło. – Ciężko mi rozstawać się z teatrem – powiedziała Ewa Skibińska. Zespół opuściło jeszcze kilka osób. Inni przeciwnicy „dobrej zmiany” zostali i protestowali. Nowy dyrektor szybko stracił cierpliwość. Nie wybroniła się m.in. nagradzana za osiągnięcia artystyczne i gorąco okłaskiwana w Paryżu Marta Zięba, która nie tylko zaklejała sobie usta, ale także

miała czelność umieścić w internecie parodię „Upadku”, w której nie chodziło o Hitlera. Dyrektor uznał to za działalność szkodzącą instytucji i zaraz po przedstawieniu „Dzieci z Bullerbyn” aktorze wręczono wymówienie. Na razie pozbył się 12 osób, w tym kierownika literackiego Piotra Rudzkiego. Według „Gazety Wyborczej” urząd marszałkowski wywierał nacisk na dyrektora, by zaprzestał czystek. Nowy szef nie za bardzo jednak tym się przejął.

Wciąż uszczuplana grupa niepokornych wybrała się na początku stycznia na posiedzenie zarządu województwa. Znowu prosili o odwołanie dyrektora z mowy. Marszałek Cezary Przybylski

Rzeczywistość skrzeczy – między światowymi sukcesami a komornikiem i sypiącym się dachem.

miął zaproponować powołanie komisji do rozwiązania problemu Teatru Polskiego. Jej skład gwarantowałby bezstronność i profesjonalizm, bo byłiby w niej przedstawiciele ZASP oraz Instytutu Teatralnego.

Nie wszyscy w teatrze ucierpieli z powodu nowych porządków. O niesprawiedliwych płacach za czasów Mieszkowskiego i dostrzeganiu tylko swojej grupy artystów mówił przy każdej okazji szef teatralnej Solidarności. I związek zorganizował na początku tego roku referendum z pytaniem o akceptację obecnego dyrektora. Inicjatywa Pracownicza odmówiła udziału, wypominając później kardynalne błędy, przede wszystkim brak tajności głosowania. Z ponad 160 uprawnionych głosowały 102 osoby. Niemal wszystkie poparły dyrektora.

Radość ze zmiany ogłosiło dwoje aktorów, Monika Bolly i Stanisław Melski. Twierdzili, że przez wiele lat nie było dla nich miejsca w kolejnych obsadach i gdyby nie „Okno na parlament”, komediowy hit grany od 20 lat, w swoim teatrze w ogóle nie wychodziliby na scenę. W odpowiedzi na ich publiczne skargi wyliczono na stronie „Teatr Polski w podziemiu” na Facebooku, w jakich sztukach grali i kiedy odmówili udziału w spektaklach. W dzwonię przypomnieli też Solidarności, że nie ujęła się za dwunastką zwolnionych. Tacy to z nich związkowcy!

NORMALNOŚĆ

Nie będzie już dawnego Polskiego. Ferrari odjechało. Wygląda na

to, że rządzący nie rozumieją różnicy między aktorami i że nie jest wszystko jedno, kto reżyseruje. Dla nich sukcesy mogą być nawet źródłem kłopotów. Nie na darmo dyrektor Morawski wyjaśniał w jednym z wywiadów, że np. „Wycinka Holzfällen” w reżyserii Lupy (przedstawienie, które taki sukces odniosło w Paryżu) tylko pozornie zarobiła duże pieniądze. Trzeba było z tego opłacić przejazd artystów, dowóz tego, co potrzeba, ponieść koszty pobytu itd.

Teatr odwołuje spektakle, m.in. „Śmierć i dziewczynę” oraz „Dzieci z Bullerbyn”; sporo tytułów ma być wykreślonych z repertuaru. Nawet

Mieszkowski to rozważał – wyjaśniał dziennikarzom dyrektor Morawski – to normalna praktyka w teatrach. Tytuły się „przeżywają”.

Łatwo jednak zauważyć, że powód może być inny – nie ma aktorów, którzy w nich grali. Wspaniały zespół artystyczny Polskiego już nie istnieje, aczkolwiek Piotr Rudzki, zwolniony kierownik literacki, obiecuje, że gdyby tylko został dyrektorem artystycznym, natychmiast zabrałby się do jego odbudowy. Tymczasem Teatr Polski w podziemiu się nie poddał i wystawił „Tak zwaną ludzkość” na motywach Witkacego. – To nasz sposób na przetrwanie – wyjaśniał Rudzki. *Performance* w reżyserii Garbaczewskiego przyjął gościnnie na swoim dziedzińcu Teatr Capitol.

A w oficjalnym Polskim trwają przygotowania do pierwszych premier pod nowym kierownictwem. Co prawda, nie udało się z „Makbetem”, ale „Chory z urojenia” ma być na pewno, premiera zapowiadana jest na początek marca. Mniej życzliwi komentują, że do Szekspira trzeba mieć aktorów, z Molierowską komedią może pójść łatwiej. Trwają też prace nad „Mirandoliną” Petera Turriniego.

Jeżeli przyszłe spektakle będą udane, pewnie jakoś zmieni się atmosfera wokół Polskiego, ale i tak nikt nie zapomni, że kiedyś artyści z tego teatru otwierali festiwal w Awinionie.

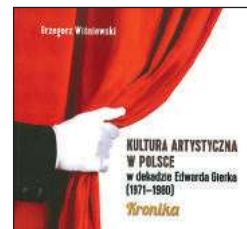
Violetta Waluk

Grzegorz Wiśniewski

Kultura artystyczna w Polsce w dekadzie Edwarda Gierka (1971-1980). Kronika

Akademia Humanistyczna
im. A. Gieysztora w Pułtusk
Pułtusk-Warszawa 2016

Dekada rządów ekipy Edwarda Gierka ujęta w ramy kroniki wydarzeń kulturalnych rysuje się niezwykle bogato. Kronika odnotowuje przede wszystkim powstałe w latach 70. dzieła z zakresu literatury pięknej, teatru, filmu, muzyki, baletu i sztuk plastycznych. Zadania



zgrupowania wydarzeń kulturalnych lat 70. podjął się Grzegorz Wiśniewski, historyk kultury, eseista, publicysta, animator życia artystycznego i wykładowca akademicki, autor kilkunastu monografii, szkiców monograficznych i zbiorów esejów.

Grzegorz Wiśniewski

Między Polską i Rosją Igor i Swiatosław Bełzowie

Akademia Humanistyczna
im. A. Gieysztora w Pułtusk
Pułtusk-Warszawa 2016

Zastużeni dla kultury rosyjskiej ojciec Igor Bełza (1904-1994) i syn Swiatosław (1942-2014) mieli polski rodowód. Obaj działali przede wszystkim na polu muzyki i literatury i obaj przyczynili się do upowszechnienia w Rosji bogactwa i różnorodności kultury polskiej oraz do rozwijania polsko-rosyjskiej współpracy kulturalnej i naukowej. Autor przedstawia ich drogę życiową i działalność, którą trudno przecenić.



Eugeniusz Kabatc

Pogoda burzy nad Palermo

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2016

Portret literacki Iwaszkiewicza ma tu formę relacji z podróży do Palermo odbytej przez pisarza już u schyłku życia. To właśnie na Sycylii uhonorowano go nagrodą, co stało się dla Iwaszkiewicza sprawą rozpatrywaną w kontekście spełnienia lub niespełnienia artystycznego. Fikcja i fakty zajął się tu, a swoistym dopełnieniem książki jest zbiór listów Jarosława Iwaszkiewicza do autora.



Agnieszka Okońska

Ze statku rozbitego u wybrzeży Algieru wydostaje się na ląd Izabela. Wraz z towarzyszem niefortunnej przygody trafia do pałacu beja Mustafy. Ma zostać włączona do haremu, ale groźbę łagodni myśl, że wśród innych zakładników jest jej ukochany Lindor. To dla niego podjęła ryzyko niebezpiecznej wyprawy i los skierował ją właśnie tam, gdzie należy. Tylko jak się wydostać z opresji? Tytułowa bohaterka „Włoszki w Algierze” Gioacchina Rossiniego nie wydaje się zafrasowana takim wyzwaniem. Kto, jeśli nie ona, potrafi wybrnąć z kompromitującej sytuacji? Oczywiście pomoże jej w tym nie tylko intelekt, ale i ogromny wdzięk, znajomość mężczyzny i niezrównana pewność siebie. Okręci beja wokół palca, pokaże jego „główną” żonę, jak należy z nim postępować, a na dodatek obudzi patriotycznego ducha w grupie zniewolonych Włochów i na ich czele wróci z Lindorem do ojczyzny.

Jaka kobieta może tego dokonać (oczywiście w oderwanej od rzeczywistości konwencji opery buffa)? Tylko taka, która już od pierwszej chwili robi piorunujące wrażenie. Śpiewaczka wcielająca się w postać Izabeli musi tak rozpocząć swoją rolę, by spowodować, że akcja zatrzymuje się na chwilę, a wzrok wszystkich (akurat to scena zbiorowa) jest zwrócony na nią! (...)

Ewa Podleś jest właśnie typem artystki, której wywołanie takiego efektu przychodzi bez trudu. (...) Wiadomo, że potrafi z epizodu zrobić główną rolę i słynie nie tylko z wykonywania wielkich ról. Potrafi „ukraść” spektakl jednym, kilkuminutowym wejściem. (...)

A MOŻE INNY MUSTAFA?

Niezależnie, czy gra rolę małą, czy dużą, Ewa Podleś przyznaje, że kocha wszystkie postaci, w które się wciela. Zawarty w nich potencjał wykorzystuje do maksimum, proponując nierzadko interpretacje daleko wykraczające poza utarte schematy. Wykreowanie wyrazistej, przekonującej postaci jest dla niej priorytetem, oczywiście przy uznaniu tak ważnego w gatunku opery pierwszeństwa pięknego śpiewu. (...)

Izabela na pewno świetnie wpisuje się w *emploi* śpiewaczki, która lubi role silne, dające szansę bycia *spiritus movens* całej akcji. „Włoszka

OGIEŃ W GARDLE

EWA PODLEŚ:
Słuchacze wybaczą,
że człowiek stoi
i nic nie robi – ważne,
by pięknie zaśpiewał

to jest kobieta z charakterem – nie da sobie w kaszę dmuchać. Absolutnie się z nią utożsamiam – podkreśla Ewa Podleś. – Moje »Cruda sorte« to jest takie »Kurczę blade!«, »Cholera, co to za miłość!«. Poniewieram się, psia krew, za tym Lindorem! Jacyś piraci czegoś chcą ode mnie, ale przeganiam ich, a potem terroryzuję Mustafę, który dotąd sam terroryzował wszystkie swoje żony. W chwili gdy podchodzi do mnie, od razu sprowadzam go do parteru». (...)

Swoje występy w roli Izabeli wspomina Ewa Podleś jako dobrą zabawę, z którą wiązało się nawet prawdziwe uctowanie. „To było bardzo wesołe, bo na koniec dawano nam bardzo dobre jedzenie i zdarzało mi się omalże nie wejść na czas ze śpiewem, bo



Ewa Podleś
w „Kopciuszku”,
Royal Opera.

miałam pełne usta kurczaka, pizzy czy klusek, a za każdym razem mieliśmy świeżo gotowane kluski czy spaghetti! Tak więc to było bardzo śmieszne, bo sobie podjadałam, jednocześnie czarując i Lindora, i Mustafę!”

Był jednak i czas, gdy nie było nikomu do śmiechu, a najbardziej odtwórczyni głównej roli. „Zdarzyło się kiedyś, że śpiewałam serię przedstawień »Tankreda« w La Scali. Miałam akurat wolną niedzielę i tak sobie siedzę i myślę – pierwszy dzień wolny, co tu zrobić? Męża wtedy ze mną nie było, bo wyjechał akurat do Ameryki. Jest godzina 12 i nagle telefon. Słyszę pytanie: »Czy może pani dziś przyjechać do Berlina?«. Chodziło o to, bym zastąpiła nagle (i to na premierze!) amerykańską śpiewaczkę Jennifer Larmore, która miała wystąpić we »Włoszce«. Nie wykonywałam tej roli od czterech lat i nawet nie miałam przy sobie nut, ale już tak dużo śpiewałam tej »Włoszki«, że powiedziałam: »Dlaczego nie?«. Notabene to jest przywilej młodości. Bo teraz nie odważyłabym się na coś takiego! A wtedy to rzeczywiście wyszło rewelacyjnie! Ale przeżyłam chwilę grozy. Kiedy już powiedziałam: »Tak, dobrze, zorganizujecie przelot« (a było to skomplikowane, bo nie było bezpośredniego połączenia między Mediolanem i Berlinem), znalazłam się na lotnisku i chciałam sobie powtórzyć całą rolę. Zaczynam sobie śpiewać »Cruda sorte! Amor tiranno« i nie wiem, co dalej! Myślę z przerażeniem: »Nie wiem, cholera jasna, nie wiem! Jak ja mam tę operę zaśpiewać?«. Poprosiłam, żeby przywieźli mi nuty na lotnisko. Przyleciałam o 6, a o 7 był spektakl. Przejrzałam nuty, zrezygnowałam z jakiegoś recytatywu, którego wcześniej nie śpiewałam, i jakoś to poszło”.

Magia sceny, na której Ewa Podles czuje się jak ryba w wodzie, zrobiła swoje. Ale trzeba dobrze znać tę artystkę, by to rozumieć i mieć do niej zaufanie. „Najbardziej panikował reżyser, bo bał się, że bez prób nie odnajdę się w tym spektaklu – opowiada dalej śpiewaczka. – Przekonywałam go, że dla mnie najważniejsza jest strona muzyczna – który recytatyw itd., a reszta – co za różnica? Wiem, co robić na scenie! Ale on mi nie dowierzał. Był załamany, bo dwa miesiące pracowali nad tym przedstawieniem i teraz mu się wszystko mogło zawalić! Mówił: »Ale ty musisz wejść z prawej strony«, ja – że wejść z le-

wej i nic się nie stanie. »Daj mi spokój – mówiłam mu – ja wiem, co tu robić!«. I wtedy zobaczyłam, co to była za beznadzieja! Ci ludzie, wszyscy na tej scenie, w ogóle nie wiedzieli, po co tam są i o czym śpiewają. Kiedy Mustafa pierwszy raz mnie widzi, to wiadomo, że robię na nim ogromne wrażenie. A tu? Chodzę z wielkim dekoltem koło niego, a on ani razu na mnie nie spojrzy! Był tak wpatrzony w dyrygenta! Nie wiedział nawet, że ja go uwodzę, a on na to reaguje! Byłam jedyną osobą, która grała na tej scenie, i dostałam owację na stojąco. No i tak to czasem wygląda – fakt, że się ma wspaniałe libretto, wielkie pole do popisu, o niczym jeszcze nie świadczy, bo jeśli ktoś nie ma nic do powiedzenia, to żeby nie wiem jakie dać mu możliwości, nic z tym nie zrobi”. (...)

CISZA DOBRA I ZŁA

„Każdą pracę nad rolą zaczynam od dokładnego przetłumaczenia tekstu – podkreśla śpiewaczka. – Nie wystarczą mi, jak niektórym ludziom: »Aha, to jest aria o miłości, a ta o śmierci«. Ja muszę znać każdy wyraz! Muszę wiedzieć, co jest najważniejsze, a co mniej ważne, do czego dążę, jak mam zbudować tę czy inną frazę, żeby ona żyła, żeby trzymała w napięciu. Jeśli nie śpiewam w napięciu, to i publiczność tego tak nie odbierze. Wiedząc, z kolei dokładnie, o czym śpiewam, koncentruję się przede wszystkim na tym, by jak najlepiej wykonać to technicznie (...).”

Wypiłam koniak, butą przegryzłam i znowu poszłam, i poleciało!

„Czasem też artyści się ze sobą pieszczą – mówi dalej śpiewaczka. – Nie jest z nimi aż tak źle i pięknie śpiewają, ale poszedł anons i publiczność wtedy myśli: »A, to jeśli on tak śpiewa, jak jest chory, to co dopiero, jak jest zdrowy!«. Raz w Trieście zachorowałam i zupełnie straciłam głos. Wtedy poważnie się zastanawiałam, czy wystąpić. Chodzę wokół telefonu, waham się, czy dzwonić, próbuję wydobyć jakieś dźwięki z gardła. Nie wiem, co robić, mam prawie łzy w oczach. I nagle telefon. Odbieram

i słyszę: »Tenor chory, odwołane przedstawienie!«. Mówię: »Jak mi przykro!«, a w duchu cieszę się, że to nie ja musiałam odwołać spektakl! Z kolei, kiedy w Genewie śpiewałam »Orlanda«, w koncertowej wersji, też byłam strasznie chora, ale rozgrzałam głos i śpiewam. Czuję jednak, że głos mi siada. Skończył się pierwszy akt, jest przerwa, mówię do męża: »Leć do baru, przynieś mi lampkę koniaku i butę – muszę przetrzeć gardło, bo

Nie mogę powiedzieć, bym choć raz w życiu była w stuprocentowej formie.

jakaś mgła mi usiadła, a tu pełno koloratur». Wypiłam koniak, butą przegryzłam i znowu poszłam, i poleciało! Dobrnęłam do końca, nikt nawet nie wiedział, że coś mi było.

Nie mogę powiedzieć, bym choć raz w życiu była w stuprocentowej formie – zawsze w lepszej lub gorszej i od tego zależy rezultat. Ale do tego dochodzi ogromne przygotowanie. Ja naprawdę myślę nad tekstem, nad frazą i kiedy wiem, jak wszystko zrobić, to jestem spokojna i wtedy też przychodzi swoboda wykonania. Nie jestem spięta. Kiedy jestem w lepszej formie, pozwalam sobie na więcej luzu. Innym razem muszę bardziej wszystko kontrolować”. (...)

Wiele jest komplementów, jakimi można obdarzyć wybitnego artystę. Wśród tych, które usłyszała Ewa Podles, jest m.in. taki, który pozornie nie wydaje się najmocniejszy, a jednak mówi o sile jej wykonawstwa wszystko: „Ewa Podles miała tylko krótką scenę, ale do tego stopnia załadowała audytorium żywotną mocą swojego śpiewu, że nie sposób było sobie wyobrazić, by ktoś mógł choć na sekundę odwrócić od niej uwagę”.

Tak napisała Melinda Bargreen po występach polskiej śpiewaczki jako Erdy w „Zygfrydzie” w Seattle Opera, w 2005 r. I to jest to, co Ewa Podles pragnie osiągnąć na scenie – dać publiczności taki rodzaj przeżycia, który wywołuje wstrząs. „Uwielbiam, kiedy zalega cisza, kiedy słyszę, że wszyscy zamierają – to mi dodaje skrzydeł. Mnie się zupełnie wtedy inaczej śpiewa, bo czuję, że jest rezonans”, mówi śpiewaczka.

Niestety, bywa i marna publiczność. „Pamiętam, miałam kiedyś ta- ▶

► ki koncert w Sarasocie na Florydzie. Będę to całe życie pamiętać! – wspomina Ewa Podleś. – Negocjacje na temat programu trwały chyba pół roku. A miał to być recital z fortepianem. Cokolwiek im zaproponowałam, było za poważne. Ustaliśmy wreszcie, że będę śpiewała najpopularniejsze rzeczy – z »Carmen« »Habanerę«, »Seguidillę« i jakieś tam »um pa, um pa«. Śpiewam na koncercie te »um pa, um pa« i się mizdrzę do tej publiczności, a tam taka martwa cisza. Ale zupełnie inna – nie ta, o którą mi chodzi! Wreszcie skończyłam śpiewać jakimś takim »o-le!« i gdy normalnie wszyscy byliby już nie wiem jak szczęśliwi, słyszę jakieś marne oklaski, takie że nawet nie zdążyłam na nich zejść ze sceny, bo się zaraz skończyły. Potem mi organizatorzy tłumaczyli, że tu taka jest średnia wieku – 90 lat i nawet gdybym przy tym fortepianie zrobiła striptiz, to też by się nic nie działo! (...)”.

NA PAMIĘĆ I BEZ TRZECIEGO!

Dobre porozumienie z reżyserem to podstawa pracy nad spektaklem,

jednak w operze ważniejszą rolę odgrywa jedność z dyrygentem. Od reżyserskich wskazówek jest jeszcze ucieczka (często na korzyść całości), zaś od rytmu, jaki narzuca dyrygent – nie. Ewa Podleś kładzie ogromny nacisk na wzajemne zrozumienie w muzyce. Udało się jej wielokrotnie osiągać je w teatrach, ale jego przykładem jest również współpraca artystyczna z jej mężem, pianistą – Jerzym

Kiedy zalega cisza i wszyscy zamierają – to mi dodaje skrzydeł.

Marchwińskim i ich wspólne recitale, którym kres położyła postępująca u niego niedyspozycja ręki. „Kiedy mój mąż musiał przestać grać, byłam okropnie nieszczęśliwa. Owszem, byli różni inni wspaniali pianiści, ale nie nadawali się na tych samych falach. (...) On po prostu grał, ja śpiewałam i to naturalnie płynęło. Czego nie ma z innymi! Zaczynam śpiewać, a facet albo za mną, albo przede mną! (...) Aż wreszcie znalazłam Garricka Ohlssona.

na. To wielki pianista, ale nie było tak, że zgraliśmy się od samego początku, bo on też był trochę spętany wielkimi artystami, jak np. Jessye Norman. A do naszego spotkania doszło dlatego, że on nagrywał wszystkie utwory Chopina, więc musiał nagrać też pieśni i szukał polskiego wykonawcy. Radził się wśród znajomych i ktoś zaapytał go: »A słyszałeś Podleś?« i dał mu moje nagrania. On je przesłuchał i powiedział, że to absolutnie cudowne. Rozpoczęliśmy pracę nad tymi pieśniami i od razu zauważyłam, że on się zachowuje jak akompaniator – w złym znaczeniu tego słowa:

»A czy gram nie za głośno?«, »Czy nie za szybko?« i patrzył na mnie. A ja mu na to: »Garrick, graj do cholery! Ty jesteś wielkim pianistą! Graj tak, jak cudownie grasz Chopina! Pierwsza nagroda! To jest twój kompozytor! Dawajże! Postaw forte! Otworzymy klapę fortepianu!«. No i wreszcie się z tego »akompaniowania« wyzwolił. Bo jest sporo artystów, którzy chcą mieć takiego lokaja.





Z mężem, najlepszym
akompaniatorem, 1993 r.

Nie partnera. Lokaja. »Nie za głośno, nie za szybko, nie za wolno«, »Cicho tu, patrz na mnie, oddychaj ze mną«, »Ukoń się ładnie, równo ze mną« itd. Mąż mu pokazał, co ma robić – »Zobacz, tu masz akcent« itd. Zaczął z nami odkrywać różne rzeczy i Garrick się wreszcie otworzył. I tak się cieszył, że mógł coś odkryć, że mu pomagamy coś zobaczyć. Zaczął również inaczej grać swoje solowe rzeczy. Nagleabrał dramaturgii w tym graniu. (...) On umie zrealizować moje potrzeby i to jest cudowne! To czuje każdy, to widać i słyszać, i to jest w recenzjach!».

(...) »Kiedyś powiedziałam mu, zupełnie niczego od niego nie oczekując, po prostu wyrwało mi się: »Wiesz, Jerzy zawsze grał na pamięć«. Bo mąż uważał, że zajmowanie się przewracaniem kartek odbiera dramat, kontakt z wokalistą. Dlatego że trzeba się zająć czymś innym – przerzucić stronę i sam fakt, że te nuty tam są, przykuwa uwagę. A już najgorzej jest, jeśli kartki przewraca trzecia osoba! To jest jak trzeci w łóżku! (...)».

„I proszę sobie wyobrazić, że Garrick przyjeżdża na nasz następny recital i wszystko umie na pamięć! – opowiada dalej śpiewaczka. – I nie mieliśmy *tournee* 20 koncertów, żeby było warto się nauczyć. Nie. On po prostu nauczył się na ten jeden koncert i powiedział: »Jerzy, święte słowa

powiedziałeś! Miałeś rację. To jest zupełnie co innego!«”. (...)

NA TO PRZYCHODZĄ LUDZIE

Opera to jednak nie koncert i zwłaszcza dziś wymaga od śpiewaków znacznie więcej niż kiedyś. Dla takich wykonawców jak Ewa Podleś aktorskie wyzwania tego gatunku to jego wielka zaleta. „Oczywiście, że im bardziej skomplikowana postać, tym bardziej jest dla mnie interesująca – mówi Ewa Podleś. – Daje mi większe pole do popisu, do manewru. Ale trzeba pamiętać, że to nie są role filmowe, gdzie kamerą można uchwycić każdy szczegół – mgnienie oka, zaciśnięcie zębów itd. Na scenie to jest taki gest, jak mówię, »od ściany do ściany«, czyli to nie jest intymne granie. Tu nie widać szczegółów. I makijaż, i gest musi być przerysowany, by mogły się przebić przez scenę i orkiestrę do widowni. Wiadomo, że ta gra jest umowna, ponieważ przede wszystkim istotny jest śpiew. Bo co z tego, że wyjdę i będę jak Sarah Bernhardt, a bez głosu. Tego nikt mi nie daruje. Nawet nikt nie będzie wiedział, że byłam na scenie jak Sarah Bernhardt, tylko powiedzą: »Podleś nie ma głosu«”.

„W operze najważniejsze jest, by przede wszystkim pięknie zaśpiewać – podkreśla artystka”. (...)

Już chyba coraz mniej śpiewaków może pozwolić sobie na korzystanie z przywilejów dawnej szkoły wykonawczej (a ściślej: przywileju największych gwiazd) i na scenie stara się ustawić jak najbliższej rampy. „Tak było w spektaklu, w którym występowałam w Rzymie – wspomina Ewa Podleś. – Był to »Juliusz Cezar« z Montserrat Caballé jako Kleopatry. To moja słynna opowieść. Diva przyjechała w ostatnim momencie. Próbe kostiumów zażyczyła sobie w hotelu, więc pracownicy techniczni musieli tam przytargać kostiumy z teatru, ale targali też fortepian, bo i próby z dyrygentem były w hotelu (no to jest właśnie takie »gwiazdzenie«, ale trzeba pamiętać, że było to jakieś 30 lat temu). Zanim Caballé przyjechała, myśmy chyba przez miesiąc pracowali z jej dublerką. Znęcał się nad nią reżyser, a ona i tak nie miała wystąpić. Mimo to co chwilę robił jej jakieś uwagi: »Rączka tu«, »Oj, nie, nie – trochę wyżej!«, »A tu krocze« itd. Myślałam: »Co on się uczeplił tej dziewczyny! Ważne, że jest, że podśpiewuje i pomaga nam zrobić spektakl«”.

„Montserrat przyjechała dwa dni przed premierą – opowiada dalej artystka. – I co? Stała na środku sceny i tylko śpiewała. Poza tym – nic! Ani rączka, ani nóżka! A wszyscy i tak byli zachwyceni tylko nią. Na scenie nie było nikogo innego! I recenzja była taaaka długa na pierwszej stronie »Corriere della Sera«. I tylko o niej! Kolegów nie było. Mało tego, Juliusza Cezara nie było! Nikogo nie było na scenie, tylko Montserrat! A wspominałam to dlatego, żeby jeszcze raz podkreślić, iż opera to przede wszystkim piękny śpiew. I słuchacze wybaczą nawet to, że człowiek stoi i nic nie robi – ważne, żeby pięknie zaśpiewał, bo na to przychodzą ludzie (...)”.

Tytuł, skróty i ilustracje pochodzą od redakcji



Fragmenty książki Agnieszki Okońskiej
Wielkie role gwiazd opery, Wydawnictwo BOSZ,
Olszanica 2015

KURTYNA W GÓRĘ

JAK ZOSTAĆ ŻYDÓWKĄ?

To wprawdzie nie jest podręcznik, ale lekcje odbywane przez Krystynę (Sylvia Najah), która z miłości do wybranka (Marek Ślosarski) postanawia zmienić wyznanie, mają w sobie nieco dydaktyzmu, choć na wesoło. Wydaje się, że cierpliwy i wyrozumiały nauczyciel Jonasz (Dawid Szurmiej) znieśie wszystko. Musi tak być, bo Daniel Simon napisał przede wszystkim komedię, a nie poważną sztukę o konwersji religijnej, chociaż przy okazji widzi nieobeznany z zasadami judaizmu tego i owego liźnie. Ale i tak niewiele się dowie. Zobaczmy natomiast specyficzne poczucie humoru, dystansu i dwuznaczności w zachowaniach rabinów i ortodoksyjnych Żydów. Wszyscy niby poważni, ale skłonni do ustępstw, niby bardzo zasadniczy, ale gotowi przebaczać. Słowem, jest to zabawna opowieść o miłości uwikłanej w religijne uzależnienia, które pojawiają się jako asekuracja przed małżeństwem, aby nieoczekiwanie zacząć wywierać coraz większy wpływ na życie codzienne. Wszystko jednak musi się skończyć dobrze.

Majster od komedii i fars, czyli Marcin Sławiński, wystawił „Szabasową dziewczynę” w gościnnych progach Klubu Garnizonowego pewną ręką, publiczność bawi się, a lżejsza rzecz poświadcza, jak wszechstronna jest paleta propozycji Teatru Żydowskiego. Nawet wtedy, gdy pozbawiony siedziby musi korzystać z rozmaitych przystanków, wyczekując na nowy stały adres.



Daniel Simon, „Szabasowa dziewczyna”, tłumaczenie Janusz Tencer, reżyseria Marcin Sławiński, Teatr Żydowski, sala Klubu Dowództwa Garnizonu w Warszawie, premiera 14 stycznia 2017

Tomasz Miłkowski

NA POWAŻNIE



SZUMIĄ JODŁY W ŁODZI

50 lat minęło od powstania Teatru Wielkiego w Łodzi i tak samo jak wtedy rozpoczęto od naszej narodowej opery „Halka”. Obyło się bez specjalnych udiwnień. Janusz to szlachcic, a Halka i Jontek są góralami. Reżyser postawił na uwypuklenie podziałów klasowych. Mieszkańcy wsi stoją za wysokim ogrodzeniem i stamtąd oglądają zabawę państwa. Jontek życzy cierpienia swojemu konkurentowi z wyższych sfer i nawet podnosi ciupagę. W galowej premierze wystąpili najlepsi soliści – słynną arię „Szumią jodły na gór szczyty” śpiewa Dominik Sutowicz, a „Gdyby rannym słonkiem wlecieć mi skowronkiem” to popis Doroty Wójcik. Szlachta pięknie tańczy mazura w układzie najlepszego specja Emila Wesołowskiego, a górale wywijają ciupagami i wykonują różne skoki. Publiczność jest zadowolona, że ogląda przedstawienie barwne i wzruszające, „jak Pan Bóg przykazał”, bo twórcy nie przenieśli akcji do współczesności. Jedyna postać, której nie przewidział Moniuszko, to anioł odprowadzający na tamten świat dziecko Halki, a potem ją samą.

Bronisław Tumilowicz

Stanisław Moniuszko, „Halka”, kierownictwo muzyczne Wojciech Rodek, reżyseria i scenografia Jarosław Kilian, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 19 stycznia 2017

NA EKRANACH



ELLE

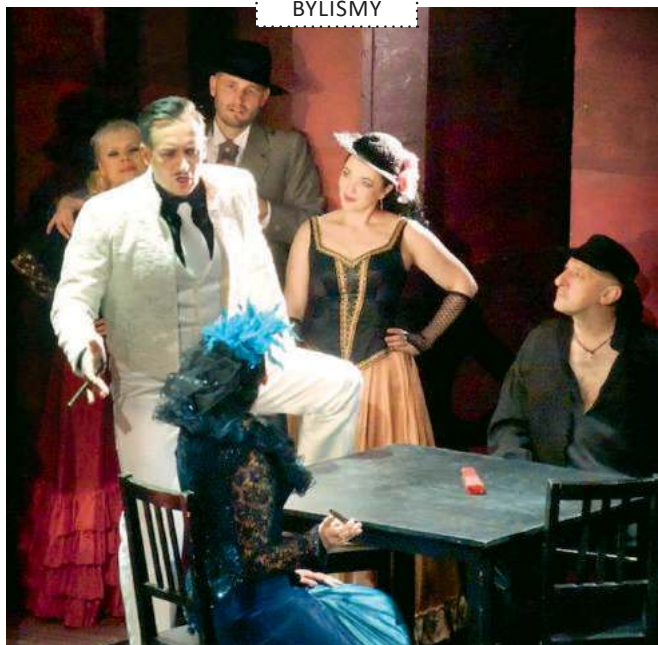
reż. Paul Verhoeven, prod. Francja/Niemcy, już w kinach

„To sekutnica, to hetera, to jędrza, zmora et cetera”, słowa tej zapomnianej piosenki świetnie pasują do tego, jak ludzie postrzegają Michelle. Kobieta uchodzi za wyrachowaną i zimną, z łatwością owija sobie mężczyzn wokół palca. Trudno zaślubić na jej szacunek, za to o drwinę długo starać się nie trzeba. Kim jest ta 60-latką? Zepsuta burżujką na intratnej posiadłości w korporacji czy skrzywdzoną przez życie melancholiczką? Poznajemy ją, gdy ściera krew z ud. Właśnie została zgwał-

cona. Po wszystkim bierze kąpiel i jakby nigdy nic idzie do pracy. Żadnej policji, żadnego załamania. Wadliwy psychologicznie scenariusz? Nie, raczej przemyślana i konsekwentna gra z oczekiwaniami widza, w której Paul Verhoeven, twórca niezapomnianego „Nagiego instynktu”, tyle razy odniósł zwycięstwo. Zabawa gatunkami znów wychodzi mu pierwszorzędnie, a obsadzona w roli głównej Isabelle Huppert okazuje się solą tego filmu. Złoty Glob trafia w jej ręce w pełni zasłużenie, podobnie jak nominacja do Oscara.

Artur Zaborski

BYLIŚMY



Sikorowski z chórem

Kiedy Andrzej Sikorowski tworzył jeden ze swoich przebojów, „Piwna 7”, pewnie się nie spodziewał, że słowa o sławie ziszcza się choćby w tym, że zaśpiewa je w Operze Krakowskiej z jej orkiestrą i chórem. Ile nowego brzmienia nadali artyści operowi temu i innym hitom lidera zespołu Pod Budą, można było się przekonać podczas kolejnego już koncertu karnawałowego. Sikorowski z córką Mają nieźle wypadli też w Mozartowskiej arii „La ci darem la mano”. W koncercie wystąpili również soliści Opery Krakowskiej, która zaprezentowała fragmenty premier. Magdalena Barylak, śpiewająca mocne role, choćby w „Tosce” czy „Aidzie”, pokazała, że świetnie się czuje w lżejszym repertuarze. Adam Sobierajski od lat wyśpiewuje operetkowe arie, a podczas tego koncertu dodatkowo przebój Demisa Roussosa „Goodbye, My Love, Goodbye”. Baryton Adam Szerszeń był nie tylko torreadorem, ale i amantem.

Krakowskie koncerty noworoczne to mieszanka muzyki, żartu i dobrej zabawy. W Operze Krakowskiej karnawał został otwarty, a zakończy go, jak co roku, przedstawienie ostateczne.

Paweł Dybicz

**KONCERT KARNAWAŁOWY, OPERA KRAKOWSKA,
21 STYCZNIA 2017**

ZAJRZYJ TU

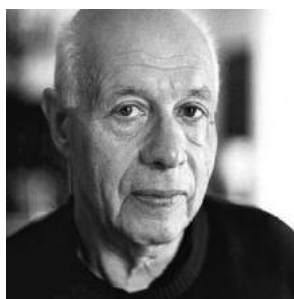
ABRAHAM OSTRZEGA

W 75. rocznicę konferencji w podberlińskim Wannsee, która zapoczątkowała zagładę Żydów, otwarto wystawę rzeźb nagrobnych Abrahama Ostrzega, odrestaurowanych w ramach projektu artystycznego realizowanego przez Zachętę i Fundację Dziedzictwa Kulturowego we współpracy z Gminą Wyznaniową Żydowską w Warszawie. Wystawa to po prostu aleja na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie, gdzie odrestaurowane pomniki świadczą o wielkim talencie rzeźbiarza, którego zamordowano w 1942 r. w Treblince. Ostrzega był absolwentem stołecznej ASP i należał do najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy. Jego ambicją była synteza tradycyjnej sztuki żydowskiej z elementami kultury starożytnej Babilonii i Asyrii. Twórczość Ostrzega wzbudzała niekiedy kontrowersje, ale znalazła też naśladowców. Artysta wprowadził do żydowskiej sztuki sepulkralnej motyw rzeźby figuralnej – anioły śmierci czy płaczki.

WARSZAWA, CMENTARZ ŻYDOWSKI



(bt)



ERWIN AXER Stulecie urodzin. 1917-2017

Wystawa w warszawskiej Kordegardzie to pierwsze wydarzenie związane z setną rocznicą urodzin Erwina Axera – reżysera, pisarza, wieloletniego dyrektora Teatru Współczesnego i przez krótki czas Teatru Narodowego. Podstawą stylu reżyserskiego Axera była lojalność wobec autora, a warunkiem wprowadzenia tytułu do repertuaru – skompletowanie odpowiedniej obsady. Ten wielki człowiek teatru był otwarty na nowe trendy w światowej literaturze dramatycznej. Jego Teatr Współczesny pełnił funkcję nieoficjalnego salonu stolicy, był miejscem spotkań inteligencji, poważnej rozmowy z publicznością. W Kordegardzie prezentowane są zdjęcia z wybranych spektakli i fragmenty esejów, a uzupełnieniem jest ekspozycja wirtualna przygotowana przez Instytut Teatralny.

WARSZAWA, GALERIA KORDEGARDA, DO 19 LUTEGO

BARTOSZ KOKOSIŃSKI Wspólnota wyobrażeń o gęstości

O co chodzi z tą gęstością? Sugestywny tytuł pozostawia odbiorcy spory margines na interpretację. Bo gęstość dotyczy zarówno samych prac, jak i procesu twórczego. Jest więc rozumiana dosłownie – jako nagromadzenie przedmiotów w obrazach i obiektów w przestrzeniach wystawienniczych, ale i rzeczy potrzebnych do wykonania prac. „W kontekście problematyki, do której odnosi się Bartosz Kokosiński (rocznik 1984), tytułową gęstość można odczytywać także jako kondensację różnego rodzaju nadmiarów, którymi karmi nas współczesna cywilizacja”, wyjaśnia kurator wystawy Katarzyna Jankowiak-Gumna.

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, 3 LUTEGO-19 MARCA



Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

Rozmawia Michał Wójcik

– Stosy, stosy splątanych ciał. Pierwsze, co zobaczyłam po wyjściu z rewiru, to te stosy nagich kobiet. Kości obleczone skórą. Dziesiątki trupów.

To były ofiary tyfusu. Epidemia zdziesiątkowała obóz kobiecy. Z 28 tys. więźniarek Birkenau, które przybyły do obozu w roku 1942, przy życiu zostało jedynie 5367.

Wśród nich pani.

– Wtedy już wiedziałam, że będę żyła. Miałam przecież gwarancję, że nie umrę bez sakramentu. A tutaj nie było żadnej szansy, abym go otrzymała. Wyszłam z rewiru o własnych siłach. Przed blokiem leżała góra nagich ciał. Po nich harcowały szczury. Żarłoczne. Obgryzały, nie dały się przepłoszyć. Coś niewyobrażalnie strasznego. Zaczynały od łona. Boże! Gdy na rewirze leżałam nieprzytomna, szczur ugryzł mnie w palec u nogi. Poruszyłam nogą, smyrznął na dół. Buszowały po łózkach, a gdy już ktoś umarł, to go obsiadały. Bywało, że więźniarki, które zmarły w nocy, miały wygryziony cały bok. Tego nie można sobie wyobrazić, a cóż dopiero opisać.

Jak broniliście się przed szczurami?

– No właśnie: jak? Miałymy rozrzucać trutkę? Przecież nie było. Był za to w obozie esesman, który bawił się strzelaniem do nich.

Szmagłowska pisze, że to był Effinger.

– Wydaje mi się, że Schulz. Arbeitsdienstführer Schulz. Strzelał. A nawet robił polowania z nagonką. Zapędzał więźniarki do zatykania dziur w bloku, stawał w drzwiach, a one napędzały mu szczury przed lufę. Gdy ustrzelił jakiegoś, bardzo był zadowolony. Szedł potem przez Lagerstrasse i niósł je za ogony. Wymachiwał nimi, bawił się. Trzeba było uważać, by się na niego nie natknąć. Bywało, że przywoływał więźniarkę do siebie, niewinnie zagadywał, a potem uderzał tymi szczurami w twarz. Kobiety dostawały hysterii. Podobno jedna zwariowała. Szedł potem taki zachwycony sobą, podśpiewywał, gdyby miał róg, toby pewnie trąbił na zakończenie polowania. Był jak z baśni. Szczurołap. (...)

Gdy doszłam do siebie po tyfusie i durchfallu, przez pewien czas pracowałam jako pomoc na rewirze. Nosiłam trupy.

MGŁA

Fetor niewyobrażalny.
Czasami była taka wilgoć, że dym z krematorium nie leciał w górę, ale opadał i tak wisiał między barakami

ZOFIA POSMYSZ

– więźniarka Auschwitz, Ravensbrück i Neustadt-Glewe. Przeżyła eksperymenty medyczne i marsz śmierci. Po wojnie była dziennikarką Polskiego Radia, autorką słuchowiska „W Jezioranach”. Obozowe doświadczenia przedstawiała w książkach, jej „Pasażerkę” sfilmował Andrzej Munk.

Była pani tragarzem zwłok?

– Niedługo. Z tego okresu pamiętam scenę, która pokazuje obozowe paradoksy. Za rewirem był drewniany barak, rodzaj kostnicy, gdzie składowało się zwłoki przed wywózką do krematorium. Po jakimś kursie zauważyłam, że ktoś się w tym baraku schował. Okazało się, że jakaś para tam się kochała, wśród tych rąk i nóg, korpusów i głów. Kochali się, choć właściwszym określeniem byłoby: spółkowali. Gwałtownie, zachłannie, na stojąco. W takim miejscu, w takim otoczeniu! W tym było coś zwierzęcego.

Kiedy sobie pani uświadomiła, że Auschwitz to nie tylko obóz pracy i *anus mundi*? Że to przede wszystkim fabryka śmierci? Że sens tej fabryki jest kres żydowskiej cywilizacji?

– Właśnie wtedy, w roku 1943, po wyjściu ze szpitala, gdy przestałam pracować na rewirze. Wróciłam do mojego komanda, do kuchni. Pracowałam wtedy przy kotle. Przyjemna praca, mieszanie zupy. Przyszli dwaj więźniowie. Mieli oczyścić przewód kominowy. Ale co ciekawe – nie od góry, jak kominarze, tylko od dołu.



Majstrowali przy kottach. Zamieniłam z nimi parę słów. Nawiązałam do napisu: *Arbeit macht frei*. A jeden z nich odpowiedział do rymu: ...*durch Krematorium drei*. Czyli praca czyni wolnym przez krematorium III. Groza. Chyba jakoś wtedy.

To pewnie musiało być w czerwcu. Krematorium III w Birkenau zostało oddane do użytku 25 czerwca 1943 r. Wydajność: 1440 ciał na dobę. Bo wcześniej, 22 marca, zaczęło pracować krematorium IV, a następnie krematorium II – 31 marca i krematorium V – 4 kwietnia. Birkenau zmienia się w fabrykę.

– Wiedzę zdobywało się z czasem. Dziś jest wszystko jasne. Ja do tego dochodziłam. Pamiętam to. Transportów było coraz więcej. Komin dymiły całą dobę, dwie, nawet dłużej, bez przerwy. Dym był raz biały, innym razem czarny. Przeważnie jednak biały. A czasem z kominów buchał płomień. Zapisał to poeta w obozowej pieśni: „Płomieniem rzyga komin krematorium, odorem ciał palonych cuchnie w krąg”.

Coraz więcej dymu, jakby fabryka nabierała tempa. Zdawała sobie pani sprawę, jaka jest skala Zagłady?

– Z początku nie. A potem zrozumiałam, że chodzi o masowe zabicie dziesiątek i setek tysięcy ludzi. Magazyny puchły od zagrabionych rzeczy. I wszystko to cuchnęło. Coraz



bardziej. I bardziej. Tu muszę opowiedzieć o czymś strasznym. W Brzezince i w tych okolicach panował specyficzny klimat. Albo było gorąco, albo zimno. Ale było też niezwykle wilgotno. I ta wilgoć działała na dym z krematorium jak utrwalać. Taki dodatek, który powodował, że dym w swojej postaci utrzymywał się dłużej. Wzerał się w tę wilgoć i wisiał. Zupełnie jak mgła. Godzinami. To zjawisko najlepiej było widoczne rano, zaraz po pobudce. Pamiętam, że wstawałam jeszcze przed wszystkimi. Gdy wychodziłam z baraku, w takiej absolutnej ciszy, bo jeszcze lager spał, i szłam do latryny, atmosfera była zupełnie nieziemską. Bajkowa. Zaraz za drzwiami wchodziło się w mgłę. To była ciężka zawiesina. O prawie stałej konsystencji. Nie jestem chemikiem czy fizykiem i nie wiem, jak to wytłumaczyć. Ale gdy uszło się kilka kroków, to za plecami zostawał taki wycięty we mgle korytarz. On dopiero po chwili zniknął.

Napisała pani w powieści „Wakacje nad Adriatykiem”: „Dym gęsty i biały palonego mięsa i kości zmieszany z mokrym śniegiem trwa przy ziemi, brodzę w nim, żywe jeszcze kości i mięso, przedzieram się przezeń, już nawet go nie czując, do wszystkiego można się przyzwyczaić, są ludzie, co życie całe mieszkają w pobliżu garbarń czy

rzeźni, tutaj coś w tym rodzaju, to, że surowcem są ludzie, ma w końcu znaczenie naprawdę dla tych tylko, co idą pod nóż”.

– Fetor. Fetor niewyobrażalny. Czasami dochodziło do jeszcze innego, dziwnego zjawiska fizycznego. Meteorologicznego. Była taka wilgoć, że dym z komina nie leciał w górę, ale opadał nad ziemię. I tak wisiał – jak mgła – między barakami. Wtedy to nie był tylko fetor. Po prostu jakby brakowało tlenu. To jest nie do opisanie. I co jest koszmarnie, często ten smród był nie do zidentyfikowania przez tych, którzy dopiero przyjechali. Oni pociągali nosami, rozglądali się na boki, szukali przyczyny. Może myśleli, że w tej fabryce produkuje się jakieś dziwne chemikalia. Tymczasem... (...)

Piekło i szatański chichot. Znowu „Wakacje...”: „Gdy dym bywał czarny, władze lagrowe mówiły dowcipnie, że właśnie palą brunetki, gdy był jasny, że blondynki”.

– Ta mgła wydzielala odór. Odór palonego mięsa. Jak w kuchni, gdy coś się przypali. Dziś myślę, że wdychając te ludzkie prochy, musiałyśmy się infekować.

Czym?

– Chorobą. Szaleństwem. Na to nie było i chyba nie ma lekarstwa. Mam na myśli to, co się działo z nami po wojnie. Z tymi, które przeżyły. Bo od tyfusu się umierało, od durchfallu też. Fizycznie. A od tego fetoru w każdej z nas umierała jakaś część. Większa lub mniejsza. Umierał człowiek. My – tam w Birkenau – funkcjonowałyśmy tygodniami, miesiącami, latami. Wszystko funkcjonowało do-

Więźniarki zmarłe w nocy miały wygrzyziony cały bok przez szczury. Tego nie można sobie wyobrazić, a co dopiero opisać.

okoła, wstawało słońce, my wstawałyśmy rano do pracy, budził się lager. Potem komanda szła za druty do pracy, przygrywała im orkiestra, potem wracały, szłyśmy spać. Rano to samo. Takie obozowe życie. Ale właśnie wtedy, gdy skojarzyłam te uporczywe mgły z ludźmi, że z nich one powstały, przypomniałam sobie, że Ptaszka podobnie tę rzeczywistość pojmowała. Bo to najpierw trzeba zrozumieć. Ogarnąć. Jakoś objąć...

Bohaterka powieści „Wakacje nad Adriatykiem” to postać autentyczna?

– Zosia Jachimczak. Numer 7546. Ptaszeńka. Była starsza ode mnie. Po

skończonym konserwatorium trafiła do SK w Budach. Tak jak ja. Chuda, drobna, delikatna. Zaprzysiężyliśmy się.

Dlaczego nazwała ją pani Ptaszka?

– Widział pan kiedyś jaskółki, które obsiadły przewody wysokiego napięcia? Pazurki zawijają w taki śmieszny sposób dookoła drutu. Pamiętam, że gdy Zosia trzymała grabie, to te chude dłonie z długimi palcami wyglądały właśnie jak ptasie łapki. Z kulkami stawów obleczonymi cieniutką skórą. I to ona pierwsza zrozumiała, że Auschwitz to nie jest świat, który można ogarnąć ludzkim umysłem. Pewnego dnia wypowiedziała słowo: Królestwo. Że obóz to królestwo z baśni. Z baśni strasznej i dziwnej, nie z naszego świata. (...)

W swojej prozie używa pani terminu „nieludzie”. Kiedy pojawiła się w pani myśleniu o Auschwitz taka figura, że w obozie nie ma ludzi? Są właśnie numery, pasiaki, jest nawet bydlę, ale to nie są już ludzie.

– Swój pierwszy tekst – „Znam katów z Belsen”, który napisałam w 1945 r. do „Głosu Ludu” – podpisałam obozowym numerem. Potem to już była pewna konsekwencja. Aby pokazać czytelnikom świat Auschwitz, należało chyba właśnie zacząć od tego. Pokazać, że w obozie więźniowie dla funkcjonariuszy SS nie byli ludźmi.

Przywołam tu bardzo znamienne wydarzenie. (...) Otóż Kurt Bundzus był dyplomowanym inżynierem elektrykiem. W 1943 r. przyjechał do Auschwitz jako pełnomocnik Siemens-Schuckert-Werke AG w celu budowy zakładu produkcyjnego. W powojennym procesie funkcjo-

nariuszy obozowych we Frankfurcie zeznał, że chciał w obozie sprawdzić kandydatów do pracy: „50 odpowiadało technicznemu wymaganiom. Poprosiłem komendanturę, żeby więźniowie ci otrzymywali dodatkowe żywnienie i dodatkowe koce oraz byli traktowani w sposób uprzywilejowany. Więźniowie ci powinni być starannie nawożeni”.

– Nawożeni. Jak gleba?

No właśnie. Pełnomocnik oskarżenia posiłkowego dr Kaul zachnął się, że wyrażenie „nawozić” brzmi w tym kontekście dość strasznie. Proszę sobie wyobrazić, że Bundzus nie

► zrozumiał tej uwagi. Nie trafiła do niego. Dla niego więźniowie obozu, 20 lat po wojnie, nadal byli... czymś w rodzaju inwentarza na fermie. Nadal sądził, że Auschwitz to jakaś plantacja, coś w rodzaju hodowli. W tym akurat wypadku to była ferma taniej siły roboczej.

– To jest widoczne na rysunkach Władysława Siwka albo Janiny Tollik. Tłumy nagich więźniarek i gdzienie-gdzie wyprężona esesmanka. Nagie więźniarki, których kobiecość jest już ledwie dostrzegalna, są jak kurczaki na fermie. To taka nieopierzona masa. Pamiętam to. Rzeczywiście, w Budach, gdzie wszystkie byłyśmy wygolone, brudne i głodne, miałyśmy opuchnięte twarze – wyglądałyśmy jednakowo. Tłum prawie identycznych, otumanionych ludzkich wraków. Bez osobowości.

Chrabąszcze. Alois Häfele, który kierował mordowaniem Żydów w samochodowych komorach gazowych w Chełmnie nad Nerem, podczas urlopu w Karlsruhe zwierzył się: „Można do tego przywyknąć, obojętnie: kobieta czy mężczyzna, jest to właściwie tak, jakby się rozdeptywało chrabąszcza”. Przy tych słowach szurał stopą.

– Gdyby esesmani mogli, pewnie by nas wszystkich rozdeptali. Ale wie pan, co ich powstrzymywało?

Iskierka człowieczeństwa na dnie duszy?

– Nie, nie to mi przychodzi na myśl. Coś innego. Moim zdaniem – regulamin. Gdyby nie on, zagoniliby nas do krematorium i skończyli tę męczarnię. Przecież oni też musieli się w Auschwitz męczyć.

Magazyny puchły od zagrabionych rzeczy. I wszystko to cuchnęło.

To uczucie przebija z kart pamiętników komendanta Hössa. On w wielu miejscach pisze, że jego służba w obozie to ciężki kawałek chleba. I że jest zmęczony. (...)

– Myślę, że dla wielu esesmanów praca w Auschwitz była udręką. No, ale służba nie drużba.

Irma Grese podczas procesu, mimo że postawiona w stan oskarżenia, nadal nie mówiła o więźniarkach jako istotach ludzkich: „Na początku, gdy jeszcze było ich mało i miały dość jedzenia, były zupełnie w porządku. Później, gdy miałam ich 20 do 30 tys.,



zachowywały się jak zwierzęta. (...) Jeśli chodzi o warunki sanitarne, to z początku było zupełnie w porządku, lecz później, gdy obóz stał się przepełniony, było tak, jakby więźniowie myśleli, że każde miejsce jest dobre na latrynę”. Narzeka jak właściciel trawnika, któremu pies sąsiadki narobił na trawnik.

– I co ciekawe, Irma Grese przerzuciła tu winę na nas. To my nie potrafiliśmy się zachować, to my załatwialiśmy się gdzie popadnie, to my – jak zwierzęta – atakowałyśmy roznoszące prowiant. To też jest temat na książkę: wypranie mózgu sprawcy. Proces, w którym zdyscyplinowany funkcjonariusz staje się wyzutym z emocji trybikiem w maszynie. Mnie, przyznam, interesował ten odwrotny proces. Gdy esesman odnajdywał w sobie na powrót człowieka. Tak się stało z Anneliese Franz (główna bohaterka „Pasażerki”

– przyp. red.). Tak sądzę.

(...) Czy brała pani udział w „wielkim odwszeniu” latem 1943 r.? Wszystkie kobiety w obozie stały nago 24 godziny przed barakami, bez prawa wejścia do bloków.

– Pierwsza akcja odwszenia odbyła się na początku grudnia 1942 r. Wtedy uchronił mnie od niej lekarz, jeden z komanda lekarzy pracujących w szpitalu w obozie kobiecym. Byłam w tym czasie chora. Dr Mąkowski zdecydował, że mam zostać na bloku. Uratował mnie, bo byłam zbyt słaba, by to przeżyć. A w drugiej akcji odwszenia,

Na podstawie powieści Zofii Posmysz powstał film Andrzej Munka „Pasażerka” i opera pod tym samym tytułem.

w czerwcu 1943 r., nie wzięłam udziału, ponieważ odbyła się tylko w obozie B1a. Nasz obóz B1b ominęła.

W opracowaniach wielkie akcje odwszenia bloków funkcjonują jako kolejne przykłady gwałtu na cielesności więźniarek. To wielogodzinne stanie nago w wielotyśńczym tłumie, to przeganianie więźniarek z jednego kąta obozu w drugi, ku uciesze esesmanów...

– Wie pan, tych gwałtów było tak wiele, że ta konkretnie akcja w mojej świadomości nie jest jakoś szczególnie dotkliwa. Ale łatwo mi mówić, mnie to nie spotkało.

Przepraszam, że tak zadam to pytanie. Ale podejrzewam, że obóz kobiecy mógł być traktowany przez esesmanów również jako ferma o charakterze seksualnym. (...) Do Auschwitz w maju 1943 r. przybyła specjalna komisja śledcza, której zadaniem było wytropienie nadużyć popełnionych przez esesmanów. Georg Konrad Morgen, SS-Sturm-bannführer, śledczy w Głównym Urzędzie Sądownictwa SS w Monachium, po wojnie przed sądem we Frankfurcie zeznał, że w Birkenau „doznał prawdziwego szoku”. W wartowni zastał esesmanów rozwalonych na kanapach, których obsługiwało pięć, sześć Żydówek

o orientalnej urodzie, wszyscy mówili sobie po imieniu. „Podczas przeprowadzonej kontroli szafek na ubrania okazało się, iż w niektórych przechowywane były całe majątki w złocie, perłach, pierścionkach i dewizach w najróżniejszych walutach. W jednej lub dwóch szafkach znajdowały się narządy płciowe świeżo zaszlachtowanych byków, które miały służyć do podniesienia potencji seksualnej właścicieli. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem”. Zapytałem wprost, czy czuła się pani obiektem seksualnego pożądania?

– Nie. Proszę pana, przecież istniał w kodeksie paragraf *Rassenschande*, hańba rasy. To nas chroniło. (...)

Czy w takim razie to, że esesmani nie widzieli w was ludzi, powodowało, że zanikło u was, więźniarek, poczucie wstydu?

przyszedł. Stał w drzwiach sauny. Wezwał mnie: *Komm hier!* Tak mnie wyrwał, dosłownie spod prysznica. To był Hössler (z zawodu fotograf, w obozie kobiecym pełnił funkcję Kommandoführera, a także Rapportführera – przyp. red.). Musiałam do niego podejść całkowicie naga.

Ile masz lat? – zapytał.

20. Pomyślał, pomyślał, taksował mnie wzrokiem.

Skąd jesteś? Z Krakowa.

Uśmiechnął się. I wtedy usłyszałam komplement. *Sag mal!* Powiedz no. Czy tam wszystkie są takie ładne jak ty, czy jesteś jedyna? Jak było mi strasznie wstyd!

Raz, że moja grupa z kuchni patrzyła na to, dwa, że stałam przecież na baczność, regulaminowo.

Krystyna Żywulska wspomina wręcz, że pijani esesmani przycho-

który pełnił od 1943 r. w obozie B2d w Birkenau funkcję Blockführera i Rapportführera. Zdaniem Laksa ten łagodny esesman często zachodził do Musikstuby, by posłuchać muzyki i oderwać się od obozowej rzeczywistości. Co ciekawe, rozmawiał

Nagie więźniarki są jak kurczaki na fermie. To taka nieopierzona masa.

z więźniami muzykami jak z ludźmi. Pewnego razu, a było to jeszcze przed lądowaniem aliantów w Normandii, ktoś zadał Wolfowi pytanie, czy Niemcy wygrają tę wojnę. Odpowiedział, że nie. Wtedy padła sugestia, że w takim razie świat będzie się musiał dowiedzieć, co Niemcy wyprawiali w takich miejscach jak Auschwitz. Wówczas Wolf pozwolił sobie na chwilę szczerości. Powiedział, że nikt nie będzie zmuszał pokonanych do rachunku sumienia, bo przecież nikt po wojnie nie dowie się, co się działo w obozach. Zacytuje: „Zasadniczo, to jest według instrukcji samego Führera, ani jeden *Häftling* nie powinien wyjść żywy z żadnego obozu koncentracyjnego. Inaczej mówiąc, nie będzie nikogo, kto by mógł opowiedzieć światu, co się tu działo w ciągu tych kilku lat. (...) Rozumiem, wam wszystkim wydaje się to potworne, niepojęte, barbarzyńskie – ale to dlatego, że należycie do innej rasy. Nawet jeżeli wojnę przegramy – co nie jest jeszcze pewne – nikt nam nie przedłoży rachunku. (...) Niemcy wyjdą z tego obronną ręką i żyć będą wiecznie”.

– Mam to skomentować?

Mogłaby pani?

– Tak naprawdę to wiele lat czekałam na wezwanie do sądu. W jednej konkretnej sprawie. W sprawie jednej konkretnej esesmanki.

Skróty i ilustracje pochodzą od redakcji



Fragmenty książki Zofii Posmysz i Michała Wójcika *Królestwo za mgłą*, Znak Literanova, Kraków 2017



– Wstyd? Najpierw jest wstyd z powodu wyglądu. I tzw. zmużłamanienia. Nie zawsze udawało się wykruszyć zaschnięty kał z pasiaką.

Dopiero gdy zaczęłam pracować w kuchni, przyczyna wstydu nieco się zmieniła. Wtedy przysługiwała mi już sauna, ciepła kąpiel, raz w tygodniu. Pamiętam, że któregoś razu w saunie pojawił się esesman. Ci rzeczywiście często przychodzili sobie popatrzeć. Ale nie chodzili oglądać tych wycieńczonych kobiet, tych szkieletów w pasiakach, tylko te lepiej wyglądające, z komand o lepszym statusie, dostające lepsze jedzenie. Takie kobiety były dla nich mniej odrażające. I pamiętam,

dzili do jej bloku i wprost proponowali więźniarkom seks. Co ciekawe, udało im się zdusić w sobie obrzydzenie z powodów rasowych: „Wy jesteście przecież Aryjki [...]. Płynie w nas ta sama krew, krew ludzi szlachetnych, umiających kochać, *nicht wahr?* Co innego te *verfluchte Jüdinnen*, tam po drugiej stronie”.

– Owszem, to się powtarzało. Przychodzili do naszej łaźni też inni esesmani, niżej stojący w hierarchii, niby kontrolując. Chodziło o to, by popatrzeć sobie chwilę. Na szczęście – tylko. (...) „W Grach oświęcimskich” Laks przytacza rozmowę z SS-Unterscharführerem Joachimem Wolfem,

I REALISTA, I MARZYCIEL

Decyzja Stanisława Mikołajczyka o powrocie do kraju była słuszna

Paweł Dybicz

Choć powstają liczne prace badawcze traktujące o pierwszych latach powojennych w Polsce, trudno powiedzieć, że opisanie ówczesnego ruchu ludowego i jego wpływu na wydarzenia, a także postawy i działalności jego lidera Stanisława Mikołajczyka znacznie przybliży do całościowego poznania dziejów PSL. Dlatego za cenne trzeba uznać zorganizowanie przez Instytut Polityczny im. Macieja Rataja seminarium „Miejsce PSL w walce o wolność i demokrację w latach 1945-1947: sfałszowane referendum 1946, sfałszowane wybory 1947”.

Otwierając seminarium, prezes Instytutu, europoseł Czesław Siekierski, powiedział, że „poznawanie przeszłości Polskiego Stronnictwa Ludowego, swojego Stronnictwa, pozwala lepiej zrozumieć teraźniejszość. Nie da się mówić o Polsce drugiej połowy lat 40., nie doceniając postawy i dorobku Polskiego Stronnictwa Ludowego i jego prezesa Stanisława Mikołajczyka. Nie bez powodu wyrażane są opinie, że lata 1945-1947 to pierwszy okres walki o niezależność i samodzielność, a PSL było pierwszą formułą Solidarności. Dlatego naszym obowiązkiem jest czerpać z myśli i doświadczenia ówczesnego PSL i głosić, i reprezentować jego wartości”.

Polskie Stronnictwo Ludowe, jak się uważa, jako pierwsze stosowało pokojowe metody w walce politycznej w Polsce pojałtańskiej. W niespełna trzyletnim okresie 1945-1947 wielu polityków z kręgu ludowców zapłaciło życiem albo zostało uwięzionych i nigdy na wolność nie wyszło. Lata 1945-1947 w Europie Środkowej przyniosły śmierć ruchowi ludowemu, zadaną mu przez reżim stalinowski i jego akolitów. A rok 1947 stanowił koniec pewnej epoki, epoki złudzeń, że Moskwa wycofa się i pozwoli takim krajom jak Polska, Węgry czy Bułgaria na samostanowienie.

„PSL i jego dzieje w tamtym czasie, mimo że upłynęło wiele lat, ciągle wracają – mówił prof. Romuald Turkowski, kierownik Zakładu Historii XX w. Uni-



Nz. od lewej: gospodarz seminarium dr Czesław Siekierski oraz prelegenci: prof. Romuald Turkowski, dr Piotr Swacha i prof. Andrzej Paczkowski.

wersytetu Warszawskiego. – Problem wyboru drogi, jaką w 1945 r. obrało PSL, nadal zajmuje wielu historyków. Toczą się po dziś dzień spory na temat tego, czy Stanisław Mikołajczyk i cała grupa działaczy wokół niego skupionych lub z nim współpracujących, np. Karol Popiel ze Stronnictwa Pracy, czy socjalistów, jak Grosfeld czy Stańczyk, którzy zdecydowali się na powrót, postąpili rozsądnie. Te spory nie pojawiły się ostatnio, trwały one od początku. Ci, którzy zaakceptowali porządek jałtański i wrócili do kraju, zostali przez polski Londyn potraktowani brutalnie. W tamtejszej prasie w stosunku do Mikołajczyka używano często dość pejoratywnego określenia kawaler jałtański. Warto przypomnieć, że w kręgu emigracji londyńskiej zorganizowano referendum, w którym ponad 90% osób wypowiedziało się przeciwko linii politycznej, którą wybrał Stanisław Mikołajczyk”.

Odrzucona perspektywa

Decyzję podjętą przez Mikołajczyka należy uznać za właściwą. Słusznie rozumował on, że z chwilą gdy Armia Czerwona wyzwoliła Polskę spod niemieckiej okupacji, narzucając nowy porządek, i zatrzymała się na Łabie, trzeba spróbować ułożyć sobie dobre

stosunki z ZSRR. O tych, którzy wiosną 1945 r. z góry negowali porozumienie z Sowietami, mówił, że przegrali wszystko, z niczego nie rezygnując. Co więcej, swoją polityką odseparowali się od ruchu ludowego w Wielkiej Brytanii czy USA, a rząd w Londynie z powodu braku porozumienia z aliantami nie był w stanie pomóc ani krajowi, ani rodzinom, którzy znaleźli się na emigracji.

Mikołajczyk odrzucił perspektywę wiecznej emigracji lub oczekiwania na cud. Publicznie stwierdzał, że miejscem dla Polaków są ziemie między Odrą a Bugiem oraz Bałtykiem i Karpatami i że zniszczony kraj trzeba odbudowywać. Wielu odradzało mu wchodzenie w układy ze Stalinem. Robił to m.in. gen. Władysław Anders w lutym 1945 r., mówiąc, że Mikołajczyk kieruje się złudzeniami, bo nie zna duszy rosyjskiej, języka rosyjskiego, stalinowskiej Rosji. Ten odpowiedział, że poparcie przywódców państw Zachodu, poparcie społeczeństwa, które oczekuje na jego powrót, pozwoli mu jednak tę niedobłą dla Polski kartę odwrócić. I z takim przekonaniem wracał.

Powrót Mikołajczyka do kraju, objęcie przez niego funkcji wicepremiera i ministra rolnictwa w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej miały oczywiście wpływ na sytuację ruchu ludowego w Polsce.

Działające w czasie wojny i tuż po niej konspiracyjne władze Stronnictwa Ludowego „Roch” 8 lipca 1945 r. ujawniły się i powołały tymczasowy Naczelny Komitet Wykonawczy Stronnictwa Ludowego. Prezesem został Wincenty Witos, a wiceprezesami Mikołajczyk, Władysław Kiernik i Józef Niećko. Choroba i rychła śmierć Witosza (31 października 1945 r.) wpłynęły na to, że faktycznym przywódcą był Mikołajczyk. Jego zaangażowanie w pracę partii zaowocowało tym, że już 22 sierpnia „Mikołajczykowski” Stronnictwo Ludowe (istniało też drugie, blisko związane z PPR) przyjęło nazwę Polskie Stronnictwo Ludowe.

Ówczesne PSL generalnie podpiśnięto się pod zmianami społecznogospodarczymi, jakie zachodziły w Polsce. Miało jednak nieraz odmienne stanowisko w pewnych sprawach, np. postulowanej jeszcze w czasach przedwojennych reformy rolnej. Program, którym kierowało się PSL, opierał się na ideologii agraryzmu, uznającej chłopów za głównego gospodarza w państwie. Stronnictwo nie negowało reformy rolnej, krytykowało jednak sposób jej realizowania przez PPR, uznawało bowiem, że w wyniku parcelacji wielkich majątków ziemskich powinny powstać chłopskie gospodarstwa rodzinne o powierzchni 5-20 ha.

Ogólnonarodowe ugrupowanie

Choć jego program był nakierowany na chłopstwo, PSL stawiało się ugrupowaniem ogólnonarodowym. Obrana droga postępowania, linia polityczna wpływała na jego liczebność. Szybko rosły szeregi PSL. Już na przełomie lat 1945 i 1946 liczyło ono prawie 600 tys. członków, by

w 1946 r. osiągnąć 800 tys. Dla porównania warto podać, że PPR liczyła w tym czasie 300 tys., a PPS 500 tys. członków. Swoje szeregi powiększał również Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, który w listopadzie miał już 500 tys. członków.

W trakcie rozmów w Moskwie (17-21 czerwca 1945 r.) na temat tworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej ustalono, że działacze Stronnictwa Ludowego obsadzą jedną trzecią stanowisk w aparacie władzy – tj. w urzędach państwowych, w tym prezesurę Najwyższej Izby Kontroli – w służbie dyplomatycznej i konsularnej, w instytucjach samorządowych, gospodarczych i finansowych. Wraz z powrotem Mikołajczyka do kraju oczekiwano, że realizowane będą ustalenia z Moskwy dotyczące wyjścia z Polski wojsk radzieckich i NKWD, odejścia z sił zbrojnych i aparatu bezpieczeństwa radzieckich doradców, tzw. popów – pełniących obowiązki Polaka, a także zwolnienia więźniów politycznych deportowanych przez ZSRR.

Powojenna rzeczywistość pokazała, że te ustalenia w zasadzie nie zostały zrealizowane, bo z woli Stalina być nie mogły. Działacze PSL zaistnieli jednak w aparacie samorządowym i spółdzielczych organizacjach społecznych, szczególnie tych, które tworzyły się wokół ruchu ludowego.

Kierownictwo PSL zdawało sobie sprawę, jak ważna w dotarciu do społeczeństwa, nie tylko do członków ugrupowania, jest własna prasa i propaganda, tym bardziej że miało znikomy dostęp do nabierającego znaczenia radia. Polskie Radio było tubą propagandową PPR i PPS, pojawiały się w nim ataki na PSL, a działaczom partii nie dawano możliwości przedstawienia swojego stanowiska.

By mieć większy wpływ na społeczeństwo, w PSL utworzono Wydział Prasy i Propagandy, na którego czele stanął Kazimierz Banach, a od kwietnia 1946 r. Kazimierz Bagiński. Rozwijano prasę, którą traktowano jako główny środek przekazu. „Gazeta Ludowa”, jedyny dziennik ludowy w tym okresie, w 1946 r. miała nakład maksymalnie 125 tys. egzemplarzy. „Była ona – jak mówił na sympozjum dr Piotr Swacha, adiunkt w Katedrze Socjologii Wydziału Nauk Społecznych SGGW – poddana szczególnym represjom ze strony cenzury. Ponieważ po jej ingerencjach nie mogło być żadnego śladu na łamach, redakcja w trybie nagłym, najczęściej w nocy, musiała wypełnić lukę po usuniętym tekście. Jedynie biuletyn wewnętrzny PSL nie podlegał cenzurze, ale miał on mały nakład”.

Falszerstwa i represje

Ogłoszone w lipcu 1946 r. referendum miało na celu odłożenie wyborów parlamentarnych. Wbrew lansowanemu przez władze hasłu „3 razy TAK” PSL nawoływało, aby głosować przeciwko likwidacji Senatu.

Po sfałszowaniu wyników tego referendum nasiliły się działania funkcjonariuszy resortów siłowych, zarówno w stosunku do całego PSL, jak i poszczególnych aktywistów. Na aresztowania, represje i szikany szczególnie narażeni byli ci, którzy kierowali prasą i propagandą. Wobec tych działań bezpieki – stwierdził dr Swacha – od września w PSL wprowadzono pięciostopniową strukturę aparatu wyborczego i zdecydowano o jej utajnieniu.

Przed wyborami parlamentarnymi (19 stycznia 1947 r.) aresztowani zostali Stanisław Mierzwa – sekretarz Naczelnego Komitetu Wykonawczego, Zygmunt Augustyński – redaktor naczelny „Gazety Ludowej” (pod pretekstem niejasnego odcięcia się od wypowiedzi amerykańskiego sekretarza stanu Jamesa Byrnesa, kwestionującego polską granicę zachodnią), Karol Buczek – redaktor naczelny „Piasta” czy Stefan Ingłot – redaktor naczelny „Wsi i Państwa”.

Aresztowania ludzi pionu prasy i propagandy jesienią 1946 r. wyraźnie wskazywały, że PPR, mająca najwięcej do powiedzenia w Bloku Demokratycznym, w skład którego wchodziły również PPS, Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Pracy, przystąpiła do marginalizacji i w konsekwencji likwi-

Instytut Polityczny im. Macieja Rataja

Think tank Polskiego Stronnictwa Ludowego, powstały z inicjatywy delegatów na XI Kongres Stronnictwa. Instytut organizowany i kierowany przez posła do Parlamentu Europejskiego dr. Czesława Siekierskiego jest ciałem doradczym i analitycznym PSL, prowadzącym działalność seminaryjną, konferencyjną i badawczą w sferze polityki publicznych, gospodarki i kultury.

Patronem Instytutu Politycznego jest Maciej Rataj, polski mąż stanu, jeden ze współtwórców Ruchu Ludowego, marszałek Sejmu RP w latach 1922-1928, pełniący funkcję głowy państwa w roku 1922 i 1926, pierwszy i wieloletni (w latach 1931-1939) redaktor naczelny „Zielonego Sztandaru”. Postać ta, jej państwowotwórczy i demokratyczny dorobek, a także wola współpracy na rzecz dobra wspólnego, odwaga w walce z hitlerowskim okupantem, umiarkowanie oraz szczerzy patriotyzm mają być inspiracją dla działalności *think tanku* i wyznaczać wartości istotne dla jego pracy.

► dacji PSL. Posłużyć temu miały wybory 1947 r.

„W nich Blok Demokratyczny – mówił prof. Turkowski – poszedł na całego, uruchomiono prawie 250-tyśięczny aparat wojska, milicji, ORMO i oczywiście Urzędu Bezpieczeństwa, całą machinę propagandową, włącznie z zakazem zebrań, unieważnieniem list, aresztowaniem kandydatów na posłów, członków PSL. Badając dokumenty z wyborów 1947 r. z 80 obwodowych komisji, gdzie te wyniki nie były sfalszowane, z rachunków wyszło mi, że PSL poparło 63% wyborców, a Blok Demokratyczny 31%. Oficjalne wyniki były

świadczona, sposób funkcjonowania, prowadzone rozmowy miały ogromny wpływ na to, co robił i jak działał w czasie wojny i po niej. Znał dosyć dobrze mechanizmy polityczne. Jego wejście do wąskiej elity rządzącej na obczyźnie było czymś naturalnym”.

Będąc wicepremierem w rządzie gen. Sikorskiego, Mikołajczyk często wchodził w spory z szefem gabinetu. Miał odmienne zdanie, ale współpracował. Był zwolennikiem kompromisu, co wynikało z jego temperamentu i doświadczenia politycznego. Uważał, że po zwycięstwie Armii Czerwonej pod Stalingradem, a zwłaszcza kiedy zbliża-

Ale nie to wpływa na ocenę Stanisława Mikołajczyka i jego decyzji o powrocie do Polski. Czy decydując się na ten krok, dawał dowód realizmu? Jeżeli przed powrotem do kraju w rozmowach z anglosaskimi politykami, m.in. z Averellem Harrimanem, ambasadorem USA w ZSRR, mówił: „To, czego chcę, to ocalenie pewnej porcji wolności, tak aby naród polski mógł przetrwać najgorszy okres, który mamy przed sobą”, musiał wiedzieć, jakiej misji się podejmuje. Mikołajczyk stawiał sobie minimalistyczny, ale jakże wielki program – chodzi o to, by naród mógł przeżyć, ponosząc jak najmniejsze straty.

Kiedy nawet ten minimalistyczny plan się załamał, kiedy okazało się, że w Bułgarii, na Węgrzech czy w Rumunii doszło do rozprawy z przywódcami ruchu ludowego, Mikołajczyk uznał, że nie ma co czekać. Skorzystał z obietnicy, jaką dał mu Winston Churchill, że w ekstremalnej sytuacji zostanie ewakuowany przez Amerykanów i Anglików.

Wiedząc, że jest niemiłe widziany wśród londyńskiej emigracji, wyjechał do USA. Działał tam aktywnie, napisał wspomnienia. „Ciekawostką jest to – mówił prof. Paczkowski – że w 1956 r. sondował w Moskwie, poprzez francuskich gaulistów, możliwość swojego powrotu. Chruszczow to wykluczył, ale w pamiętnych rozmowach w Belwederze 19 października 1956 r. straszył między wierszami Gomułkę, że może go sprowadzić”.

Historia zmagania powojennego PSL jest współcześnie marginalizowana i wypierana przez kult „żołnierzy wyklętych”, czyli partyzanckiej walki z Armią Czerwoną i nową władzą, walki, która z uwagi na położenie geopolityczne nie mogła być wygrana. W czasie gdy Stanisław Mikołajczyk podejmował decyzję o powrocie do kraju, bardziej realne było uzyskanie przez Polskę jakiegoś rodzaju autonomii względem ZSRR, o czym wspominał w swoim wystąpieniu prof. Turkowski, niż wybuch konfliktu między ZSRR a państwami Zachodu, w czym szansę na zachowanie niepodległości widziało zbrojne podziemie.

Paweł Dybicz



Organizatorem seminarium był Instytut Polityczny im. Macieja Rataja.

inne: na Blok miało głosować ponad 80% wyborców, a na PSL ponad 10%”.

Jawne oszustwo wyborcze było ostatnim sygnałem, że droga, jaką wybrał Stanisław Mikołajczyk, staje się niebezpieczna i dla Stronnictwa, i dla niego samego. I właśnie jego postaci poświęcił wystąpienie na seminarium prof. Andrzej Paczkowski, członek Rady Naukowej Instytutu Nauk Politycznych PAN. „Stanisław Mikołajczyk kojarzy się z funkcją premiera rządu emigracyjnego i wicepremiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, ale trzeba pamiętać, że był on działaczem społecznym i politycznym od wczesnej młodości. Samoukiem, uczestnikiem powstania wielkopolskiego i wojny 1920 r. Został wybrany do Sejmu 1930 r. z listy Centrolewu PSL Piasta, był współzałożycielem Towarzystwa Organizacji Kółek Rolniczych. Nie był działaczem z pierwszych stron gazet, ale nie był też anonimowy. Spotykał się ze wszystkimi reprezentantami legalnych sił politycznych, a nigdy z przedstawicielami sanacji. Te do-

ła się ona do granic Rzeczypospolitej, Polska znalazła się w sytuacji, w której przestała mieć możliwość samodzielnego decydowania o swoim losie. Co oznaczało, że musi się porozumieć z Moskwą.

Popierany i nienawidzony

Lata 1945-1947 były w życiu Mikołajczyka bardzo trudnym okresem. „Miał setki, tysiące, a może nawet miliony ludzi, którzy go popierali – tłumaczył prof. Paczkowski – i jednocześnie dziesiątki tysięcy zapiekłych przeciwników (w kraju i wśród emigracji), którzy traktowali go jak wroga. Musiał się w tym jakoś znaleźć. W czasie pełnienia funkcji wicepremiera i ministra rolnictwa w TRJN popełniał gafy. To on w 1946 r. wniósł pod obrady pomysł i głosował za odebraniem obywatelstwa gen. Andersowi oraz 70 wyższym oficerom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Decyzję tę podjęto w oparciu o dekret naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego z 1920 r.”.

Sfinansowano ze środków Grupy EPL w Parlamencie Europejskim



Ściema z domieszką lengwidżu

Edward Mikołajczyk

Jackowi Kurskiemu brakuje pieniędzy. To nie jest sytuacja komfortowa dla mężczyzny, a mimo to wielu mężów stanu zazdrości mu wszystkich wyrzeczeń, dzięki którym zdobywa tak pożądaną w partii pozycję prostego człowieka z ludu, któremu permanentnie brakuje.

Prezes TVP poskarżył się na los kilka dni po tym, jak jeden z jego poprzedników, dr Juliusz Braun, ujawnił publicznie, że jego następca dostaje 250% Braunowej pensji. Oczywiście żał mi prezesa Brauna, ale bardziej przejmująca jest bieżąca sytuacja spółki. Jej dzisiejszy dramatyzm aktualny prezes telewizji publicznej odmalowuje i apgreduje do Full HD w rozmowie z portalem Wirtualna Polska.

Otóż, jeżeli w najbliższych tygodniach nie będzie nowych pieniędzy, to – cytuję – ALBO BĘDZIEMY MIELI TELEWIZJĘ PUBLICZNĄ Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA, ALBO NIE BĘDZIEMY MIELI. To bolesne i dramatyczne rozdarcie Kurskiego spycha niegdysiejszy dylemat Hamleta w głęboką otchłań. W sprawie „Być albo nie być” Jacek Kurski ma jasność i pewność, że będzie. Robi raban w sprawie „Mieć albo nie mieć”, bo za dużo wydał na tę betoniarnię partyjną, w którą zamienił telewizję.

Kiedy mówi, że TVP wykonała ogromną pracę, jeśli chodzi o *treatment* i *development* (prace literackie potrzebne do zamówienia produkcji filmowej po ewentualnym przyjęciu scenariusza), to ściemnia w lengwidżu. Brzmi to zagadkowo, ale kosztuje grosze w porównaniu z tym, co udało się prezesowi przehulać w Zakopanem w sylwestra albo wydać na mecze piłki nożnej transmitowane także w otwartych kanałach konkurencyjnych stacji, które wcześniej zakupiły prawa.

Na liście tytułów inwestycyjnych, które czekają w TVP na nowe środki, jest m.in. własny system telemetryczny, który (to trzeba koniecznie zacytować) BĘDZIE POKAZYWAŁ PRAWDZIWE DANE OGLĄDALNOŚCIOWE, CO PRZEŁOŻY SIĘ NA WYŻSZE WPŁYWY REKLAMOWE, KTÓRE DZISIAJ SĄ NIEPOTRZEBNIE ZANIŻONE. Nie chce się wierzyć, ale trzeba zapamiętać słowa prezesa telewizji publicznej w Polsce Jacka Kurskiego, wypowiedziane w styczniu 2017 r., kiedy ten człowiek odpowiadał tylko przed Bogiem i Historią.

Kurski udaje się po pieniądze do suwerena. To dla polskiej opinii publicznej pierwsza tak klarowna sytuacja, która pozwoli się zorientować, kim jest ten suweren i gdzie go szukać – jeszcze w gruzach starego trójkopca władzy czy na

mieście. Prezes TVP żałuje, że jego telewizja nie ma inicjatywy ustawodawczej. To dziwne, że taki menago nie załatwił sobie tego na pstryk do tej pory. Natomiast mamy – mówi Kurski – „świetnych ekspertów, którzy poproszeni przez suwerena służyli radą i z tego, co wiem, jest już wiarygodny projekt uszczelnienia poboru abonamentu. Mam nadzieję, że wejdzie w życie jak najszybciej”.

„Ma pan obietnicę, że tak się stanie?”, pyta redaktor WP. „Mam sygnały, że suweren dojrzał do tej decyzji!”, odpowiada Kurski.

Jakoś tak wypadło, że dwa dni później odezwały się nożycy. W studiu radiowym we Wrocławiu Jarosław Kaczyń-



Były prezes TVP ujawnił publicznie, że jego następca Jacek Kurski dostaje 250% jego pensji.

ski powiedział, że jest gotowy projekt uszczelnienia płatności abonamentowych. Bóg raczy wiedzieć, czy taki dokument potrzebuje jeszcze czyjegós kłepnięcia, czy alleluja i do przodu.

Nie ma przecieków, co jest w projekcie; czy przeszedł wariant „co taska” na tacę, czy pojawiają się nieprzezroczyste skarbonki, żeby ludzie mogli bez skrupowania wrzucać także biżuterię?! Czy potrzebne będzie logistyczne wsparcie obrony terytorialnej w lokalizowaniu anten?

Prof. Maciej Mrozowski zauważył, że mogą być kłopoty z uszczelnianiem, bo suweren może nie wpuścić do domu obcego, który przyjdzie liczyć radia i telewizory. Chyba że poczta wpadnie na pomysł, żeby wdrożyć sprawdzoną metodę na wnuczka. Albo urząd skarbowy wymyśli dodatkową rubrykę PIT.

To może jednak trochę potrwać, a prezes mówi, że już dziś jest pod ścianą. W tak nagłej potrzebie, w sprawie uszczelnienia powinien czym prędzej wezwać hydraulika, a po prośbie osobiście udać się do Owsiaaka. ■

Rozmawia Tomasz Borejza

Z architektury można odczytać charakter systemu, w którym powstawała. Zgoda?

– Zgoda.

Także jego system wartości i wizję człowieka?

– System wartości, system ekonomiczno-polityczny, filozofię, która konstruuje naszą wyobraźnię w danym momencie. Możemy to odczytać w historii architektury. Ze wszystkich dziedzin sztuki, o ile jest ona dziedziną sztuki, bo tutaj toczy się spór, to ona pochłania największe środki i ma wpływ na życie największej liczby ludzi. Ma totalny wymiar. Dzięki temu wiele mówi o epoce, w której budynek powstał.

Czytajmy zatem: co peerelowskie osiedle mówi o systemie, w którym było stawiane?

– Że powstawało w okresie, kiedy funkcjonował system gospodarczy wytwarzający spore nadwyżki. A te były przeznaczane na zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych, które należały do największych problemów miast europejskich w zasadzie od zawsze. Wiek XX był wyjątkowy, bo po raz pierwszy udało się oderwać mieszkalnictwo od kwestii zysku. Na poziomie teorii zrobiono to w 20-leciu międzywojennym. Na poziomie praktyki już w okresie powojennym.

Nie tylko w Polsce?

– Peerelowskie osiedla, chociaż realizowane w warunkach państwa autorytarnego, wpisywały się w szerszy trend i nie odbiegały szczególnie od podobnych projektów np. we Francji i Wielkiej Brytanii. Reprezentowały społeczeństwo masowo przeprowadzające się do miast, by pracować w przemyśle, i trafiające do nowego środowiska mieszkaniowego. Budowano bardzo szybko, przy użyciu nowych rozwiązań technologicznych – żelbetu i prefabrykacji. Tak powstało środowisko mieszkaniowe determinujące ważną część krajobrazu kulturowego globalnej Północy, bo nie chodzi tylko o Europę. Także o Stany Zjednoczone i Japonię.

ESTETYKA PODĄŻAJĄCA ZA FUNKCJĄ

Zysk ustąpił przed gospodarką planową?

DUCH OSIEDLI

Co architektura osiedli mieszkaniowych mówi o PRL i III RP



DR MICHAŁ WIŚNIEWSKI

– historyk architektury, pracownik Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i Międzynarodowego Centrum Kultury. Członek zarządu fundacji Instytut Architektury. Zajmuje się badaniami nad architekturą i rozwojem miast w XIX i XX w., architekturą i sztuką nowoczesną oraz ochroną zabytków. Autor książek i artykułów, kurator wystaw.

było stawianie budynków dla kilkuset osób, a nawet wielotysięcznych. Estetyka schodziła na dalszy plan, co było pochodną filozofii, którą rządził się modernizm. Filozofii mówiącej, że estetyka ma podążać za funkcją, a tą jest zapewnienie jak największej liczbie osób wygodnego miejsca do życia. To przełożyło się na sięganie po określoną technologię, materiały, określiło kształt.

A jak ten system, nadal czytając z budynków, definiował potrzeby człowieka?

– Pierwszą kwestią z punktu widzenia osób konstruujących nowoczesne miasto była komunikacja. Umożliwienie tym masom dotarcia do miejsca pracy, do fabryki. Istotne było stworzenie czytelnej i działającego systemu transportu – na poziomie miasta, ale też osiedla. Układ

– To budownictwo wiele mówi o pewnych oczekiwaniach i problemach, które starano się rozwiązywać na poziomie socjologii i medycyny. Na początku XX w., kiedy formowała się jego idea, wielkim problemem była np. gruźlica i chciano wykorzystać budownictwo do ograniczenia jej zasięgu. Ze względu na podobne oczekiwania, które wyrażano szcze-

Po wojnie udało się oderwać mieszkalnictwo od kwestii zysku.

gólnie na początku XX w., starano się umożliwiać kontakt człowieka z zielenią, pozwalać oddychać świeżym powietrzem. Efektem było odejście od układu miasta budowanego na planie kwartałów. Skupiono się na modelu budownictwa spółdzielczego i komunalnego, którego celem





W urbanistyce PRL zapewniono dostęp do światła, powietrza, dbano o parki, tereny zielone.

wano w Polsce najlepsze mieszkania, były czasy stalinowskie.

Ile w normatywach było ideologii, a ile ekonomii?

– To było w pewnym stopniu odezwane od ekonomii. W Polsce po wojnie doszło do bardzo dużego skoku technologicznego. Kiedy patrzymy np. na architekturę przedwojennego Krakowa, to mówimy o modernizmie, ale na poziomie technologii mamy budownictwo dość prymitywne. Dostęp do stali był trudny. Do żelbetu też. Nie było dość cementu. Jak zresztą nawet wtedy, gdy budowano najstarszą część Nowej Huty lub rozbudowywano Warszawę. Wciąż stosowano tradycyjne technologie. Dopiero kiedy w połowie lat 50. skokowo wzrosły w Polsce produkowane ilości stali i cementu, można było przemysleć na nowo normatywy. Wtedy następuje przeskok do budownictwa z prefabrykatów, które były pewnym fetyszem modernizmu. Z jednej strony myślano, jak to powinno wyglądać, żeby dobrze się tam żyło, z drugiej rząd z różnych powodów obcinał i ograniczał możliwości realizacji pomysłów.

Czyli paradoksalnie w parze z dostępem do nowej technologii przysłyły mniejsze mieszkania.

– Tak, ale ja podchodzę do tego zjawiska ambiwalentnie. Łatwo krytykować, lecz pamiętajmy, że to budownictwo mogło być dużo gorsze. Nigdy nie rozprzestrzeniły się np. powszechne na Zachodzie bloki z galeriami. Myślę, że zbyt łatwo potępiamy warunki życia, które wtedy stworzono. Wiele mówi i to, że mieszkania, które dzisiaj sprzedają się najlepiej, są podobne lub nawet nieco mniejsze od tych z okresu PRL.

Jaka była największa wartość tego budownictwa?

– Powstawały zespoły urbanistyczne łączące architekturę mieszkaniową z usługami w dość spójny i przemysłowy sposób. To na pewno największa wartość. Miasto było stosunkowo dobrze skomunikowane. Dbano o rozwój komunikacji zbiorowej. Przynajmniej w teorii. Realizowano podstawowe założenia Karty ateńskiej, opracowanej jeszcze w latach 30. XX w. W urbanistyce odsunięto funkcję mieszkaniową od produkcyjnej. Za-

komunikacyjny projektowano tak, by ułatwić kontakt ze szkołą, ze sferą usług. Ważne było realizowanie wszystkich potrzeb życiowych osoby mieszkającej na takim osiedlu. Dlatego zawsze projektowano je jako rozwiązania kompleksowe. Mówię oczywiście o rozwiązaniu idealnym. **Rzuca się w oczy, że są one całościowe, przemyślane.**

– W tym systemie widać było też to, że miał ogromną kontrolę prawną nad przestrzenią. Miasto XIX-wieczne i dzisiejsze to miasto przestrzeni prywatnych, gdzie inwestor sam realizuje niewielką nieruchomości. W okresie powojennym była możliwość tworzenia osiedli dla 30-40 tys. osób. U nas dzięki przejmowaniu gruntów, a na Zachodzie radzono sobie, wypłacając odszkodowania.

Przy wielkich projektach osiedli mieszkaniowych za PRL pojawiają się normatywy. Bardzo korzystne, jeśli chodzi o to, co wspólne – przedszkola, szkoły, parki, place zabaw. I niezbyt korzystne w przypadku tego, co indywidualne – np. powierzchni mieszkań.

– To zawsze kwestia skali i rzeczywistości, na którą odpowiadano. Kiedy przyjrzymy się kamienicom budowanym w Krakowie na początku XX w., zobaczymy, że są tam przeszło 100-metrowe mieszkania. A jednocześnie są zupełnie inne pomieszczenia dla służby. I oddzielne

wejścia dla niej. Całe budynki odbijały system klasowy. Po wojnie budowano egalitarne społeczeństwo i to widać w budownictwie. Starano się też wyciągać wnioski z przedwojennych dyskusji. Bardzo ważnym wydarzeniem była wtedy np. wystawa „Die Wohnung für das Existenzminimum” („Mieszkanie za minimum egzystencji”), która odbyła się w 1929 r. we Frankfurcie nad Menem. Szukano tam odpowiedzi na pytanie, jaka jest najmniejsza powierzchnia mieszkania pozwalająca godnie żyć. Wymyślano różne triki, nowe meble, by ją lepiej wykorzystać.

Peerelowskie osiedla nie odbiegały od podobnych projektów we Francji i Wielkiej Brytanii.

Ile metrów wyliczono?

– Dyskutowano nawet o powierzchni ok. 30 m kw. dla jednej rodziny. Tak było w 20-leciu międzywojennym. Po II wojnie światowej uznano w Polsce, że to ok. 50-60 m kw. Istniały różnice między miastami. Normatyw się zmienił. Sztywny i niespecjalnie korzystny pojawił się na początku lat 60. Paradoksalnie okresem, gdy budo-

► pewniono dostęp do światła i powietrza oraz fundamentalny element – to, że każdy ma prawo do wypoczynku, dbano bowiem o parki, tereny zielone. Dziś tego nie realizujemy.

ARCHITEKT MYŚLI O PIENIĄDZACH

A jaki charakter systemu da się odczytać z budownictwa III Rzeczypospolitej?

– To trzeba podzielić na kilka podrozdziałów. Główną granicą jest ustawa o planowaniu przestrzennym

z 2003 r., będąca spełnieniem neoliberalnych marzeń o zarządzaniu przestrzenią. Do tego roku miasta w Polsce posługują się wypracowanymi jeszcze w PRL metodami zarządzania rozwojem. Mamy plany ogólne, szeroki horyzont, w którym widzimy miasto i jego potrzeby. Przeliczamy potrzeby mieszkalnictwa na komunikację, drogi, liczbę samochodów.

To się kończy w 2003 r.

– Na skutek tej ustawy plany wygasają. Miasta powinny przygotować sobie wizję na 30-40 lat do przodu – studium uwarunkowań i kierunków

zagospodarowania przestrzennego. Później na jego podstawie należy stworzyć plany miejscowe dla poszczególnych dzielnic. W Krakowie chodzi o kilkadziesiąt takich planów. Mają one wyznaczać operacyjny sposób zarządzania przestrzenią. Ale tam, gdzie planów nie ma, powinny być wydawane przez gminy warunki zabudowy. Cała odpowiedzialność za planowanie przechodzi na samorząd. **I widzimy, że ten sobie z nim nie poradził.**

– Pytanie oczywiście, czy w ogóle mógł to zrobić, bo to bardzo złożona kwestia, ale zostawmy ją z boku. Na przykład w Krakowie po 13 latach nie udało się „zaplanować” nawet połowy miasta. Efekt jest taki, że mamy całe duże osiedla mieszkaniowe, które wybudowano, opierając się na wadliwym systemie warunków zabudowy, protezie prawnej, zwykle używanej w sytuacjach nadzwyczajnych. Na zajęciach często pokazuję studentom przykład z krakowskich Bronowic. Gdy obowiązywały plany, powstał tam niewielki zespół mieszkaniowy Podkowa Królewska. Projektował go zespół prof. Wacława Serugi. Oddano go do użytku pod koniec 2002 r. Wtedy można było tam zbudować budynki o zaledwie czterech kondygnacjach. Zaraz po ostatecznym wygaśnięciu planu tuż za płotem zbudowano zespół o jakże polsko brzmiącej nazwie Salwator City, który miał 11 pięter. A obok stoi jeszcze Salwator Tower, który ma 15 pięter. To bardzo wymownie pokazuje, co się wydarzyło. **Zbudowano je bez infrastruktury społecznej i transportowej. Podobnie jest w całym kraju.**

– Kiedy miasto rozwija się na podstawie warunków zabudowy, ginie coś, co było sednem planu ogólnego. Chodzi o współczynnik gęstości zabudowy. Ten zniknął i co nas teraz ogranicza? Granica działki i to, że mniej więcej jedna trzecia ma być powierzchnią biologicznie czynną. Ale co to jest powierzchnia biologicznie czynna? Nie bardzo wiadomo. Inwestorzy podchodzą do tego bardzo kreatywnie. Na nowych osiedlach mamy wielki problem z parkingami, bo przepisy tego nie regulują. Efektem jest to, co się dzieje w całej Polsce: krakowski Ruczaj, Miasteczko Wilanów, Marina Mokotów. Przykłady można mnożyć.

Jak pan sądzi, o czym myślał człowiek, który je projektował?

**NOWY FILM REŻYSERA
TRYLOGII KAC VEGAS**

HISTORIA OPARTA NA FAKTACH

**JONAH HILL MILES TELLER
REKINY WOJNY**

HISTORIA OPARTA NA FAKTACH

**JUŻ NA
BLU-RAY™
i DVD!**

ZAPRASZAMY DO SALONÓW empik I NA empik.com

Dystrybucja w Polsce: Galapagos.com.pl
www.galapagos.com.pl

© 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. All rights reserved.

PARTNERZY MEDIALNI

murator T3 P Multikino Militaria.pl FILMWEB interia



O czym myślał człowiek, który projektował takie osiedla jak Miasteczko Wilanów? O pieniądzach.

– O pieniądzach. W końcu mamy kapitalizm. Chodzi tylko o to, żeby jak najszybciej skumulować zysk. Stopa zwrotu z inwestycji jest w takich warunkach bardzo wysoka, bo możemy zbudować dużo mieszkań na małej przestrzeni. A pamiętajmy, że PRL zaspokoiliła sporą część głodu mieszkaniowego, ale całkiem problemu nie rozwiązała. U progu lat 90. przyjmowało się, że w miastach brakuje mieszkań dla 2-3 mln osób. Dziś obserwujemy transfer ludności z małych i średnich miast do metropolii. Głównie do Warszawy, ale też Krakowa, Wrocławia, Poznania. W tych miastach presja deweloperów, żeby zbudować jak najwięcej, jest bardzo duża.

Mają pewny rynek zbytu.

– Kiedy jeździ się po Warszawie, przykro obserwować, w jaki sposób rozwija się miasto, które tak wiele ucierpiało w czasie wojny. Jaka karłowata jest powstająca urbanistyka. Dotyczy to zresztą także Krakowa. Smutne jest to, że miasto o takiej wartości urbanistycznej, architektonicznej może się zgadzać na taki substandard, w jakim dzisiaj się rozwija. Choć pewnie lepszym słowem od rozwija byłoby rozrasta.

Cierpi także komunikacja. Mieszkańcy większości nowych osiedli są skazani na samochody, bo nie ma

myślenia w kategoriach transportu zbiorowego. Zresztą nawet dróg często nie ma.

– Kiedy w 20-leciu międzywojennym pod hasłem Wielki Kraków rozpoczęto radykalne rozszerzanie granic Krakowa i stopniowe włączanie w jego obręb siedmiu sąsiednich gmin, miasto przygotowywało plan dla danego rejonu, wyznaczało

Ustawa o planowaniu przestrzennym z 2003 r. była spełnieniem neoliberalnych marzeń o zarządzaniu przestrzenią.

działki i budowało drogi, co znacząco podnosiło cenę parcel, a dopiero potem z zyskiem sprzedawało je inwestorom. Dzięki temu miało kontrolę nad całym procesem i jednocześnie mogło planować, gdzie za zarobione pieniądze zbuduje linię tramwajową. Dzisiaj tego nie ma, często z powodu tzw. świętego prawa własności i faktu, że miasta nie są w stanie kontrolować terenu, za który odpowiadają.

A jaka jest największa wartość budownictwa III RP?

– Wartość? Świetne pytanie. Wskazałbym chyba podniesienie jakości wykonawstwa budynków. Rezygnację z wielu rozwiązań, które się nie sprawdzały, a były stosowane. Na przykład zsypy w wysokich blokach. Jakość wind. Tutaj widać największy pozytywny zwrot.

To wszystko dotyczy indywidualnych budynków. Co z urbanistyką?

– Urbanistyka jest ofiarą. Tym bardziej to smutne, że w okresie PRL wykształciliśmy szkołę myślenia o mieście. Kiedy podróżujemy po Polsce, w wielu miejscach możemy odnaleźć architekturę na naprawdę wysokim poziomie. Na przykład Sady Żoliborskie w Warszawie. W większych miastach powstawały duże biura projektowe, Miastoprojekty. Tam dyskutowało się, jak miasto ma wyglądać, co zrobić, żeby było lepsze. Wypracowane wtedy rozwiązania stały się znakiem rozpoznawczym Polski, były eksportowane. Krakowski Miastoprojekt przygotował plan urbanistyczny dla Bagdadu. Miasta w Syrii, które dzisiaj płoną, były projektowane przez krakowskich urbanistów. Projektowano także dla Nigerii, Ghany. Udało nam się stworzyć coś wartościowego, co w ostatnich 25 latach zostało może nie tyle zniszczone, ile zaprzepaszczone.

Tomasz Borejza

TRUDNE ŻYCIE ŁUSZCZYKA

W badaniu WHO 10% chorych na łuszczycę deklarowało, że chce umrzeć

Barbara Jagas

Czerwone placki pokryte białymi lub srebrzystymi łuskami. Najczęściej na głowie, łokciach, kolanach, dłoniach i plecach. Ale mogą się pojawić wszędzie – także na paznokciach, w jamie ustnej czy w okolicach intymnych. Zmienione chorobowo miejsca swędzą, pieką, bołą, krwawią, naskórek się złuszcza, wygląda okropnie. – Znam przypadki, gdy osoby z widocznymi zmianami na dłoniach wypraszano ze sklepu. W jednym z supermarketów kasjer zwrócił uwagę naszej koleżance, że powinna się leczyć, i ostentacyjnie założył foliowe rękawiczki, biorąc do ręki produkty z jej koszyka – mówi Dagmara Samselska, przewodnicząca Unii Stowarzyszeń Chorych na Łuszczycę.

ODRZUCENI

Łuszczycą nie można się zarazić, bo nie jest to choroba zakaźna. Tymczasem ludzie boją się łuszczyków i ich unikają. Chorzy mają problem nie tylko z zakupami, ale też z pójściem do fryzjera, kosmetyczki czy na basen. Edyta Modzelewska, nauczycielka z Poznania od 17 lat chorująca na łuszczycę, opowiada, że kiedy po-

Czas oczekiwania na wizytę u dermatologa wynosi od dwóch tygodni do trzech miesięcy.

szła na pływalnię, ludzie zaczęli wychodzić z wody. Dlatego chorzy starają się za wszelką cenę ukryć swoją chorobę – nawet w upalne dni noszą ubrania z długimi rękawami, zasłaniają nogi. – A powinni wystawiać ciało na słońce i korzystać z kąpieli w morzu, bo to pomaga – podkreśla Dagmara Samselska.

Zmian skórnych jednak często po prostu nie da się ukryć, bo występują także na twarzy czy dłoniach i wtedy takie osoby zupełnie wycofują

się z życia społecznego, korzystając ze zwolnień lekarskich, wiele z nich traci pracę. Łuszczycza prowadzi więc do depresji, nawet do prób samobójczych, bo chorzy mają zaniżone poczucie własnej wartości, czują się nieatrakcyjni i odrzuceni przez społeczeństwo. Podkreśla to najnowszy raport Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) z 2016 r., w którym wyraźnie stwierdzono, że łuszczycza jest chorobą wyniszczającą psychicznie. W badaniu WHO obejmującym 127 chorych 10% deklarowało, że chce umrzeć.

NIEPRZEWIDYWALNA

Choroba może wystąpić w każdym wieku, także u dzieci, ale szczyt zachorowań przypada między 30. a 40. rokiem życia. Łuszczycza jest przewlekłym schorzeniem zapalnym, chorobą autoimmunologiczną. Nieznana jest jej przyczyna. Wiadomo jedynie, że decydującymi czynnikami są geny, ale musi zaistnieć dodatkowy powód, który wywoła chorobę – najczęściej jest to stres lub infekcja wirusowa. Nie da się całkowicie wyleczyć łuszczycy, ale można zlikwidować jej objawy. Jest też chorobą nieprzewidywalną – może wystąpić nagle, ale i zniknąć na jakiś czas – na kilka tygodni, a nawet wiele lat.

W Polsce mamy ok. 1 mln łuszczyków (ok. 2,5% ludności), średnio w krajach europejskich choruje od 2 do 5% populacji. Co piąty chory cierpi na umiarkowaną lub ciężką postać łuszczycy. Tej grupie najbardziej potrzebne są leki biologiczne – to najskuteczniejsza terapia znosząca objawy choroby. Niestety, chorzy mają utrudniony dostęp do tych leków. Ale i pacjenci z łagodną postacią schorzenia nie zawsze są leczeni prawidłowo. Dlaczego? – Nie tak łatwo rozpoznać łuszczycę i mają z tym kłopot nawet dermatolodzy – mówi prof. Lidia Rudnicka, prezes Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego.

Tymczasem nieodpowiednio leczona łuszczycza powoduje nie tylko pogorszenie stanu skóry, ale również

dodatkowe schorzenia – zapalenie stawów, nadciśnienie, choroby układu krążenia i metaboliczne, w tym cukrzycę.

W KOLEJCE DO LECZENIA

Kłopoty z dostępnością leczenia w Polsce porusza raport Fundacji Watch Health Care z listopada 2016 r., który podaje, że czas oczekiwania na wizytę u dermatologa wynosi od dwóch tygodni do trzech miesięcy. Przez ten okres stan skóry chorego może dramatycznie się pogorszyć, a to tylko początek problemów łuszczycy, którego – jeśli ma zaawansowaną postać choroby – czekają jeszcze wielotygodniowe badania diagnostyczne, zanim zostanie właściwie terapię.

Przy łagodnej łuszczycy może wystarczyć stosowanie leków działających miejscowo, takich jak cygnolina, dziegieć, pochodne witaminy D czy maści z glikokortykosteroidami. Przy czym tych ostatnich nie można zbyt długo stosować ze względu na skutki uboczne. Przy umiarkowanej i ciężkiej postaci stosuje się kilka maści jednocześnie – jedne na leczenie łusek, drugie na zahamowanie procesu ich powstawania, jeszcze inne na złagodzenie świądu skóry. Człowiek musi wtedy uzbroić się w cierpliwość i poświęcić wiele czasu na leczenie. Obok leczenia miejscowego stosuje się fototerapię. Niestety, są kłopoty z jej dostępnością, średni czas oczekiwania na tego typu zabieg trwa dwa miesiące. – Wiele ośrodków nie decyduje się na te usługi medyczne, ponieważ nie są one dla nich opłacalne. Lampa do fototerapii to wydatek rzędu kilkuset tysięcy złotych, tymczasem jedno naświetlanie kosztuje 8-10 zł – wyjaśnia prof. Lidia Rudnicka.

LEKI BIOLOGICZNE

W umiarkowanej i ciężkiej postaci łuszczycy stosuje się leczenie ogólne i takie leki, jak metotreksat, cyklosporyna A i acytretyna. Ale nie wszystkim pomagają i dla tych osób

przewidziano najnowocześniejszą terapię – leki biologiczne. Poprawiają one bardzo szybko stan skóry, powodując, że chorzy mogą wrócić do normalnego życia. W Polsce są dostępne cztery tego rodzaju leki. Stosuje się je w ramach tzw. programów leczniczych, do których trzeba się zakwalifikować, a nie jest to łatwe.

Autorzy raportu Fundacji Watch Health Care zwracają uwagę na bardzo restrykcyjne kryteria włączania pacjentów do programu lekowego, które u nas są ostrzejsze niż w innych krajach. O zakwalifikowaniu do takiej

Według raportu WHO na łuszczycę choruje od 0,1% do 11% społeczeństwa. Liczba chorych wciąż rośnie. Większość – od 58% do 97% cierpi na łuszczycę pospolitą, zwaną inaczej plackowatą. Najwięcej łuszczyczków żyje na północy Europy, najmniej w Azji.

Po tym czasie, nawet jeśli ktoś dobrze zareagował na lek, musi przestać go przyjmować. Jakie są skutki? – Przerwane leczenie powoduje nawrót objawów choroby. I ktoś, kto

Nawet jeśli ktoś dobrze zareagował na lek, musi przestać go brać, bo program się kończy. Choroba powraca.

terapii decydują wskaźniki określające rozległość i nasilenie zmian łuszczycowych oraz wpływ dolegliwości skórnych na jakość życia. Niestety, wielu chorych potrzebujących najnowocześniejszego leczenia nie spełnia takich warunków. A bywa i tak, że pacjent w jednym ośrodku zdrowia przejdzie przez system włączający go do programu leczenia lekami biologicznymi, a w drugim nie. Wszystko to sprawia, że chory czuje się zagubiony, pozostawiony sam sobie.

– Terapia łuszczycy powinna być spersonalizowana i w większym stopniu zależeć od lekarza prowadzącego, a nie uogólnionych kwalifikacji – zwraca uwagę prof. Witold Owczarek, kierownik Kliniki Dermatologii Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie. Czas oczekiwania na terapię wydłuża jeszcze fakt, że wcześniej trzeba wykonać wiele innych badań oraz odbyć konsultacje specjalistyczne ze stomatologiem, ginekologiem i laryngologiem. W związku z tym chorzy spóźniają się na włączenie do danego programu i muszą czekać rok na następny. Autorzy raportu WHC podają, że leki biologiczne w Polsce dostają zaledwie 273 osoby, podczas gdy z tej terapii powinno skorzystać co najmniej 1 tys. chorych.

TERAPIA PRZERYWANA

Kolejnym problemem w Polsce jest ograniczenie czasu leczenia w ramach programu. W przypadku jednego z leków (etanercept) są to 24 tygodnie, a dwóch innych – 48 tygodni (ustekinumab i adalimumab).

wrócił do normalnego życia, ponieważ skóra przestała go boleć, pękać i łuszczyć się, powraca do dawnego koszmaru. Tego nasi chorzy się boją – mówi Dagmara Samselska. Co prawda, można ponownie starać

Programy lekowe są krytykowane i przez pacjentów, i przez lekarzy. – Ubolewamy nad tym, że dostęp do terapii biologicznych i biopodobnych jest tak krótki. Wolelibyśmy, by o czasie leczenia mógł decydować lekarz – w zależności od stanu chorego, mógłby nie wyłączać go z leczenia, a jedynie zmodyfikować dawkę – mówi prof. Witold Owczarek. Lekarze chcieliby też, by w programach lekowych znalazły się najnowsze leki biologiczne, do których polscy pacjenci nie mają jeszcze dostępu, a które charakteryzują się bardzo dużą skutecznością. Mechanizm ich działania jest inny niż w przypadku leków stosowanych dotychczas. – Nowe leki, jak secukinumab i iksekizumab, hamują aktywność interleukiny 17 i wydaje się, że te innowacyjne terapie są ponadprzeciętnie efektywne – zapewnia prof. Owczarek.

A na razie miejmy nadzieję, że decydenci wezmą pod lupę zasady kwalifikowania polskich pacjentów do terapii

Jedną z metod leczenia łuszczycy jest fototerapia.



się o włączenie do programu, ale znowu trzeba przechodzić przez sito kwalifikacji. A przecież nigdy nie ma pewności, że przejdzie się przez nie. Z kolei następna terapia, po przerwie, nie jest tak skuteczna, ponieważ organizm uodparnia się na lek.

biologicznej i złagodzą nieco kryteria, tak by wszyscy chorzy mogli skorzystać z tej najnowocześniejszej metody leczniczej. – Bo łuszczycy, tak jak inni ludzie, chcieliby normalnie żyć i pracować – mówi Dagmara Samselska. ■

BEZ EMERYTURY ZA SŁUŻBĘ W PRL

W artykule „Oszukani przez PiS i PO” (PRZEGLĄD nr 4) red. Robert Walenciak pisze, że „każdy, kto służył w którejś z tych formacji, zostanie teraz ukarany. Po pierwsze zmniejszy się mu przelicznik emerytalny – z 0,7 do 0,5”. Tymczasem w tekście Ustawy z 16 grudnia 2016 r. o zmianie ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy... opublikowanym w Dzienniku Ustaw z 30 grudnia 2016 r. pod pozycją 2270 w art. 15c.1 zapisano, że „W przypadku osoby, która pełniła służbę na rzecz totalitarnego państwa, o której mowa w art. 13b i która pozostawała w służbie przed dniem 2 stycznia 1999 r., emerytura wynosi: 0% podstawy wymiaru – za każdy rok służby na rzecz totalitarnego państwa, o której mowa w art. 13b”. W tymże art. 13b wymienienia się długą listą służb i instytucji uznanych przez ustawodawcę za służbę na rzecz totalitarnego państwa.

W tym kontekście innej wymowy nabiera rozmowa z gen. Gromosławem Czempieńskim, w której nazwał on swoją przyszłą emeryturę zasiłkiem. Generał nie mówi o procentach, ale o skutkach zastosowania zerowego przelicznika w odniesieniu do lat jego służby w wywiadzie PRL.

Antoni Kustusz, Ostrołęka

*

Istotą ustawy dezubekizacyjnej jest m.in. całkowite odebranie emerytur wszystkim, którzy do 31 lipca 1990 r. pełnili służbę na rzecz PRL – milicjantom, esbekom, funkcjonariuszom BOR, Służby Więziennej, wykładowcom, studentom i słuchaczom szkół resortowych, strażakom, wojskowym itd. Rzeczywiście w projekcie ustawy proponowano obniżenie wskaźnika z 0,7% do 0,5% za rok służby. Jednak w ostatecznej wersji ustawy, przyjętej w Sali Kolumnowej Sejmu, podpisanej przez prezydenta Dudę 30 grudnia 2016 r. i ogłoszonej w Dzienniku Ustaw, PiS zawarło art. 15c, który redukuje ten wskaźnik do zera!

Wbrew temu, co twierdzi PiS, nie jest prawdą, że emerytury zostaną obniżone do poziomu ok. 2 tys. zł. Taka obniżka dotyczy każdego, kto przepracował co najmniej jeden dzień w RP. Ale większość emerytów przepracowała całą służbę lub dużą jej część w PRL. Zakładając, że średnia emerytura mundurowa z lat 90. wynosiła ok. 3 tys. zł, ktoś, kto pracował tylko w okresie PRL, nie ma wcale emerytury (wskaźnik 0% za 30 lat służby). Ktoś, kto pracował 15 lat w PRL i 15 lat w wolnej Polsce, ma: 0 zł emerytury za okres do 1990 r. i $15 \times 2,6\% = 39\%$ emerytury za lata 1990-2005, czyli $39\% \times 3 \text{ tys. zł} = 1170 \text{ zł}$.

Jeżeli zatem ktoś przepracował mniej niż 15 lat w wolnej Polsce, a więcej w czasach PRL, ma mniej niż 1 tys. zł i przechodzi na zasiłek społeczny lub utrzymanie rodziny. Jeszcze gorzej mają ci, którym poprzednia ustawa dezubekizacyjna (z 2009 r.) obniżyła emeryturę (całą) z 2,6% do 0,7%, czyli do poziomu 700-800 zł, bo kolejne obniżenie zabiera im wszystko i robi z nich klientów opieki społecznej.

Co prawda, minister spraw wewnętrznych może nie obniżać emerytur funkcjonariuszom, którzy „udowodnią, że przed rokiem 1990, bez wiedzy przełożonych, podjęli współpracę i czynnie wspierali osoby lub organizacje działające na rzecz niepodległości Państwa Polskiego”, ale sądzę, że to wytrych dla ludzi typu Kryże, Piotrowicz, Petelicki, czyli dla swoich. Nie ma najmniejszych wątpli-

wości, że minister Błaszczak w przypadku Czempieńskiego i jemu podobnych nie skorzysta z tej możliwości nieobniżania emerytur, pomimo ich niewątpliwych zasług dla wolnej Polski.

Marian Bargiel

O KOGO DBAJĄ RADNI SEJMIKU MAŁOPOLSKIEGO

Sejmik Małopolski przyjął uchwałę w sprawie smogu. Niestety, pozbawioną logiki. O ile np. w Krakowie podano termin, po którym zakazane będzie stosowanie pieców węglowych, o tyle dla województwa nie ma ani takiego zakazu, ani żadnego terminu. Oznacza to, że można instalować piece na paliwo węglowe. Mało tego, można liczyć na dotacje. Z treści uchwały należy zatem rozumieć, że radni sejmiku zdają sobie sprawę, że nie da się skonstruować takiego pieca, w którym można byłoby spalić „czysto, ekologicznie” węgiel, stąd zakaz używania tych pieców w Krakowie. Ale zdaniem tych samych radnych takie piece mogą dalej być instalowane w terenie i zatrzymywać mieszkańców województwa. Instalujący otrzymają za to dotacje. Pięknie! Radni Sejmiku Małopolskiego zlekceważyli zdrowie wyborców, zadbali o biznes wytwórców pieców węglowych.

Bolesław Kot, Wadowice



ROZKAZ WYKONANY

Kilka dni po uroczystych obchodach 65. rocznicy zdobycia przez Armię Czerwoną Hindenburga, co nastąpiło 24 stycznia 1945 r., i przywrócenia tego „najbardziej polskiego i najbardziej śląskiego” miasta – jak mówił gen. de Gaulle – macierzy z wizytą w Zabrze przebywał ambasador USA i wyraził ubo-



lewanie, że do tej pory stoi jeszcze pomnik Braterstwa Broni, upamiętniający tych, którzy zwyciężyli faszyzm – żołnierzy radzieckich i Ludowego Wojska Polskiego. Radni z PO-PiS gęsto się tłumaczyli i obiecali, że pomnik zostanie usunięty. Słowa dotrzymali. W przeddzień 72. rocznicy powrotu Zabrza do macierzy pomnik zwycięzców nad faszyzmem został zniszczony.

Wojciech Misiuk, mjr w st. sp. LWP, Zabrze

Minister Kubuś Puchatek

Tajemnice MSZ, korytarzowe ploteczki, spekulacje kadrowe, życie dyplomatów – zawsze to ludzi interesowało. Kto miał dostęp do tych informacji, był w świecie dziennikarskim wysoko ceniony. Ale to już przeszłość – dziś chleb zabiera takim minister Waszczykowski, który wyciąga na światło dzienne tajne dokumenty. Macha nimi przed światem, woła, że to zdrada, jakby zapominając, że sam zdradza rzeczy, które na zawsze powinny zostać skryte.

Chodzi oczywiście o „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy” z marca 2008 r., dokument podpisany przez ówczesnego dyrektora Departamentu Wschodniego MSZ Jarosława Bratkiewicza.

To analiza polityki Rosji w tamtym okresie i propozycje polskich działań. Tak, by Polska wzmocniła swoją pozycję i na Wschodzie, i na Zachodzie. Nie ma co się rozwodzić – rolą departamentów merytorycznych MSZ jest tworzenie takich właśnie dokumentów, by kierownictwo resortu mogło podejmować właściwe decyzje.

Natomiast nie jest rolą kierownictwa MSZ takie analizy ujawniać wszem wobec, a jeszcze do tego opatrywać komentarzami, że zdrada itd. Po pierwsze, dlatego że w ten sposób knebluje się w tym ministerstwie jakiegokolwiek myślenie. Po co pisać coś oryginalnego, skoro za parę lat może to zostać rozwleczone po całym świecie? Waszczykowski swoją akcją morduje MSZ, bo teraz każdy urzędnik 15 razy się zastanowi, zanim cokolwiek napisze. I podpisze.

Po drugie, lepiej jest jednak, gdy kuchnia MSZ, ta prawdziwa, czyli dotycząca nie personaliów, ale obiegu myśli i idei, jest ukryta.

Po trzecie, minister Waszczykowski pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy, ale ujawniając dokument i tak osobiście go komentując, po prostu się ośmiesza. Tak, tak, wszyscy wiemy, że ośmieszyć się zdążył już wielokrotnie, że w ogóle jest postacią groteskową, Kubusiem Puchatkiem naszej polityki, że kierowanie polską dyplomacją go przerosło, ale tym razem przeszedł samego siebie.

Waszczykowski atakuje bowiem ówczesnego szefa MSZ, Radosława Sikorskiego, twierdząc, że ta notatka jest dowodem na zwrot w polskiej polityce wschodniej, od popierania prozachodnich aspiracji Ukrainy w kierunku współpracy z Rosją. Czego efektem były dwie wizyty w Katyniu – premiera i parę dni później ta tragiczna, prezydenta.

Taki zarzut to bzdura. Bo zgodnie z konstytucją to Rada Ministrów prowadzi polską politykę zagraniczną, więc to prezydent powinien ustalać swoje działania z rządem, a nie na odwrót.

Poza tym zwrot w kierunku Moskwy kosztem Kijowa, o który Waszczykowski oskarża Sikorskiego, *de facto* nie nastąpił. Nastąpiła za to zmiana sytuacji na samej Ukrainie, ale nikt na to wpływu nie miał.

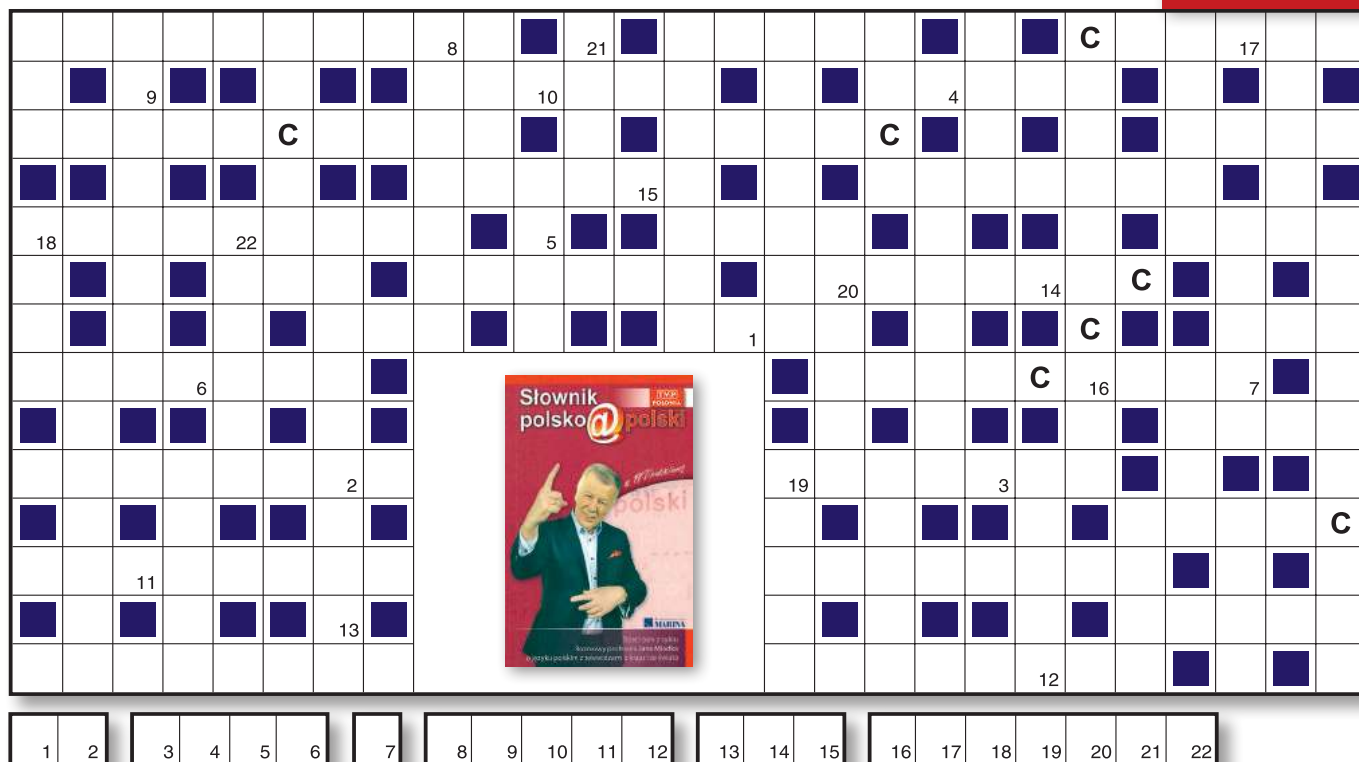
I jeszcze jedno – Waszczykowski w swojej filipice obnaża nieznamość Wschodu i samej Rosji. Mówienie, że w 2008 r. Rosja kierowała się myślą geopolityczną Aleksandra Dugina, filozofa konserwatywnego, nacjonalistycznego, antyzachodniego, w sumie myślącego po piśmowsku, to wielka przesada.

To tak, jakby wierzyć, że Jarosław Kaczyński podejmuje decyzje pod wpływem audycji TVP Info. Przecież nawet dzieci potrafią odróżnić ogon od psa.

Attaché



Gdy rozum śpi, budzą się upiory – zbezczeszczona nocą z 24 na 25 stycznia polska część cmentarza w Bykowni, miejsca upamiętnienia m.in. 3,5 tys. polskich ofiar NKWD na Ukrainie. Wandale zdewastowali także część ukraińską, malując tam: „OUN-UPA k...”.



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 tworzą końcówkę hasła.

- najbardziej czynna grupa w partii
- na klawiaturze komputera i typ głosu
- atak szalu
- ...smoleński warunkiem asysty wojskowej
- np. Mozartowskiej Królowej Nocy
- gdy rymują się same samogłoski
- jego Błękitna Wstęga przyznawana statkom
- aktor Antonio
- Eugeniusz, był o nim serial w TVP
- szkaradziejstwo
- mnóstwo muszek
- najmniejsza z krajowych kaczek
- we Francji konserżka
- samolubstwo, sobkostwo
- muzealny okaz
- najciemniejsza część Hadesu
- łączy się z Tytylem

- pomieści dużo zupy lub bigosu
- ogół członków grupy, zespołu
- atak, najazd (niekoniecznie z kosmosu)
- Dr... Eris
- z połączenia muzyki murzyńskiej i europejskiej
- zwierzę futerkowe, przywędrowało tu ze wschodu
- włókno np. na worki
- ptak z warszawskiej legendy
- człowiek bardzo niski
- jednostka temperatury

- ma kłopoty przez Kijowskiego
- coś istniejącego realnie, sprecyzowane pojęcie
- mistrzyni z Koniakowa lub maszyna
- kiedyś karabin maszynowy, teraz sportowiec
- powolny ssak
- Samuel od alfabetu telegraficznego
- resort Waszczykowski w skrócie
- o człowieku niezdolnym
- botaniczny lub zoologiczny

- elektryczne Hammonda
- to, co zbiera się na dzień
- zbląkana lub parszywa
- błazen, głupek, dziwak
- zimowy w Petersburgu
- brunatna plamka na nosie
- łuk do zatoczenia
- aparat do wyświetlania filmów
- interesuje ornitologa
- gdy nikt nie wygrał
- mocno przymarszczona lub plisowana fałbanka

- ogród ziemskich na obrazie Boscha
- rosyjskie pieniądze
- po Wodniku
- wąski, długi i głęboki rów tektoniczny
- o ciągłym wzroście zbrojeń, kosztów
- dźwięk przesuwania krzesła
- z niej odbicie przed skokiem
- gaszone – gdy palone połączyć z wodą
- na placu Czerwonym jego cerkiew
- królowa lub cesarzowa
- w nich siła Samsona
- kasa z kasy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-014 Warszawa, na celu niezbędnym do rozwiązania jakiejś w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich porażania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-792”. Do rozlosowania książki „Słownik polsko@polski” ufundowane przez Wydawnictwo Marina. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.792.DZIEŃ DZIEKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 5 lutego 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-789” z 15 stycznia: *Nowy król to nowe prawa.*

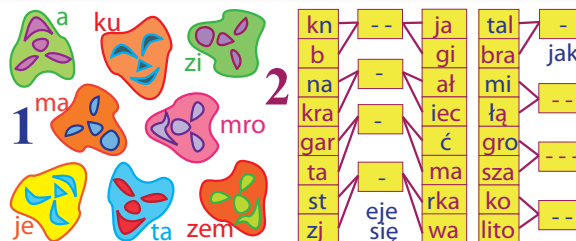
Nagrody otrzymują: Agnieszka Grudzień z Józefowa, Kazimierz Wojewoda z Krosna, Irena Zbucka z Koszalina.

ĆWICZ UMYŚŁ, PÓKI CZAS

1. Połącz w pary maski tych samych kształtów i odczytaj hasło.

- 2. Uzupełnij brakujące litery i odczytaj hasło zaznaczone tylko niebieskimi znakami.**

Masz na to minute.



trybuna **ANDRZEJ KURZ, WYDAWCA,
PREZES STOWARZYSZENIA
„KUŹNICA”**

Główna wada Polaków to brak szacunku dla praworządności, dla zobowiązań. Chwali się tych, którzy złamali porozumienia. Przecież przy Okrągłym Stole podpisa- no papier na cztery lata – to jest nic cztery lata. Złamano to porozumienie natychmiast po wyborczym zwycięstwie! No i jak się to zrobiło, to teraz łamię się wszystkie zobowiązania. Taki właśnie był w rozwiniętej fazie ten ruch Solidarności – rozwalimy wszystko, nie dotrzemy żadnej umowy, bośmy wygrali i koniec. Nieświadomość, że to te światła komuchy, te Rakowskie, Barcikowskie, Jaruzelskie, Reykowskie, Kubiaki, Teichmy, spowodowały, że Polska stała się inna.

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

**PROF. ANDRZEJ K. KOŹ-
MIŃSKI, REKTOR AKADE-
MII LEONA KOŹMIŃSKIEGO**

Plan Morawieckiego trudno nazwać planem. Można by raczej powiedzieć, że to jest zestaw życzeń. A plan powinien się składać z programów, którym odpowiadają budżety. Jedynie plan Hausnera zawierał precyzyjnie opracowane elementy programowania. Nie udało się go zrealizować, bo zabrakło mu wsparcia politycznego.

POLSKA

**MACIEJ HUNIA,
BYŁY SZEF AGENCJI
WYWIADU**

My w tej chwili żyjemy w przeświadcze- niu, że mamy w Europie sytuację wyjątko- wą, że mamy bardzo dużą liczbę zamachów, bardzo wysokie zagrożenie terrorystyczne.

To zagrożenie oczywiście jest, ale jak po- patrzmy na historię naszego kontynentu w ostatnich 30, 40 latach, to przecież były okresy, kiedy tych zamachów terrorystycz- nych było zdecydowanie więcej. My nie mamy w tej chwili jakiegos pliku zama- chów w Europie.

VIVA!

**AGNIESZKA RADWAŃSKA,
TENISISTKA**

Teraz jestem dojrzała i do pewnych rzeczy podchodzę zupełnie inaczej. I mam nadzieję, że historia taka jak z tatą się nie powtórzy. I w domu, i w pracy jesteśmy partnerami. Tak samo jak z pozostałymi członkami mojej ekipy, mimo że mówią o mnie „Szefowa”. Na takie naprawdę nor- malne życie przyjdzie czas, jak pójdę na emeryturę. Wtedy będzie też czas na dzie- ci. I na inne sporty, np. narty. Tyle lat nie jeździłam, a bardzo za tym tęsknię.

STYL

**MICHAŁ ŻEBROWSKI, AKTOR,
DYREKTOR TEATRU 6. PIĘTRO**

Wzrusza mnie lojalność aktorek, które są wzorowymi matkami, żonami, a do te- go spalają się na scenie, jeżdżą z planu na plan, mają ambicje przygotowywać następ- ne role, a jeszcze chcą doskonalić warsztat. Mądrzy dyrektorzy traktują takich aktorów jak skarb. Przecież oni z każdą udaną rolą pozyskują publiczność – dla siebie i dla teatru. Widzowie wciąż chodzą „na akto- rów”. Artyści powinni czuć się w teatrze bezpiecznie. Wiedzieć, że ich garderoba, filizanka czekają na nich, krzesło, na któ- rym zawsze palą papierosa, stoi na swoim miejscu. Dobry teatr to drugi dom aktora. A czasami zdarza się, że pierwszy.

Aby język giętki...

► **JAROSŁAW GOWIN O JAROSŁAWIE
KACZYŃSKIM (W ROKU 2012)**

To stuprocentowy cynik. Nie ma w polskiej polityce człowieka równie bezwzględnego jak on.

► **BOGDAN BORUSEWICZ
O KRZYSZTOFIE WYSZKOWSKIM**

W czasie pierwszej Solidarności donosił na mnie do Wałęsy, że chcia- tem go obalić, zająć jego miejsce.

► **PROF. KAROL MODZELEWSKI
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE**

Znam na tyle Ziobrę, żeby wiedzieć na 99%, że z Piniorem to lipa.

► **KRZYSZTOF ŁOZIŃSKI
O MATEUSZU KIJOWSKIM**

To dobry człowiek, który przestał ogarniać, co się dzieje.

► **PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA
O MATEUSZU MORAWIECKIM**

Szybko stał się konformistycznym wykonawcą cudzych idei.

► **KRZYSZTOF KILIAN
O RZĄDZIE Z ROKU 1991**

O rządzeniu wtedy nie wiedzieliśmy właściwie nic. Byliśmy amatorami.

► **RAFAŁ DUTKIEWICZ O NACJONALIZMIE**

To najgorsze dziadostwo. Cuchnie tak, jak cuchnie pot: problem w tym, że nie wszyscy chcą się z niego obmyć.

► **BOGUSŁAW LINDA
O REKLAMIE ALKOHOLU**

To jest przynajmniej fajne. Przez ca- łe życie podnoszenie kieliszka bardzo mi się podobało.

► **MAGDALENA BOCZARSKA
O ROZBIERANYCH SCENACH**

Lubię siebie, wiem, że dobrze wy- glądam. Mówi mi to mój mężczyzna, w dodatku najczęściej rano, gdy je- stem nieumalowana.

► **ANDRZEJ SEWERYN
O RECEPCIE NA UDANY ZWIĄZEK**

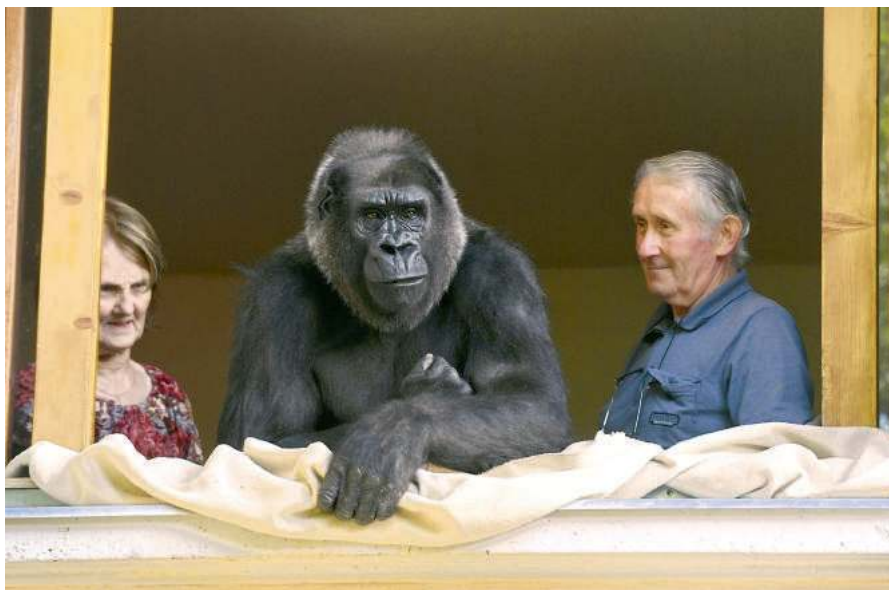
Dojrzałość mężczyzny i poczucie humoru kobiety.

► **EDWARD DWURNIK O SOBIE**

Często zmyślam. Żeby się poba- wić, zadziwić, sprawdzić, w co ludzie uwierzą. Jestem blagierem i żartow- nikiem.

► **AGNIESZKA WŁODARCZYK
O OSTATNIM ZWIĄZKU**

Miał być na zawsze, a okazał się perfekcyjną iluzją.



FOT. AFP/EAST N EWS

Rodzina zastępcza. Gorylica Digit obchodzi osiemnastkę. Gdy matka porzuciła ją po urodzeniu, opiekę przejęli właściciele zoo, Eliane i Pierre Thivillon. Wprawdzie Digit wróciła do swoich pobratymców na wybiegu, ale wciąż odczuwa silną więź z przybranymi rodzicami. Saint-Martin-la-Plaine, Francja.



Podwójna radość mamy – Natasha Corrigan i Brian Liddle Jr, który urodził się z wagą ponad 6 kg, a więc prawie dwukrotnie większą niż przeciętny noworodek. Szpital Miłosierdzia, Melbourne.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

ĆMA TRUMPA

Jak donosi „The Wall Street Journal”, prawie idealnie na inaugurację prezydentury Donalda Trumpa nowo odkryty gatunek ćmy został nazwany *Neopalpa donaldtrumpi*. Biolog, który nadał gatunkowi taką nazwę, przyznaje, że do jej wymyślenia zainspirowała go główka ćmy z grzywką łudząco podobną do fryzury nowego prezydenta USA.

NAWIEDZONY LAS

Hiszpańskie Stowarzyszenie Strażaków Leśnych zdecydowało się na budowę w lasach sztucznych cmentarzy. Strażacy chcą w ten niecodzienny sposób zatrzymać proceder wypalania lasów pod budowę domów. W Hiszpanii istnieje bowiem akt prawny, który mówi, że budynki nie mogą być stawiane w odległości mniejszej niż 500 m od cmentarza.

PUSZYŚCI W WOJSKU

Komisja parlamentarna w Szwajcarii postanowiła, że do wojska będą mogli wstępować również otyli kandydaci. Nie zmuszą się ćwiczeniami na poligonach, ale przydadzą się armii np. jako informatycy. Cybernetyczna wojna jest przecież nie mniej prawdopodobna niż tradycyjna.



SZKOCKA NAD WISŁĄ

Polacy wyjątkowo rozsmakowali się w whisky, szczególnie szkockiej. W zeszłym roku do naszego kraju trafiło ok. 35 mln butelek, co daje nam 12. miejsce na świecie i czwarte w Europie. Wyżej w europejskim rankingu uplasowały się Niemcy, Hiszpania i Francja.

NIEBIESKIE (NIE)WINO

Skoro jesteśmy przy procentach, warto wiedzieć, że hiszpańskim lobbystom udało się przełamać wprowadzenie przepisu, że wino może być jedynie białe, różowe albo czerwone.

PSYCHOLOGIA NA CO DZIEŃ

JAK ROZPOZNAĆ UZALEŻNIONYCH OD PRACY?

Dr Bryan E. Robinson wylicza następujące cechy:

1. Żyją zawsze w pośpiechu, zawsze bardzo zajęci.
2. Nieustannie kontrolują i planują – całe swoje życie organizują w odniesieniu do kalendarza pracy, wszystko musi być przewidywalne, spójne i pod kontrolą, co hamuje spontaniczność.
3. Nie delegują zadań i nie proszą o pomoc, bo obawiają się, że będzie to postrzegane jako oznaka ich słabości lub niekompetencji.
4. Dla nich nic nigdy nie jest idealne – mają wysoko ustawioną poprzeczkę, więc często złością się na innych za to, że nie spełniają ich własnych wyśrubowanych standardów.
5. Ich bliskie związki rozpadają się „w imię pracy”.
6. Wpadają w transy aktywności – pracoholicy ustawiają sobie takie terminy końcowe, które zagwarantują im „haj” przy każdym projekcie; pracując, dosłownie odłączają się od „tu i teraz”.
7. Pracoholicy to nierozrywkowe zrędy – kiedy robią coś, co nie przynosi żadnych efektów, czują się niespokojni, winni i bezużyteczni.
8. Są niecierpliwi i drażliwi – nienawidzą czekać (np. w kolejce), w dłuższej perspektywie ich niecierpliwość może skutkować agresywną impulsywnością.
9. Uważają, że są tylko tak dobrzy, jak ich ostatni sukces – poczucia własnej wartości szukają przez działanie i kolejne osiągnięcia.
10. Nie mają czasu, aby o sobie zadbać – niewiele uwagi poświęcają potrzebom fizycznym, takim jak zdrowe odżywianie, odpoczynek i aktywność fizyczna.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 **wew.** 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
redakcja@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

REDAGUJE KOLEGIUM

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz,
Bartosz Machalica, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordynski, Wojciech Osiński (Berlin),
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma,

Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Agnieszka Szesko

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:**

Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

p.o. Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

*Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie
artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.*

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi,
al. Piłsudskiego 82

Prenumeratę krajową od dowolnego numeru można
zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu”.

Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł,
kwartalna – 70 zł

Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden

kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka,
Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł.

Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną
na konto Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.

Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać na stronie **www.**

prenumerata.ruch.com.pl. Pytania prosimy kierować
na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do

Centrum Obsługi Klienta „RUCH” tel.: +48 (22)
693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze

w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy

XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny

brand design & conception
ARTREPUBLICA

Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska



Finansowe wspieranie „Przeglądu”
Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Tym samym uniemożliwiono sprzedaż
niebieskiego wina baskijskiej winnicy,
która w ciągu ostatniego roku rozpro-
wadziła niemal 100 tys. butelek.

ZA KRATAMI BEZ WYROKU

Ponad połowa osadzonych w amery-
kańskich więzieniach to osoby, które
nie zostały prawomocnie skazane. Nie
mogą jednak wyjść na wolność, bo nie
stać ich na wpłacenie kaucji. Teraz już
wiemy, dlaczego więzienia w USA są
przepełnione.

RESOCJALIZACJA PRZY PRZESYŁKACH

W sortowniach Poczty Polskiej w ra-
mach resocjalizacji mają pracować ska-
zani za niegroźne przestępstwa. Doce-
lowo na terenie kraju może to być aż

500 więźniów. Dyrektor Służby Wię-
ziennej gen. Jacek Kitliński zapewnia,
że bezpieczeństwo – zarówno osób, jak
i korespondencji – na tym nie ucierpi.
Może dzięki temu poczta przyspieszy
złowie tempo dostarczania przesyłek?



ĆWICZ UMYŚŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. atakuje zima mrozem
2. nienawiść starzeje się tak jak miłość





Arkadiusz Andrejkow Szprejem obciążeni

Arkadiusz Andrejkow jak dawni mistrzowie holenderscy skupia się na tym, co zwykłe, codzienne, wręcz banalne. Na tym, co nowoczesna kultura marginalizuje, preferując wszystko, co „większe od życia” – od sztucznej urody gwiazd popkultury po wszelkie ekscesy, ekstrema i zbrodnie. Nowy cykl prac skłania do zastanowienia się nad dwoma zagadnieniami, ściśle zresztą powiązanymi. Nad kondycją współczesnego malarstwa portretowego i rodzajowego oraz rolą, jaką odgrywa w nim fotografia. Artysta połączył tworzywa, których używał w malarstwie i w graffiti, olej i sprej, by wykorzystać plastycznie i pogłębić pojawiające się na fotografiach niedoskonałości i efekty procesów niszczenia.

Galeria Sztuki Współczesnej BWA
Przemysł, ul. Kościuszki 3
do 8 lutego



Bez tytułu

Nowy film DORIS DÖRRIE, reżyserki „Hanami - kwiat wiśni”

FUKUSHIMA, MOJA MIŁOŚĆ



66

Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
w Berlinie

Panorama

W KINACH OD 3 LUTEGO

Co-funded by the
European Union



Creative
Europe
MEDIA

AURORA

WILD BUNCH PRESENTS IN ASSOCIATION WITH
LD ENTERTAINMENT - FABULA - WHY NOT PRODUCTIONS - BLISS MEDIA - ENDEMOL SHINE STUDIOS A PROTOZOA PRODUCTION

NATALIE PORTMAN



NOMINACJE
3 OSCARY
W TYM
NAJLEPSZA
AKTORKA

NOMINACJA
**ZŁOTY
GLOB**
NAJLEPSZA
AKTORKA



Jackie

REŻYSERIA PABLO LARRAIN

NIEZWYKŁY PORTRET NAJSŁYNNIEJSZEJ
PIERWSZEJ DAMY ŚWIATA
VARIETY

PEWNY KANDYDAT DO OSCARÓW
LONDON EVENING STANDARD

NIE DO ZAPOMNIENIA. JEDEN
Z NAJLEPSZYCH FILMÓW TEGO ROKU.
ROLLINGSTONE

IMPONUJĄCA KREACJA AKTORSKA
COLLIDER

WSPANIAŁY I PEŁEN EMOCJI
IGN MOVIES

PETER SARSGAARD GRETA GERWIG CHEZY CRUDUP JOHN HURT
LINDSAY GRAHAM MARY VERNIER MATHIEU SCHUBASS
MADELINE FONTAINE A.F.C. MICHA LEVI SEBASTIAN SEPULVEDA JEAN RABASSE A.F.C. STEPHANE FONTAINE A.F.C.
PETER SHILAMON JENNIFER MONROE JAYNE HONG JOSH STERN WEL HAN ON LIN MARTINE CASSINELLI CHARLIE CORWIN HOWARD DIVENS
PRODUKOWAŁ JUAN DE DIOS LARRAIN SCENARIUSZ BARREN ARONOVSKY MICKEY LUDDELL SCOTT FRANKLIN ARI HANDEL MONTAŻ NOAR OFFENHEIM MONTAŻ PABLO LARRAIN

wild bunch



PROTOZOA



KINO ŚWIAT

W KINACH OD 3 LUTEGO

STYL

chilli

TeleTydzień

Przeład

ams

polki.pl

Gala

STYLOWI.PL

DEMOTYWATORY.PL

onet.

eprasa.pl 9316e9b64f